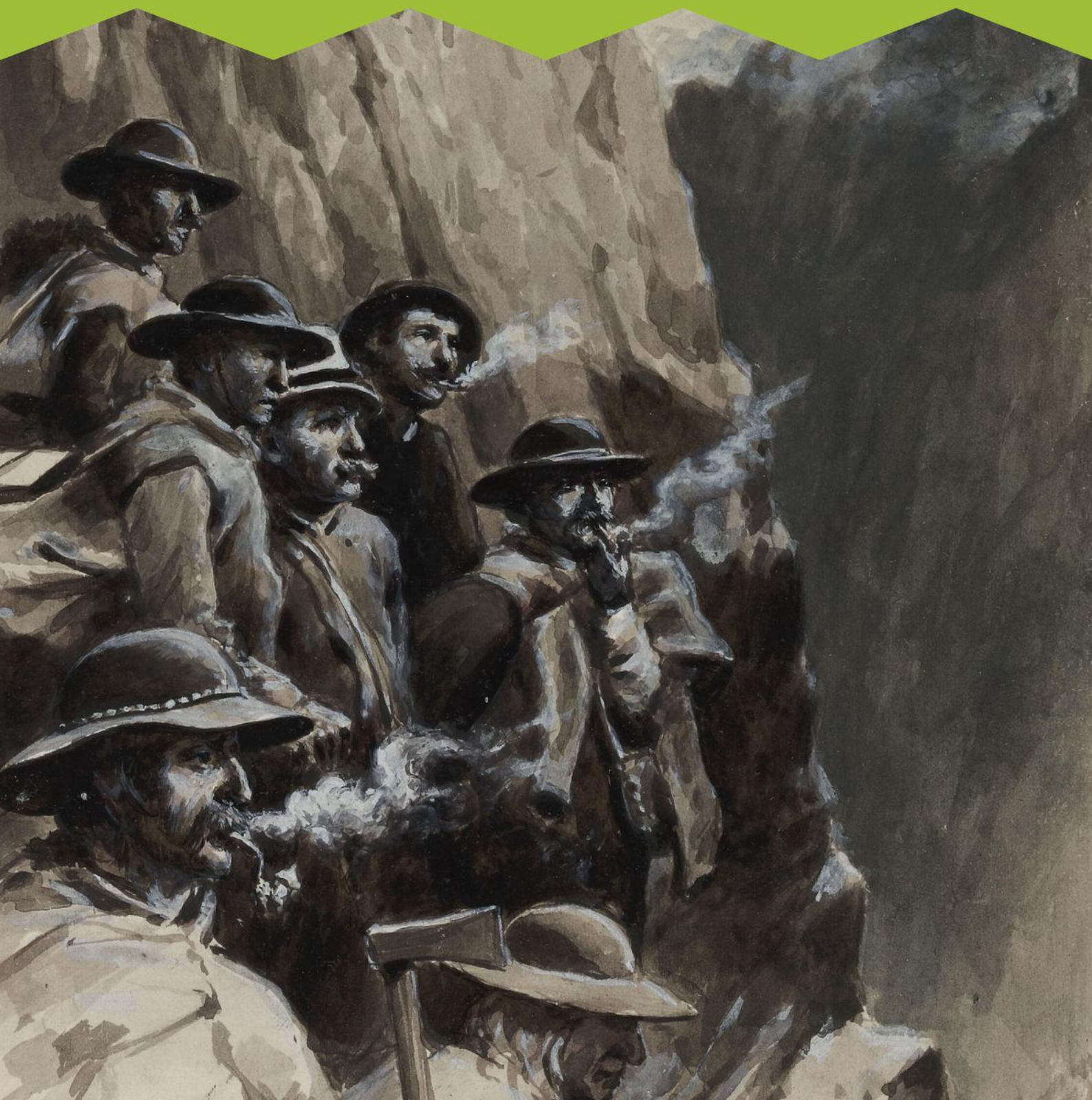


# Dziennik podróży do Tatrów



SEWERYN GOSZCZYŃSKI

# *Dziennik podróży do Tatrów*

## DLA CZYTAJĄCYCH TO DZIEŁO

Autor tej podróży ogłasza<sup>1</sup> ją głównie dlatego, że chwila jego życia schwycona w tym dziele jest jedną z tych, w których żył wszystkimi swoimi władzami, życiem pełniejszym niż kiedykolwiek.

Podróż ta miała miejsce w roku 1832, a ogłasza się dziś dopiero, niemal po dwudziestu latach. Ogłoszenie to może się wydawać za późne, niewłaściwe. Autor jednak nie cofa się przed nim. Sądzi, że ani przedmiot, ani wykonanie jego dzieła nie tracą na przewłocce<sup>2</sup>. Opisuje on góry i lud, który je zamieszkuje, a które w tym przeciągu czasu się nie zmieniły.

Czytelnik nie znajdzie w tym dziełku skarbów umiejętności albo nauki, autor puścił się z małym zapasem wiedzy, z mniejszym jeszcze naukowości, a bez żadnej książki, nawet bez barometru. Nie robił on tej podróży ani jako geolog, ani jako geograf, ani jako archeolog; puścił się obyczajem zebrzących śpiewaków swojej krainy<sup>3</sup>, z lirą swojego ducha, z nią tylko. Do niej nastroił swój rozum, swoje zmysły, wszystkie swoje władze i to tylko zachował, czym mu ten instrument zagrał, potrażony przez ziemię, którą przeszedł, i przez jej ducha. Jakkolwiek nieobojętne jest autorowi rozszerzenie sfery naukowych wiadomości, pomnożenie prawdziwych pojęć w tej sferze, zajmował się jednak najgłówniej tym, do czego czuł się najzdolniejszy. Pisał wiele z serca i dla serca, wiele w ocknieniu się głębszego swego uczucia dla obudzenia głębszego uczucia w innych. Uprzedza przeto, że w jego notatach<sup>4</sup> znajdzie się wiele miejsc, które będą pojęte, będą miały wartość jedynie dla ludzi szukających we wszystkim zasiłku żywotnego dla swojego serca, dla swojego uczucia głębszego, wyższego, i niegardzących nim, skoro go znajdą, choćby był najskromniejszy. Są ustępy w tym dziele odnoszące się do pewnych osób, do pewnych chwil, do pewnych miejsc i dlatego autor zostawia je niezmienione. Co tu podaje, to wszystko winien miłości pewnych osób, przyjaznym chwilom, natchnieniom dobrym pewnych miejsc. Byłby niewdzięczny, gdyby im nie złożył za to w ofierze owocu miłości z pola ich miłości.

Autor nie uważa tego dzieła za coś zupełnego, za obraz, którego przedmiot byłby wykonany we wszystkich swoich częściach, we wszystkich szczegółach. Wszakże<sup>5</sup> pochlebia sobie, że nie pominął obojętnie niczego, co kraj opisywany i mieszkańców jego mogło przedstawić jako najbardziej zajmujący, najgodniejszy uwagi; że następnie dotknął tego wszystkiego w sposób może niekiedy za ogólny, ale nigdy lekki — tak sobie śmie pochlebiać, a przeto i z tego względu odważa się na niniejsze ogłoszenie.

Wyjątki z tej przejażdżki umieszczane były przed kilkunastoma laty w jednym z dzienników krakowskich i tak, jak były ułożone dla ogłoszenia dziennikarskiego — największe fragmenty zostawały w notatach, w formie dziennika. W tej postaci i z tych notatek dopełnia autor po części niniejsze ogłoszenie; po części, bo największy, a może najważniejszy segment musi jeszcze pozostać zapisany tylko w duszy i jeżeli będzie mógł wyjść na jaw

<sup>1</sup>ogłaszać — tu: publikować, wydać w formie publikacji. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>przewłoka (daw.) — zwłoka. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>zebrzących śpiewaków swojej krainy — odniesienie do wędrownych lirników ukraińskich. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>notata (daw.) — notatka. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>wszakże (daw.) — tu: jednak, ale. [przypis edytorski]

kiedykolwiek, to najpewniej w innej postaci, o ile Bóg da autorowi natchnienie i czas po temu.

# TARNOWSKIE<sup>6</sup>

## WIEŚ MIKOŁAJOWICE<sup>7</sup>

Od pięciu miesięcy przebywam w kraju, do którego z dzieciństwa tęskniłem. Trzy lata temu przeleciałem go *Eilwagenem*<sup>8</sup>. Nie spodziewałem się wtedy, że za trzy lata będę tu jak w domu. Myślę nieraz o tych dziwnych kolejach losu... Bądź co bądź, dziękuję losowi, że mnie tu rzucił. Nie! Nie losowi, Bogu dziękuję. Los człowieka jest dziełem człowieka, jest koleją, w którą człowiek wchodzi własną wolą, jest skutkiem jego woli, mniej lub więcej dalekim, niekiedy bardzo dalekim, ale zawsze skutkiem; jest fatalizmem, a wtedy Bóg tylko miłosierny łagodzi go, zamienia zły na dobry. Znajduję się w tym przypadku i dlatego dziękuję Bogu. Od kilku miesięcy jestem jak w porcie przed burzą straszliwą, co tam na wysokości świata szaleje. Port niewielki, niezupełnie bezpieczny, ale przynajmniej do pewnego czasu godny zaufania. Mogę odetchnąć, wypocząć, nabrać sił nowych na przypadek nowej burzy. Taka mi się wydaje ta wioska, ten domek, gdzie od jakiegoś czasu przebywam. Miło mi zatrzymywać moją myśl na nich.

Kraj ten jest bardzo zajmujący wszechstronnie, jak w ogólności cała ziemia osiadła przez lud krakowski. Nadto wiążą mię z nim wspomnienia z moich lat najmłodszych. Już w dzieciństwie znałem, kochałem ludzi z tej okolicy, oddzielony od niej stu milami. Tarnów<sup>9</sup> był dla mnie jakby sąsiednim miasteczkiem; pragnąłem go widzieć, miałem pewność, że zobaczę. Było to przecucie? Było to ostrzeżenie? Było to powolne, odległe oswajanie z powietrzem, którym kiedyś trzeba będzie oddychać, z życiem, którym kiedyś trzeba będzie żyć? To pewne, że chociaż po raz pierwszy w tym kraju, nie znalazłem się obcym i coraz mniej się nim czuję. Widzę miejsca, których obraz rysował się już od dawna w myśli — ze słyszenia. Słyszę mowę zasłyszaną już kiedyś, spotykam ludzi kiedyś znanych, serca kiedyś odczute. Otóż co mi wiele upiększa i umila mój dzisiejszy pobyt, bo na pozór nie ma tu nic takiego, co by nadzwyczajnie porywało.

Wieś sama, Mikołajowice, jest niewielka i podobna do wszystkich wsi tutejszych, których nie można postawić za wzór czystości, porządku, a tym mniej okazałości. Leży niedaleko Dunajca<sup>10</sup>, nad starym jego korytem, wśród płaszczyn ogromnych i zrównanych pod strychulec<sup>11</sup>. Chaty rozrzucone w nieładzie fantastycznym, każda patrzy w inną stronę, jak gdyby dąsała się na swoje sąsiadki. Takim domkom ulic nie potrzeba, dlatego też nie ma ich tutaj. Za to snuje się między nimi droga, dosyć sucha w lecie, oprócz kilku kałuż, które ją przecinają niby strumyki. Liczne wierzby ocieniają wioskę, tu uszykowane szeregami, tam zwinięte w gąki, ale co roku szpeczone podkrzesywaniem<sup>12</sup> na potrzeby gospodarskie. Co się tyczy wierzchołka, tym mało która poszczycić się może. Nie zbywa jednak na sadach i tu dopiero są drzewa wielkie i ładne. Owe to sady osłaniają niepowabną srogość wioski, ich to troskliwości macierzyńskiej winna jest wieś, że patrzącemu z zewnątrz przedstawia — wśród płaszczyny nagiej w tym miejscu — przedmiot dosyć przyjemny dla oka.

Okolice nie jest ani nieładna, ani martwa. Widok na wzgórze z jednej strony, na lasy ogromne z drugiej jest i zajmujący, i rozmaity. Wsie dokoła nieduże, ale liczne i gęste. Miasteczko Wojnicz<sup>13</sup> leży o pół godziny drogi od Mikołajowic. Jeszcze bliżej przechodzi

Podróż, Los

Dzieciństwo, Wspomnienia

Wieś

<sup>6</sup>Tarnowskie — historyczne ziemie położone na południu Polski; po II wojnie samodzielne województwo, którego tereny obecnie znajdują się w obrębie województwa małopolskiego i podkarpackiego. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Mikołajowice — polska wieś położona na południu kraju, obecnie w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim, w gminie Wierzchosławice. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Eilwagen (niem.) — dyliżans, pojazd pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Tarnów — polskie miasto powiatowe, położone w województwie małopolskim, przy ujściu rzeki Białej do Dunajca. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Dunajec — rzeka na południu Polski, prawy dopływ Wisły. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>strychulec — deszczulka zrównująca. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>podkrzesywanie — usuwanie najniższych gałęzi w celu eliminacji potencjalnych sęków z surowca drzewnego. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Wojnicz — polskie miasto gminne, położone w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

wielki gościniec<sup>14</sup> z Tarnowa do Podgórza<sup>15</sup> krakowskiego, najdłuższy i najgłówniejszy w Galicji<sup>16</sup>. Ruch jego niemały ożywia tę okolicę. Dla przechadzki mam brzeg Dunajca, dla przechadzki i oka wyniosłe wzgórze na drugim jego brzegu, a jeszcze dalej na prawo i wyższą od tych wzgórz mam górę, która się zowie Panieńską<sup>17</sup>. Nasycony widokami wiejskimi, ile razy zapotrzebuję powietrza i życia miejskiego, mam Tarnów o jakieś półtorej mili.

Wszakże wolę niż to wszystko domek, w którym dziś mieszkam. Ustronny, niewielki, niepozorny, po prostu wielka chata, najpierwsza we wsi i zarazem najporządniejsza; drewniana, pobielona, pokryta snopkami, nie zawstydzą innych mieszkań wiejskich. Tylna strona domu skupia w sobie cały nieporządek domowego gospodarstwa: kurniki, chlewki, obory i wszystka ich nieczystość zlewająca się w jeziorko zwane gnojanką<sup>18</sup>, które w tym kraju jest koniecznym *utile dulci*<sup>19</sup> każdej zagrody. Gumno<sup>20</sup> graniczy z ogrodem, który osłania prawy bok domu, a jest zarazem warzywny i owocowy. Na jego murawie, pod jego drzewami i ja już nieraz odpoczywałem. Pod oknami przednimi ogródek kwiatowy, uzbrojony sztacketkami; są już tam róże i mojego sadzenia. Ta frontowa strona domu ma dwoje drzwi, dwa wejścia, bo dom przedzielony jest izbą kuchenną na dwie części. W jednej mieści się sama moja opiekunka, właścicielka wsi, pani Tetmajerowa<sup>21</sup>, ze swoją żeńską rodziną, w drugiej panuje syn jej młodszy, a mój towarzysz i przyjaciel. Tu jest i mój przybytek — są to trzy pokoiki tak niedawno przybudowane, że ściany wewnętrzne nie są nawet jeszcze pobielone, niejako umyślnie dla gości rychłych, a niespodziewanych, mimo to całkiem porządne i wesołe. Drzewo ścian jest tak gładko obrobione, że nie razi nagością. Szczeliny mchem zatkałe, a czego brakuje w ozdobności, tego dopełnia świeżość budowli, jak u człowieka młodość pokrywa nieraz brak urody. Zresztą dla mnie to konieczne, często obiegam te ściany spojrzeniem i nie widzę w nich nic więcej dla mnie, tylko rodzaj szalasu podróznego, wystawionego naprędce i na krótko.

I dlaczegóż to piszę? Dlaczego chcę zachować pamięć tych drobiazgów? Nie maż w tym własnej miłości? Nie! Jest miłość, ale przez wdzięczność i dla tych miejsc, i dla ich właścicielki. Ona swoim duchem wszystko tu ożywia, dobrocią umila, własną wartością podnosi. Ilem jej winien i w jaki sposób, to się nie da wypowiedzieć. A choćbym i wypowiedział, innym byłoby to obojętne, a ona zapewne czytać tego nie będzie.

Pani Tetmajerowa jest już matką dwóch synów<sup>22</sup> i pięciu córek<sup>23</sup>, a babką kilkorga wnucząt<sup>24</sup>. Nadźwigała się więc niemało krzyżów tego życia i niemało lat ciąży na niej, mimo to czerstwa i silna — ciałem i umysłem. Sama dotąd zawiaduje majątkiem i daje sobie radę w trudnych wypadkach. Ale jest to jedna z mniejszych jej zalet. Co zmusza czcić ją i kochać — to przymioty kobiety i matki. Mało znam kobiet, które by połączyły w tym stopniu tyle dobroci, łagodności, słodczy charakteru z energią poświęcenia, gdy tego potrzeba; tyle miłości rodzinnego kółka z miłością dalszych; tyle swobody, żywości, wesołości z wiekiem lat tyłu; które by na koniec przy tak szczupłych środkach umiały robić tyle dobrego i tak ochoczo. Dopełniają matkę jej dzieci. Cztery córki mieszkające z nią są podobne do niej sercem i godne jej. Co do mnie osobiście, jak matka ich zastępuje mi moją matkę, tak one za siostry mi służą. Kocham je też jak moje siostry, a całą rodzinę, cały dom — jak własną rodzinę, jak dom własny.

Dworek

Matka, Rodzina

<sup>14</sup>gościniec (daw.) — droga, trakt. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Podgórze — dawniej samodzielne miasto, obecnie dzielnica Krakowa. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Galicja — tu: używana potocznie w latach 1772–1918 nazwa austriackiego kraju koronnego Królestwa Galicji i Lodomerii. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>Panieńska Góra — wzniesienie na wschodzie Pogórze Wiśnickiego, na terenie Gminy Wojnicz w województwie małopolskim. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>gnojanką (daw.) — gnojówka. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>utile dulci (łac.) — właśc. *utile dulci miscere*: łączyć przyjemne z pożytecznym. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>gumno — tu: podwórze gospodarstwa. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Tetmajer, Ludwika — należąca do znanej galicyjskiej rodziny krewna Kazimierza Przerwy-Tetmajera. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>dwóch synów — starszy Leon i młodszy Józef. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>pięć córek — Goszczyński znał cztery z nich: Katarzynę, Helenę, Wiktorię i Zofię. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>wnuczeta — Goszczyński znał tylko dzieci Leona: Kamila, Augusta i Leokadię. [przypis edytorski]

## ZAMIAR PODRÓŻY DO TATRÓW<sup>25</sup>

Jedną z korzyści mojego położenia obecnego jest ta, że będę miał sposobność zwiedzić Tatry. Starszy syn pani Tętmajerowej mieszka pod Nowym Targiem<sup>26</sup>, bardzo blisko Tatrów. Dobry dla mnie jak matka jego, ofiaruje mi ze swej strony wszelkie ułatwienia w tej podróży. W tych dniach ma tu przybyć i zabrać mnie ze sobą. Jestem temu bardzo rad, niczego dziś bardziej nie pragnę. Dotychczas nie mam wyobrażenia o górach. To, co o nich słyszę, zaostrza tylko ciekawość, ale jej nie zaspakaja. Widzę czasem Tatry z miejsc wyższych tej okolicy, ale widzieć je o mil kilkanaście, słyszeć o nich choćby najdokładniejszą opowieść, to nie jest to samo, co postawić własną nogę wśród nich, zajrzeć im oko w oko. Jeszcze w dzieciństwie nasłuchiwałem się o nich tyle od mojego ojca!

Dziwny pociąg rwał mnie zawsze ku górcom, ku życiu w górach. W mojej szkolnej młodości nie było nic dla mnie przyjemniejszego, nic bardziej pożądanego, jak wśród stepów ukraińskich napotkać lada skałę, drapać się po niej, przesiadywać na niej całymi godzinami, marzyć wielką część nocy marzeniem góralskim. Nigdy nie zapomnę skalistych brzegów Tykicza<sup>27</sup>, nigdy nie zapomnę jaskiń Zofijówki<sup>28</sup>. Były mi one jakby szkołą góralskiego życia, tam zaprawiałem do gór i głowę, i odwagę, tam myślą wtajemniczałem się w świat rzeczywiście górski. Były to mniej niż Pigmeje<sup>29</sup> obok Tatrów, a ja wśród nich czułem się już inny. Nic tak nie wyzwalało, nie podnosiło mojej wyobraźni, jak choćby tylko myślenie o górach. Z niecierpliwością czekam dnia, który mnie skieruje ku Tątom.

## TARNÓW, WOJNICZ I OKOLICA

Lada dzień opuszczę Tarnowskie i zapewne na długo. Nie spodziewam się również, choćbym powrócił, przepędzić tutaj tyle czasu, ile go już przepędziłem — dlatego te kilka słów o nim.

Miejsce to zowie się od dawna Tarnowskiem, dziś dlatego, że jest częścią obwodu tarnowskiego, czyli cyrkułu, dawniej, bo stanowiło część majątności objętych ogólną nazwą hrabstwa tarnowskiego. Tarnów był stolicą hrabstwa i główną włością sławnej kiedyś rodziny Tarnowskich<sup>30</sup>. Hrabstwo tarnowskie przeszło różnymi kolejami do rodziny Sanguszków<sup>31</sup>, w których ręku pozostaje obecnie.

Tarnów należy do liczby porządniejszych miast w Galicji, a celuje między miastami obwodowymi nawet w zachodniej Galicji. Znajduje się on w położeniu korzystnym, bo na najgłówniejszym galicyjskim gościńcu. Przepływa pod nim Biała<sup>32</sup>, która też wkrótce do Dunajca wpada. Położony na lekkiej wyniosłości, Tarnów ma pozór<sup>33</sup> dosyć wesoły. Oprócz urzędów i władz przywiązanych do każdego miasta obwodowego, jest tu jeszcze biskup łaciński<sup>34</sup>. Poza tym nie ma nic, co by zasługiwało na szczególniejszą wzmiankę, oprócz kościoła katedralnego, gdzie jest kilka grobów mających wartość historyczną. Pod tym względem najlepszy opis Tarnowa opublikowany został w pracy księdza Balickiego<sup>35</sup>, proboszcza z Lisiej Góry<sup>36</sup>.

Góry, Podróż

Miasto

<sup>25</sup>Tatry — najwyższe pasmo w łańcuchu Karpat, znajdujące się obecnie na terenie Polski i Słowacji. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>Nowy Targ — miasto w województwie małopolskim, położone w Kotlinie Orawsko-Nowotarskiej u podnóża Gorców. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>Tykicz — rzeka na Ukrainie, nad którą leżała wieś Hordaszówka, w której bywał Goszczyński. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>jaskinie Zofijówki — grotty w parku Zofijówka pod Humaniem na Ukrainie. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>Pigmej — przedstawiciel karłowatego ludu afrykańskiego. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Tarnowscy — polski ród magnacki, mający znaczne dobra w Małopolsce. Tarnów był w ich posiadaniu do 1567 r. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Sanguszkowie — polsko-litewski magnacki ród książęcy, który przejął dobra tarnowskie w 1742 r. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Biała — rzeka w województwie małopolskim przepływająca przez Tarnów, prawobrzeżny dopływ Dunajca. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>pozór (daw.) — wygląd. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>łaciński — tu: katolicki. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Balicki, Wincenty (1798–1844) — duchowny, działacz kulturalny i pisarz; autor tekstu *Miasto Tarnów pod względem historycznym, statystycznym, topograficznym i naukowym*, opublikowanego w 1831 r. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>Lisja Góra — wieś w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

Tarnów od Góry św. Marcina<sup>37</sup> ozdobiony jest pałacem książąt Sanguszków i dosyć obszernym ogrodem. Całe to miejsce zowie się Gumniska<sup>38</sup>.

O mało nie ubliżyłem Tarnowowi ważnym przeoczeniem. Jest on ojczyzną i mieszkaniem głośnego tu wyrabiacza<sup>39</sup> fajek drewnianych, Kopla. Jego fajki, zwane „koplówki”, zasługują w istocie na sławę, jaką mają w sferze okolicznych fajczarzy. Zalecają się i materiałem wybornym, i robotą gustowną, a w trwałości nie dorówna im żadna inna fajka. Zapewniają mnie o tym wiarygodni i właściwi sędziowie w tej dziedzinie. Co do innych przymiotów, ja nawet mogę świadczyć, bo sam posiadam dwie koplówki, umyślnie dla mnie robione. To mi dało sposobność poznać szanownego Kopla; człowiek to prosty, skromny, zdaje się nie wiedzieć, jak jest sławny. Handel jego znaczny, bo co roku kilkaset fajek zamawiają do Wiednia.

Na bliższe przypatrzenie się zasługuje okolica Tarnowa, zwłaszcza jej część widziana z tej tu strony Dunajca, z doliny, w której leży Wojnicz. Widok ten jest zdecydowanie lepszy od zwyczajnego. Nade wszystko południowa jego strona, górzysta, objawia na pierwszy rzut oka, że jest już rodziną Karpat — rodzina drobna wprawdzie i tak się ma do pnia swojego, jak my do naszych ojców przedpotopowych.

Okazałe garby, rozmaitego kształtu, ogromu i kierunku, to na wpeł obwieszane lasami, to całkiem odziane ich czernią, to strojne smugami pól uprawnych, to obetkane gronami gęstych wiosek, poźłobione rozdołami<sup>40</sup>, tym głębszymi, tym bardziej urwistymi, im dalej ku Karpatom<sup>41</sup> idą; obwiedziona u podnóża kobiercami łąk świeżych i wstęgami potoków zmiennej barwy, według chmurnego lub jasnego nieba, igrających podczas pogody jak sarna oswojona, a przy pierwszym deszczu nabrzmiałych, wzburzonych, rzucających się jak zwierz rozjuszony, jednym słowem nieugłaskanych, dzikich jak łono przyrody, która je poczyna — oto są pierwsze z tej strony wejścia do gmachu, którego kopułą są Tatry, a wieżami Łomnica<sup>42</sup> i Krywań<sup>43</sup>.

Płasczyzna, która się od nich poczyna i rozwija ku Wiśle<sup>44</sup> przez mil kilka, podnosi jednotonnością swoją różnaitość podgórze, a odosobniona Góra św. Marcina, panująca z jednej strony nad Tarnowem i jego niskimi polami, z drugiej nad drobniejszym pasmem pobliskich wzgórz, zda się stać na straży podgórze, być jednym z szeregu kopców odgraniczających dziedzinę gór od dolin.

Taki jest główny zarys okolicy, którą przecina gościniec wiodący z Tarnowa ku Krakowowi<sup>45</sup> — kierunek jego ze wschodu na zachód. Po lewej stronie panują wzgórza, prawą zalegają niziny. Droga, niska z początku, przechodzi pod Tarnowem kryty most na Białej, pomija brzezinę koszycką<sup>46</sup> i podnosi się nieznacznie przez pół mili, aż stanie na grzbiecie wzgórze wsi Zgłobice<sup>47</sup>, skąd po raz pierwszy dają się widzieć podróżnemu Tatry, odległe stąd o mil kilkanaście, a tuż pod nogami Biały Dunajec<sup>48</sup> i z drugiej jego strony dolina Wojnicka<sup>49</sup>.

Miasteczko Wojnicz leży przy tymże gościńcu, o dwie mile od Tarnowa. Małe, a jeszcze mniej porządne (jak wszystkie niemal miasteczka galicyjskie), wszakże bardzo dawne i historyczne. Autor dzieła *Żywoty świętych polskich*<sup>50</sup>, które mam właśnie pod ręką, utrzymuje w tekście o życiu Bolesława Śmiałego<sup>51</sup>, że żony niewierne mężom, których wojna

<sup>37</sup>Góra Świętego Marcina — wzgórze położone na pld. wschód od centrum Tarnowa. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Gumniska — dawniej wieś, obecnie część Tarnowa. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>wyrabiacz (daw.) — wytwórca. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>rozdoł — głęboka, wąska dolina. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Karpaty — łańcuch górski w środkowej Europie. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>Łomnica — szczyt tatrzański, obecnie na Słowacji. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Krywań — szczyt tatrzański, obecnie na Słowacji. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>Wisła — najdłuższa polska rzeka; miasto w województwie śląskim, w powiecie cieszyńskim. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>Kraków — miasto powiatowe w pld. Polsce, obecnie stolica województwa małopolskiego. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>brzezina koszycka — las pod Koszycami, miejscowością na południe od Tarnowa. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>Zgłobice — wieś w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>Biały Dunajec — rzeka w pld. Polsce, prawy dopływ Dunajca. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>dolina Wojnicka — dolina Dunajca w okolicy Wojnicza. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*Żywoty świętych polskich* — dzieło Floriana Jaroszewicza (1694–1771) pt. *Matka świętych Polska albo żywoty świętych*, opublikowane w 1767 r. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Bolesław Śmiały a. Bolesław II Szczodry (ok. 1042–1081/1082) — książę Polski w latach 1058–1076, król Polski w latach 1076–1079. [przypis edytorski]

ruska i rozpusta kijowska trzymały zbyt długo poza domem, obawiając się kar za przeniewierstwo małżeńskie, ogłoszonych i wymierzanych przez króla, okopały się w tym miejscu ze swoimi kochankami i zacięcie broniły się przeciwko oblegającym je siłom. Zwalczone je na koniec, a Bolesław na pamiątkę tej niezwyklej wojny założył miasto i Wojniczem je nazwał. Bądź co bądź, to pewne, że miejsce to było warownią; ślady tego zachowują się dotąd w okopach niezwyklej wysokości na południu miasteczka, jak i w tym, że była kasztelania<sup>52</sup> wojnicka.

Podanie powyższe o walce żon z mężami może się więcej odnosić (i w rzeczy samej lud je odnosi) do okopów, które leżą o pół godziny drogi od Wojnicza ku Dunajcowi, na wierzchołku góry znacznie wyniesionej, która z tego powodu zowie się dziś według niektórych Babią Górą, a powszechniej Panieńską. Później miał tam stać zamek, zbudowany przez królową Bonę<sup>53</sup> i dany Firlejowi<sup>54</sup>. Nie byłem jeszcze w tym zamczysku, ale mi powiadano, że okopy są nierównie przestronniejsze i wyższe od wojnickich.

## ŚLÓWKO O LUDZIE TARNOWSKIM

Mało bardzo mam sposobności zetknąć się bliżej z tutejszym ludem. Stosunki moje z nim są bardzo ograniczone, wiadomości o nim zbyt ogólne, ale wyobrażenie prawdziwe.

Lud ten jest jednością z krakowskim. Znać to na pierwszy rzut oka. Budowa ciała, rysy twarzy pokazują tę jedno-plemiennność. Ten sam ubiór, tylko mniej strojny, ubóstwo widoczne. Błyska w nim także nieraz prawdziwa krakowska bystrość i żywość. Zaród<sup>55</sup> na dnie duszy dobry, piękny, nieliczne przymioty w ukryciu, ale w ogólności rzadko objawia swoją pocziwą, dobrą stronę. Tchnienie jakiegoś zepsucia, obcego jemu, straszliwie przeciągnęło nad nim i dotknęło głębokim skażeniem słowiańską jego istotę. Sam dzisiaj nie wie, czym jest, traci coraz bardziej pamięć i wiedzę o sobie, a kto to traci, temu trudno poznać się na swojej wartości moralnej i okazywać ją światu — wówczas wady, namiętności przedstawiają się jako przymioty.

Uczucie godności własnej, cechujące Krakowiaka, w chłopie tarnowskim przeradza się w oburzającą zuchwałość, szczególnie w stosunkach z miejscową szlachtą, z dziedzicami. Miłość chrześcijańska gaśnie w nim zupełnie pod uczeniem nienawiści. Lada spór wywołuje zemstę; niewiele mu potrzeba, aby ogień podłożył pod gumno swojego przeciwnika, co nazywa: „zaświecić świeczkę komu”. Ale jest że to w szlachetnym charakterze naszego ludu? Nie jest że to głębokim jego upadkiem? Nie lubię słuchać ich śpiewów, bo pod tym względem strona ta przypomina mi Ukrainę. Krakowiak śpiewa wiele, ale co za różnica w charakterze śpiewu! Tam cię śpiew rozrzewnia, podnosi, przywiązuje do ludu, a tu obraża, oburza, odstręcza. Nie znajdziesz w nim uczuć delikatnych, wyższych, jak w śpiewie ukraińskim, tylko w natchnieniu żółć lub rozpusta, w wyrażeniach cynizm obrzydły, tym smutniejszy, że muzyka prawie zawsze skoczna, wesoła, że człowiek bawi się obrzydliwością, znajduje w niej upodobanie. Znam, prawda, kozaki<sup>56</sup> podobnego ducha, ale wiadomo, że one po największej części są własnością torbanistów<sup>57</sup>, echem zepsucia dworskiego, nie są powszechne między ludem. Krakowiaki Tarnowian są dziełem ludu i niepodobna, żeby kiedyś nie odpokutował za to.

Smutny widok! Biedny lud! Tym biedniejszy, że nie ma ręki, co by się ofiarowała z prawdziwej miłości pomóc mu wejść na powrót w ten karb chrześcijański, który sam jedynie jest uczciwością, oświatą, prawem najwyższym, a następnie szczęściem i zbawieniem ludu chrześcijańskiego. Uchowaj Boże, abym utrzymywał, że ta czarna zasłona leży na całym ogóle tutejszego ludu. Nie! Są wyjątki i wsie całe, i w każdej wsi pojedyncze osoby, które wiążą tę część z całością plemina, terażniejszość jego z przeszłością. Są lu-

Lud

Śpiew

<sup>52</sup>*kasztelania* — jednostka administracyjna podziału terytorialnego w średniowiecznej Polsce, której ośrodkiem był kasztel (zamek lub dwór obronny). [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*Bona Sforza d'Aragona* (1494–1557) — królowa Polski i wielka księżna litewska, żona Zygmunta Starego, matka Zygmunta Augusta i Anny Jagiellonki. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*Firlej, Piotr* (1496/1497–1553) — polski magnat, dworzanin królewski i kasztelan chełmski; faworyt królowej Bony, zasłużony dla architektury budowaniem zamków (m. in. Janowiec, Lewartów). [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*zaród* (daw.) — załazek, zarodek. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*kozak* — tu: ludowy taniec ukraiński. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*torbanista* — muzyk grający na torbanie a. teorbanie, instrumencie podobnym do lutni. [przypis edytorski]



dzie wierni odwiecznemu duchowi słowiańskiemu, ale zło dlatego jest bardzo rozszerzone, bardzo widoczne.

Głównym zatrudnieniem i źródłem utrzymania mieszkańców tej okolicy jest rolnictwo. Ziemia w ogólności urodzajna, a niektóre miejsca, zwłaszcza na równinie koło Wojnicz, przybliżają się do najżyźniejszych pól sandomierskich. Lud ten mógłby stanąć prędko w dobrym bycie, ale ma ku temu wiele przeszkód na zewnątrz i wewnątrz siebie. Najglówniejszą jest wewnętrzna opieszałość, próżniactwo, a drugą po niej — skłonność do pijaństwa.

Co trzeba im przyznać, to wysoką zdolność do koni. Zręczność ich w prowadzeniu koni, w powożeniu jest istotnie rzadka. W tym celu, są prawdziwymi Krakowiakami. Lubią konie i mają ich dosyć, toteż furmanowanie i przewożenie towarów jest jedną z gałęzi ich zarobkowania.

Kobiety, jak w ogólności Krakowianki, są powabne żywością, są hoże<sup>58</sup>, a często niepospolicie ładne. Ale ubóstwo znać w ich ubiorze jeszcze więcej jak w ubiorze mężczyzn.

Rozprężenie obyczajów mniej tu widoczne jak na Rusi<sup>59</sup>, po wielkiej części stąd, że kobiety są zimniejsze, mają mniejszy temperament niż Rusinki. Zepsucie jednak i pod tym względem jest niemałe, a najwięcej przyczyniają się do tego wojskowi.

O szlachcie tutejszej mniej jeszcze mam do powiedzenia niż o chłopach. I tu także zostało niewiele śladów dawnego dobra, a nowo nabyte nie wiedzieć do czego podobne. Chciałbym powiedzieć o wszystkich, co mógłbym powiedzieć o niektórych znanych mi bliżej, ale nie mogę, bo albo ich wcale nie znam, albo znam z próbek bardzo niekorzystnych. Zdarzyło mi się kilka razy spotkać niektórych w oberży w Tarnowie. Myny wprawdzie zawiesiste, hałasów wiele, ale we mnie, patrząc na to wszystko, budził się tylko żal wewnętrzny. Myślałem sobie: „Mój Boże, nie dość nam widać przysłowia «Mądry po szkodzie» — zarabiamy sobie na nowe «Waleczny po bitwie»<sup>60</sup>”.

Nadto Tarnów dorobił się smutnej sławy z powodu szulerki. Prawda, że niedawno nazbierali tyle laurów, że mają za co grać i co przegrywać, ale i w tym powinna być pewna miara.

Tarnowskie słynie obfitością szlachty drobniejszej, nie zbywa jednak i na magnatach. Jednego wieczora tej zimy, aby się mróz przesilił, liczone zamiast łysych, jak się to robi zwyczajnie, hrabiów i baronów w Tarnowskim i naliczyliśmy ich trzydziestu kilku: kobiety i dzieci, ma się rozumieć, nie wchodziły w rachunek.

## NA PANIEŃSKIEJ GÓRZE

Niebo pogodne, ziemia rozjaśniona, w odległych okolicach tylko mgła oddalenia — poranek zgoła rzadki o tej porze roku. Taki był poranek, kiedy wstępowałem na Panieńską Górę. Wchodziłem od strony wschodniej, od Dunajca.

Płaszczyna niska, zamknięta pasmami wzgórz, między którymi Dunajec się przerzyna, zdaje się być jego dziełem z czasów zapewne bardzo oddalonych i można łatwo wierzyć opowieściom, że kiedyś koryto tej rzeki ocierało się o podstawę Panieńskiej Góry. Sama góra wznosi się z trzech stron od razu nad płaszczynę, tylko od zachodu przesmyk wyżyny spaja ją z pasmami innych wzgórz, rozbiegających się później w różne strony. Boki góry zasiane do pewnej wysokości krzakami jałowca, gdzieniegdzie ustępy niekształtnych dolin, w jednej z nich po stronie wschodniej, bliżej szczytu niż dna, źródło najczystszej, najświeższej wody. Od południa kilka chatek niemal ukrytych zupełnie w wyżłobieniu doliny, a dopiero wyżej prostopadłe prawie ściany okopu, który otacza szczyt góry. Okrążywszy północnym bokiem spód okopów, wszedłem na grzbiet góry stroną zachodnią i drożyną usypaną przez fosę dotarłem między wały.

Pierwszy pokłon obecności, która się rozwija w okolicznej przyrodzie. Wiele razy musiałem powieść okiem po wszystkich stronach, aby je oswoić z przepychem ogółu i pojąć coś w takim tłumie szczygółów, na takiej przestrzeni.

<sup>58</sup> *hoży* — zdrowy, urodziwy. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *Rus* — tu: prawdopodobnie Rus Czerwona, kraina historyczna na terenie płn.-zach. Ukrainy i pld.-wsch. Polski. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *Waleczny po bitwie* — prawdopodobnie aluzja do klęski powstania listopadowego. [przypis edytorski]

Szlachcic

Góra

Na południe miałem Biały Dunajec. Pręga jego, rozjaśniona podnoszącym się słońcem, czysta i szeroka, wypłynąwszy spomiędzy wyżyn, które południową część widnokrzęgu zamykały, błąkała się okazałe między górami. W dwóch równoległych prawie rzędach podnosiły się wzgórza z obu stron doliny i odbijały na skrętach pęd niesfornej wody, dopóki ta, znudzona bezskutecznym usiłowaniem, nie rzuci się na dolinę wojnicką, na nieobejrzaną płaszczyznę, gdzie w swobodnym już biegu dochodzi aż do swojego połączenia się z Wisłą. Kilka wiosek, liczne załomy wzgórz i pola łysiejące wśród lasów urozmaicały południową część krajobrazu, a dalej, daleko, nad wodami, dolinami i piętrzącymi się w kilka stopni wzgórzami, panował widok Tatrów — jak korona okolicy, ukuta ze srebra śniegów i mrocznej barwy opok, które przez odległość wydawały się mgłą wół przejrzystego obłoku.

Zupełnie różny, a nierównie rozleglejszy widok był od północy. Z tej strony oczy nużą się na płaszczyznach w całym znaczeniu tego wyrazu. Aby mieć jakiegokolwiek pojęcie tego obrazu, potrzeba sobie przedstawić powierzchnię kilkunastomilowej równiny, której wyniosłości, jeżeli są jakie, nikną dla oka z punktu, na którym stałem — powierzchnię ustrojoną najrozmaiciej w drzewa, wody, pola, wsie, we wszystko, co przyroda dzika i oswojona, śmiejąca się i zachmurzona dostarczyć mogą.

Począwszy od Panieńskiej Góry (w kierunku jednego tylko promienia z mego stanowiska), u której stóp Wielka Wieś<sup>61</sup> tuż leży, nieustannie rozwijają się oku idącemu naprzód wieńce, splecione z najrozmaitszych przedmiotów, coraz obszerniejszym łukiem. Bliżej, między rozległymi polami, między gromadą gęstych, obsadzonych sadami wiosek, uderza cię przyjemnie Wojnicz białym kościołem i gronem miejskich domów. Dalej, jak gaj nadwodny, przytykają do Dunajca Mikołajowice. W dalszym jeszcze paśmie wiosek śnieżne płatki kościoła Wierzchosławic<sup>62</sup> i chat wiejskich. Jeszcze dalej, na prawo i lewo Puszcza Niepołomicka<sup>63</sup>, mury Radłowa<sup>64</sup> zaledwie widoczne, nadwiślańskie piaski, Dunajec rozpleciony w kilka smug jasnych. A za tym wszystkim ciemna, mglista zasłona krain zawiślańskich, gór i borów Świętokrzyskich. Przydad do tego po prawej i lewej twojej ręce rząd wzgórz — to łysych, to wsiami obsadzonych, to lasami najeżonych — z piersiami to zielonymi i okrągłymi, to ściętymi prostopadle. Przydad Dunajec odzwierciedlający te wzgórza. Przydad most na Dunajcu. Przydad wielki gościniec przecinający dolinę pod stopami, ożywiony snującym się ciągle rojem podróżnych i białych bryk kupieckich, a masz w głównych zarysach widok z Panieńskiej Góry.

Trudno schwycić ten widok. Jeszcze trudniej — myśli, które się zbudziły w tej chwili, podniosły się rojem i zaćmiły mi wszystko. Widok, to miejsce podania, na którym stoję, zbieg wypadków publicznych i osobistych dla mnie, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zmieszały się wichrem w mojej duszy. Bezwiednie zrobiłem kilka kroków naprzód, trąciłem nogą krzak jałowca. Pierzchnęła spłoszona liszka. Opamiętałem się, wzburzenie wewnętrzne cichło powoli wobec chęci znalezienia gniazdko jednej ptaszyny. Przykląkłem, zgmiotłem fiołek, owionęła mnie woń jego. Położyłem się przy nim, spadzistość okopu była moim wezglowiem, białe kwiatki poziomek i błękitne pęki fiołków wieńczyły posłanie z pierwszych wiosennych trawek. Okrąg wału zamykał widnokrzęg kilkuset kroków. W górze tylko niebo z wędrownymi chmurkami, a na ziemi dokoła drobny gruz gmachów, stawianych Bóg wie kiedy i jak, wspaniałych. Ocieniały je gdzieniegdzie krzaki jałowca, osłaniały wieńce trawy, tego najmilszego dziecka przyrody żyjącej, tej ostatniej dziedziczki najokazalszych dzieł ludzkich, najwierniejszej przyjaciółki ich rozwalin.

Po jałowcu czasem wiatr gwizdnął, za wałem słabo pobrzękiwał dzwonek trzody rozsypanej po stoku góry. Z daleka i jeszcze słabiej dolatywał z doliny głos oracza za pługiem, a wszystko zlewało się w atmosferę woni i muzyki tajemniczej, złożonej z pół-ciszy i pół-brzęku — jedynej muzyki godnej być melodią najgłębszych dumań samotnika.

Osiem wieków temu, pomyślałem sobie, jaki ruch, jaka wrzawa musiały zakłócać tę ciszę! Co za burza uczuć najśłodszych i najokropniejszych grała tu przed ósmioma stule-

Natura, Piękno

<sup>61</sup>Wielka Wieś — wieś położona w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>Wierzchosławice — wieś położona w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>Puszcza Niepołomicka — kompleks leśny w zachodniej części Kotliny Sandomierskiej, w pobliżu Krakowa. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>Radłów — miasto położone w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

ciami! Z jednej strony mężowie zemstą rozjuszeni, z drugiej piękność występna potrzebą kochania, wściekła rozpacz. Iluż to pieszczoł miłosnych, iluż to scen morderczych to miejsce było świadkiem! Stękała ziemia wśród walki, kruszyły się mury, wytłoczona trawa krwią krzepła, powietrze wrzało głosami wściekłości, wyciem bólu, jękami śmierci. A dziś i ziemia, i kamień, i powietrze tak głęboko milczą! Żadnego śladu — ani życia, ani śmierci — z owych czasów. Żadnego śladu z owych czasów, gdzie serc tyle tak pełnym biło życiem, gdzie tłum taki w rajskim lub piekielnym uczuciu rozwijał moc duszy, co mu jedną chwilę w wieczność obiecywała zamienić, tymczasem wszystko przeminęło. Głęboka przeszłość zaległa wszystko, jak puszcza nieprzejrzana, nieprzebyta, niezbadana. Tylko ty, poświęcona góro, przetrwałaś i trwać będziesz nieporuszona, jak pomnik zdarzenia zaliczanego dziś do wieści w pół bajecznych, odnawiając z każdym nowym pokoleniem wianek podania niezwiędły na twoim czole! Tylko ty, ziemio, jesteś wieczną dziejów człowieka świątynią! Jakąż czią religijną powinniśmy cię otaczać!

Marzenia moje coraz się bardziej zasępiały. A kiedym je chciał rozjaśnić rzutem oka na okolicę, dzień wiosenny zmienił się, niebo — pogodne przed chwilą — okryło się chmurami, mgła gruba zalała dolinę i zasłoniła przed okiem najbliższe nawet przedmioty. Rad nierad musiałem zejść ku domowi, zerwawszy kilka fiołków na pamiątkę odwiedzin Panieńskiej Góry i wzruszeń, jakich na niej doznałem.

## ŚMIGUS. DIABEŁ ISKRZYCKI — OPOWIEŚĆ

Dzień dzisiejszy, drugi Wielkanocnego Święta, obchodzą tu zabawą zwaną „śmigus”, znaną na Ukrainie, a podobno i w innych częściach naszego kraju: jest to oblewanie się wodą chłopców przez dziewczęta i dziewcząt przez chłopców. Najpodobniejsze do prawdy jest wyjaśnienie, że tym sposobem przechowuje się pamiątka pierwszego chrztu Polaków, który właśnie około tego czasu (w marcu) miał miejsce za Mieczysława I<sup>65</sup>. Co by znaczyła nazwa „śmigus”, nie mogę się dowiedzieć.

W tym dniu są także maski. Widziałem je, bo przyszły do dworu. Jeden parobek przebrany był za niedźwiedzia, drugi za Cygana<sup>66</sup> i wyprawiali sztuki, jakie u nas często pokazują Cyganie wędrujący z niedźwiedziami, po czym prosili obecnych o „śmigus”, to jest o pieniądze na wódkę.

Zaliłem się już na trudność zbliżenia się do tego ludu, stąd mój zapas głębszej jego znajomości jest bardzo szczupły, udzielam jednak i tę trochę, co mi się dotąd udało schwycić.

Lud ten ma także właściwe sobie życie umysłowe, swoją poezję, swoją muzykę, wspólną z resztą Krakowiaków, ma równie tajemniczą stronę wiedzy i pełno mniemań, wierzeń, zabobonów, a następnie powiastek, które stąd płyną.

Nie jest on wolny od czarownic. Niedawno na Zawodziu, folwarku należącym do wsi Szczepanowice<sup>67</sup>, a w pobliżu Wojnicza, czarownica zasiała jeden zagon solą, a drugi pieprzem i sprowadziła przez to nawalny<sup>68</sup> grad, który zrobił wiele szkody w okolicy.

Wieśniacy tutejsi mają pewien rodzaj poszanowania dla węzów. Zdarza się nieraz, że w czasie żniwnym chłop, składając snopy na wóz, wytrzęsie z nich węża. Tego węża za nic zabić nie pozwoli; pewny jest, że zabicie ściągnęłoby na jego gospodarstwo niebłogosławieństwo<sup>69</sup> boże. Sądzę, że ta cześć jest jeszcze zabytkiem dawnej religii słowiańskiej, gdzie już nie w tym tylko jednym przebłyskiwała miłość bratnia dla stworzenia, którą Twórca chrześcijaństwa podniósł nad wszystko, jako źródło cnót wszelkich.

Z powiastek gminnych umieszczam jedną, która mi się bardzo podobała.

Pewien pan z okolic Tarnowa potrzebował ekonom<sup>70</sup>. Kiedy się tym kłopoce, przychodzi człowiek nieznajomy, powiada, że się zowie Iskrzycki i że szuka miejsca. Właśnie takiego było potrzeba. Staje więc umowa bez trudu, a nawet podpisuje się kontrakt. Już go pan wręcza Iskrzyckiemu, kiedy postrzega, że jego przyszły ekonom ma pazury wcale

Obrzędy, Obyczaje

Czarownica

Wąż, Zabobony

<sup>65</sup>Mieczysław I a. Mieszko I (922/945–992) — władca Polski z dynastii Piastów, ojciec Bolesława I Chrobrego. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>Cygan — człowiek narodowości cygańskiej, Rom. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>Szczepanowice — wieś w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>nawalny (daw.) — silny, gwałtowny. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>niebłogosławieństwo (daw.) — brak błogosławieństwa, kara boska. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>ekonom — w dawnych majątkach ziemskich nadzorca prac rolnych. [przypis edytorski]

nie ludzkie. Zmieszany zrazu, wahając się przez chwilę, co począć, zbiera w końcu siły i zrywa całą umowę. Ale Iskrzycki ani chce słuchać, obstaje przy umowie, przysięga, że raz podpisawszy kontrakt, musi spełnić, do czego się zobowiązał, póki nie wysłuży czasu umówionego, po czym wychodzi i znika z oczu. Ale obiera sobie mieszkanie w jednym z pieców domu i stamtąd pełni swoją służbę jak najgorliwiej na każde zawołanie, tylko że go nikt nie widzi. Państwo z początku bali się, powoli jednak tak przywykli do Iskrzyckiego, tak się przekonali o jego przychylności, że wyjeżdżając z domu, oddawali mu dzieci swoje pod opiekę. Ale sąsiedzi oburzali się na to posługiwanie się diabłem i głośno szemrali. Zaniepokoiły te mowy najbardziej samą panią i zaczęła ona ze swojej strony kłopotać męża. Po długim wreszcie nastawaniu wymogła na nim, ażeby na jakiś czas opuścić to mieszkanie. Wskutek tego postanowienia wzięto dzierżawę gdzieś za Wisłą i wyruszono ku niej. Otóż są już w podróży, radzi, że diabła sztuką podeszli. Nieszczęściem wypadło przebywać drogę tak złą w jednym miejscu, że się powóz przechylił, a pani w przestrachu krzyknęła. Aż tu odzywa się za powozem: „Nie bój się, pani! Iskrzycki z wami”. Państwo zdumieli się, a zarazem poznali, że nie było sposobu uwolnić się od sługi tak wiernego, zawrócili więc do domu i żyli z nim w dawnej zgodzie, dopóki nie nadszedł termin oznaczony kontraktem. Po tym czasie Iskrzycki opuścił dom na zawsze.

Inne podanie jest w duchu bardziej religijnym. Stało się to przed wieloma laty, we wsi Głęboka<sup>71</sup>, w obwodzie jasielskim<sup>72</sup>. Pewien chłop chciał sobie podjeść przed nabożeństwem, a był to dzień święty Bożego Ciała. Bierze więc chleb, który według zwyczaju naszego ludu leży zawsze na stole nakrytym, i zaczyna krajać. Zaledwie odkroił kromkę, postrzega, że tak część odkrojona, jak i cały chleb zamieniły się w kamień. Chleb ten przechowują dotąd potomkowie tego chłopca jako pamiątkę religijną i przepis namacalny, aby dzień święty święcić.

W tych czasach zaszło tu zdarzenie, w którym dla wielu znajdzie się ciekawa nowość. Rozeszła się wieść, że rząd ma wybrać pewną liczbę dziewczek i wyprawić je do Ameryki, do jakichś osad. Wieść ta znalazła powszechną prawie wiarę i nawet strwożyła ludność wiejską. Cóż się w końcu okazało? Oto, że ją puścili spiżownicy<sup>73</sup>, którzy w jednej z tu-tejszych okolic dzwonił wylewali, w tym rozumieniu, że dzwonił będzie tym głośniejszy, im lepiej rozejdzie się wieść fałszywa, puszczona podczas jego lania.

Lud tarnowski ma jeszcze swoje przepowiednie pogody lub niepogody. Między innymi pewno jest suchego lata, kiedy deszcz pada na św. Wojciecha<sup>74</sup>.

<sup>71</sup> *Głęboka* — wieś w województwie małopolskim, w powiecie gorlickim. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> *Jasło* — obecnie miasto powiatowe w województwie podkarpackim. [przypis edytorski]

<sup>73</sup> *spiżownik* — rzemieślnik odlewający przedmioty ze spiżu. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *św. Wojciech* a. *Wojciech Sławnikowic*, a. *Adalbert z Pragi* (ok. 956–997) — czeski książę, biskup Pragi, misjonarz do Prus, męczennik, święty Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

# DROGA DO NOWEGO TARGU

## LUSŁAWICE<sup>75</sup>. ZAKLICZYN<sup>76</sup>

Puszczam się na koniec ku Tatom. Za dni dwa ujrzę je z bliska, będę już jakby między nimi. Wielka to dla mnie radość!

Pożegnanie w Mikołajowicach było długie, wyjechaliśmy późno, nadto ciągle deszcz pada, drogi rozmokły, niedaleko dziś zajedziemy. Ale trzeba raz wyjechać — wyjeżdżamy. Przebywamy Wojnicz, okrążamy Panieńską Górę, przewozimy się u jej stóp przez Dunajec, pomijamy wieś Janowice<sup>77</sup>, jesteśmy w Lusławicach. Tu zatrzymam przynajmniej uwagę.

Lusławice, wioska dziś niewielka, miała być znaczną osadą przed laty. Świącki<sup>78</sup> w *Opisie starożytnej Polski* powiada, że miejsce to było jakąś stolicą arianów<sup>79</sup> i liczyło do trzystu rodzin arianskich. Arianie mieli tu swoje szkoły i drukarnię. W Lusławicach umarł i pogrzebany jest sławny Socyn<sup>80</sup>, twórca sekty socynianów. Dotąd lud miejscowy pokazuje wysoką jego mogiłę, porosłą dzisiaj ogromnymi drzewami.

Zmierzchało się już, kiedyśmy opuszczali Lusławice i znaleźli się w Zakliczynie, który dotyka prawie Lusławic. Niepędzeni niczym, a moczeni deszczem, umyśliliśmy przenocować w Zakliczynie, zrobiszmy dzisiaj dwie lekkie mile drogi.

Zakliczyn jest podobno miasteczkiem. To pewne, że pełny błota niepospolicie głębokiego, przynajmniej dzisiaj. Nie można mu tego mieć za złe, bo leży na niskiej płaszczynie i rozszony jest mnóstwem strumyków czy rynsztoków, nie wiem dobrze. Słynie także szewstwem, mniej niż dawniej, ale zawsze słynie. Było ono głównym zatrudnieniem — jak i dziś jest — mieszkańców Zakliczyna, tylko że dawniej była większa ludność. Powiadają, że w owych czasach Zakliczyn zaopatrywał skórą i obuwiem najdalsze strony Galicji. Główne jarmarki tutejszych szewców były w Brzesku<sup>81</sup>, do którego stąd przez góry za Dunajcem przeprować się trzeba. Pośpiech, z jakim zdążali do owego miasteczka leżącego stąd o cztery mile, miał zrodzić przysłowie: „Spiesz się jak szewc z Zakliczyna”. Upodobanie w tym rzemiośle zachowuje się dotąd między mieszkańcami Zakliczyna. Według niektórych ma tu być do 400 rodzin trudniących się szewstwem, ale sądzę, że ta liczba jest przesadzona, zważając wielkość Zakliczyna.

Okolica jego niczym się nie odznacza. Dopiero przeciwny brzeg Dunajca daje mu piękny widok wyniosłym swoim położeniem, a nade wszystko gruzami po sławnym zamku melsztyńskim. Wśród deszczu i zmierzchu zobaczyłem go dzisiaj z naszej drogi.

## BRUŚNIK<sup>82</sup>. PALEŚNICA<sup>83</sup>. SĄCZ NOWY<sup>84</sup> I STARY<sup>85</sup>. KASPEREK

Dzień pogodny i całkiem ładny. Ale nim rozpocznę dalszy opis drogi naszej prostej, powiem słów kilka z powodu wsi Bruśnik, gdzieśmy dziś na chwil kilka zboczyli. Leży on o trzy mile na wschód od Lusławic. Oto, co mi jego właściciel opowiadał; zapisuję tę powieść dla jej związku z dziejami arian.

Na polach Bruśnika znajduje się pieczara znacznej długości. Służyła ona arianom podczas ich prześladowania w Polsce do tajemnych schadzek. Wejście do niej zawałone dziś

<sup>75</sup>Lusławice — wieś w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Zakliczyn — miasto w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>Janowice — wieś w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>Świącki, Tomasz (1774–1837) — polski prawnik i historyk, autor książki *Opis starożytnej Polski*. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>arianie a. *bracia polscy*, a. *socynianie* — zwolennicy arianizmu, doktryny teologicznej Ariusza (256/260–336). [przypis edytorski]

<sup>80</sup>Socyn, Faust (1539–1604) — właśc. Fausto Sozzini, włoski reformator religijny i teolog, twórca socynianizmu i doktryny religijnej braci polskich. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>Brzesko — miasto powiatowe w województwie małopolskim. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Bruśnik — wieś w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>Paleśnica — wieś w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Sącz Nowy a. *Nowy Sącz* — miasto powiatowe w województwie małopolskim. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Stary — właśc. Stary Sącz, miasto w województwie małopolskim, w powiecie nowosądeckim. [przypis edytorski]

jest kamieniami, ale przed kilkunastoma laty można było jeszcze zwiedzać jej wnętrze. Ma ono być starannie urządzone sztuką ludzką; schody były wygodne i nienaruszone. Dziś mniemanie ludu złożyło w niej niezmierne skarby, których czarci strzegą. Na dowód, że tak jest, przytaczają opowieść o kulawym ślusarzu z Bruśnika, który niedawno zmarł. Dowiedział się on, nie wiadomo jakim sposobem, że czarci w pewne święta rozchodzą się na jutrznie<sup>86</sup> i zostawiają pieczarę bez żadnej straży. Korzystając z tego, a pragnąc pieniędzy, udał się do pieczary w porze przyjaznej. Znalazł w samej rzeczy, jak żądał; nabrał pieniędzy, ile mu się podobało, i szczęśliwie wrócił do domu. Ta wyprawa zachęciła do drugiej i kolejnych. Zawsze mu się udawało. Raz, bardziej chciwy niż zwykle, zabawił się rabunkiem dłużej, niż wypadało. Wtem czarci nadbiegają i łapią go na gorącym uczynku. Nie dał się schwytać, to prawda, zdążył wymknąć się za drzwi, ale kiedy dla większego bezpieczeństwa chciał je zamknąć za sobą, zatrzasnął z takim pośpiechem, że mu pięć ucięły, od czego do śmierci już chromał<sup>87</sup>.

Chciwość

Teraz wracam do naszej podróży.

Od Zakliczyna pod klasztor bernardynów<sup>88</sup> zwraca się droga na wieś Paleśnicę, między wysokie wzgórza. Ta część drogi nie jest przyjemna. Głęboki wąwóz, koryto potoku Paleśnicy, które trzeba kilkadziesiąt razy przekroczyć, wzgórza po obu stronach jednotonne i niezbyt bujnym lasem porośnięte, wieś Paleśnica długa, nieporządna — oto są przedmioty całomilowej podróży. Ale jest to droga jak każda wiodąca do miejsc błogosławionych. Za ledwo bowiem opuści się Paleśnicę, wnet wjeżdżasz na szeroki, bity gościniec pośrodku pięknego jodłowego lasu. Nie zdejmuje on z ciebie trudów od razu, bo idzie stromo i długo pod górę, ale za to wyprowadza cię na szczyt Posadowej<sup>89</sup>, skąd ci pokazuje na ogromnej przestrzeni najwładziwszy kraj i wygodnym szlakiem spuszcza się ku niemu.

Podróż, Las, Góry

Tu się już zaczynają miejsca nacechowane urokiem, który górom tylko jest właściwy. Rozległe lasy z drzew wszelkiego rodzaju, pomiędzy nimi przegładające gdzieś skały. Wzgórza — tu lekko pochyłe i jakby splecione jedno z drugimi, tam wznoszące się pojedynczo i stromo jak piramidy — towarzyszą podróżnemu aż do równiny, gdzie go znowu wita Dunajec pożegnany przy Melsztynie<sup>90</sup>. Ulubione to dziecię Tatrów już nieprędko spuści nas z oka.

Wkrótce mijamy miasteczko Zbyszyce<sup>91</sup>. Jeszcze parę stromych, długich gór i oto widzimy się nad rozległą, śliczną doliną sądecką<sup>92</sup>. Trzy rzeki ją przepłatają: Dunajec, Poprad<sup>93</sup> i Kamienica<sup>94</sup>. Pośrodku doliny, osadzony u zbiegu tych rzek, Nowy Sącz błyszczy nimi jak wieniec rozpuszczonymi wstęgami... Chciałbym opisać tę dolinę, ale w tej chwili jest to nad moje siły.

Niepodobna wyliczyć wioski, które ją zaludniają. Niepodobna ująć w słowa uroczyste, tysiąc-kształtne splecenie dolin, gór, lasów, które składają czarodziejski jej okrąg. Od południa mianowicie wzgórza utworzyły majestatyczną budowlę. Rosną one stopniami do kilku pięter, a każde krocie stóp<sup>95</sup> liczy. Każde piętro, każdy parów zdaje się wabić do siebie: „Macie tu drabinę z pól, z lasów, macie tu niskie, tajemne uliczki — tymi uliczkami, po tej drabinie, do nich, do Tatrów!”. One tak wzywają, a Tatry, szczyt ich szczytów, zasłaniają się chmurami i odsłaniają, jak owe w dawnych wiekach czarodziejki igrające ze swoimi kochankami. Pod takim urokiem przebiegłem dolinę i dotarłem do Nowego Sącza.

To miasto — stolica dzisiaj obwodu o tej nazwie — leży na wysokim brzegu Dunajca, oblane z drugiej strony Kamienicą. Dawniej otoczone było murem i okopem, których ślady dotąd jeszcze przetrwały. Zamek przez Szwedów nadburzony wali się częściami

<sup>86</sup> *jutrznia* — katolicka modlitwa, odmawiana przed wschodem słońca. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *chromać* (daw.) — utykać, kuleć. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *bernardyni* — członkowie odłamu zakonu franciszkanów w Polsce. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *Posadowa* — dawna wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowosądeckim, u stóp góry Majdan (503 m) i Ostrzyż (448 m). [przypis edytorski]

<sup>90</sup> *Melsztyn* — wieś w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

<sup>91</sup> *Zbyszyce* — dawniej miasto, obecnie wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowosądeckim. [przypis edytorski]

<sup>92</sup> *dolina sądecka* — właściwie Kotlina Sądecka, rozległa kotlina w płd.-wsch. części województwa małopolskiego. [przypis edytorski]

<sup>93</sup> *Poprad* — rzeka na Słowacji i w Polsce. [przypis edytorski]

<sup>94</sup> *Kamienica* a. *Kamienica Nawojowska* — rzeka, prawy dopływ Dunajca. [przypis edytorski]

<sup>95</sup> *stopa* — tu: dawna jednostka długości (ok. 0,3 m). [przypis edytorski]

w podrywający jego posadę<sup>96</sup> Dunajec. Nowy Sącz można liczyć jeżeli nie do największych, to do najporządniejszych miast w Galicji.

O milę od niego leży Stary Sącz, starym miastem tu zwany. Droga między nimi równa i wyborna. Na ścianach lazaretu<sup>97</sup> wojskowego, który stoi blisko Popradu, oznaczono wysokość, do jakiej pamiętna powódź 1813 roku zalała tę dolinę.

Stare miasto słynie klasztorem panien franciszkanek<sup>98</sup>, założonym przez żonę Bolesława Wstydlivego<sup>99</sup>, świętą Kunegundę<sup>100</sup>, gdzie też księżna ta spędziła ostatnie lata swojego życia i umarła. Zakonnice chowają dotąd jej zasłonę i obraz, przed którym była zwykła się modlić. W czasie odpustów rozdają nabożnym po kawałku z tej zasłony, ale skutkiem cudu nigdy zasłony nie ubywa. Obraz ma tę własność, że odzież otarta on niszczy choroby i zabezpiecza od nich.

Między ludem tutejszym przechowuje się piękna opowieść o Kasperku. Kasperek był jednym z mieszczan i kupców Starego Sącza. Pewnego razu kupił on na Węgrzech wino, ale Węgier przez omyłkę między beczkami wina wydał mu beczkę z pieniędzmi. Poznawszy omyłkę, żądał od Kasperka zwrotu tej beczki. Kasperek się zaparł. Węgier zrobił mu proces i pociągnął do przysięgi. Kasperek przysięgnął tą rotą<sup>101</sup>: „Jeżeli nie mówię prawdy, niech mnie nie przyjmie po śmierci ani ogień, ani woda, ani ziemia, ani piekło, ani niebo”. Wkrótce umarł, ale nie było sposobu go pochować. Zakopany w ziemię, nazajutrz leżał na wierzchu; wrzucany w ogień — nie gorzał<sup>102</sup>; zatopiony — wypływał na brzeg. A zarazem włóczył się przez całą noc na białym koniu po ulicach miasta. Nikomu nic złego nie robił, był nawet tak powolny, że przez okno zaglądał, kiedy go zawołano po imieniu; tylko wiecznie milczał. Dopiero pewnej czarownicy udało się go zwabić i zaspokoić pogrzebem nowego rodzaju — oto powiesiła go na włosku. W tym więc położeniu uschnąwszy i w proch się rozsypawszy, zakończył swoją nocną jazdę.

## JAZOWSKO<sup>103</sup>. ŁĄCKO<sup>104</sup>. POGRANICZE GÓRALI BIAŁYCH I CZARNYCH<sup>105</sup>. KROŚCIENKO<sup>106</sup>. PIENINY<sup>107</sup>. CZORSZTYN<sup>108</sup>

Przez dobrą jeszcze milę jedzie się ze Starego Sącza doliną sądecką, pomiędzy osadami niemieckimi, po drodze wygodnej. Tam dopiero przeprawa przez Dunajec rozdziela z żyznymi sądeckimi polami i widokami równin, a wieś Jazowsko jest już jednym z punktów tej linii, która oddziela siedziby właściwych Górali od mieszkańców płaszczyn. Mieszkańcy też zza Jazowska zowią cały kraj — aż po tę linię — Polską. I w rzeczy samej, od Jazowska wszystko się zmienia: inna postać ziemi, inny lud pod wszelkim względem. Dolina zwęża się w kręty, ciasny wąwóz, wzgórze coraz wyższe i bardziej strome. Bukowe lasy przeważają, a owies jest najgłówniejszym przedmiotem rolnictwa. Ów Dunajec, jasny, poważny dotąd, zaczyna się pienić, szumieć po dnie płytkim i kamienistym — jest ciągłym wodospadem, tym bystrzejszym, im bardziej zbliżamy się ku jego początkowi. Ogromne, krągłe kamienie, które coroczna powódź nanosi i wyrzuca, zalegają jego brzegi.

<sup>96</sup>posada (daw.) — tu: podstawa, fundament. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>lazaret — wojskowy szpital polowy. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>franciszkanek a. klaryski — zakonnice należące do żeńskiego zgromadzenia katolickiego, opartego na regule św. Franciszka. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>Bolesław Wstydlivy a. Bolesław V Wstydlivy (1226–1279) — książę krakowski i sandomierski, ostatni przedstawiciel małopolskiej linii Piastów. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>św. Kunegunda a. św. Kinga (1224–1292) — żona Bolesława Wstydlivego; jej kult jest rozwinięty w Pieninach. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>rota — tu: formuła przysięgi. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>gorzeć (daw.) — palić się. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>Jazowsko — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowosądeckim. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>Łącko — gmina wiejska w województwie małopolskim, w powiecie nowosądeckim. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>Górale Biali i Czarni — dwie podgrupy, należące do grupy tzw. Górali Sądeckich. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>Krościenko a. Krościenko nad Dunajcem — dawniej miasto, a obecnie wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>Pieniny — pasmo górskie w łańcuchu Karpat, położone Polsce i na Słowacji. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>Czorsztyń — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim, na pograniczu Pienin i Górców. [przypis edytorski]

Droga też nie bardzo wygodna, jakkolwiek nie szczędzą starań około dobrego jej utrzymania. Od samego Jazowska idzie ona wciąż nad Dunajcem, to zbiegając ku niemu, to pnąc się wyżej i coraz wyżej, wzdłuż prostopadłych prawie zboczy, które w języku góralskim zowią się „oblazy”. W Łącku jeszcze raz podróżny odpoczywa na miłym ustępie obszernej dosyć równiny, ale tam przygotować się trzeba do trzymilowej podróży po górach i głębiach na przemian. Przeprawę tę można by porównać z kołysaniem się okrętu na wzburzonym morzu. Mimo to miłośnik przyrody nie może tu zaznać nudy i mimowolnie zapomina przykrości niewygodnej jazdy. Wieczny szum Dunajca, bielącego się pianą w zielonkawym korycie; podniebne z każdej strony wzgórze, rozpuszczające aż do stóp samych płaszczki z lasów, po największej części brzoźowych i bukowych; przepaściste ich szpary, skąd biją głośnie potoki; nagie ogromy głazów, wychylające się z zieleni polan i borów albo siedzące tuż przy drodze, z pochylonymi nad nią głowami; siedziby Górali, to długim rzędem pilnujące rodzinnej wody, to pojedynczo ukryte i ledwo dojrzone w gęstym lesie, pod wytoczoną górą, na swojej dolinie, przy swoim potoczku — wiążą się co krok, co skręt drogi, dla urozmaicenia widoku podróźnego.

Dodajmy powiew górskiego powietrza, rozproszone dokoła trzody, donośne ich dzwonki, śpiewy i flety pasterskie, Górala snującego się lekko po miejscach ledwo przystępnych i dojrzanych, w jego kusej guni<sup>109</sup>, w kapelusiku okrągłym, ozdobionym świeżą gałązką, a doznane wrażenie będzie snem przepowiednim uczuć, które niebawem w całej zupełności się rozwiną. W takiej okolicy leżą Kamiénica<sup>110</sup>, Ochotnica<sup>111</sup> i Tylmanowa<sup>112</sup>, zamieszkałe przez Górali zwanych się Białymi, dla różnicy od Górali Czarnych, którzy się gnieźdzą w głębszych już górach.

Dzień pogodny dogrzewał, ale między górami przeciągał wiatr ostry. Śniegi nocne leżały na wznioślejszych szczytach. Dolna połowa zieleniła się trawą i pękającymi drzewami, wyższą rumieniły wół ozywające buki. Nagle ukazało się Krościenko. Mała dolinka, jak gdyby góry tyle tylko się rozstały, aby zrobić miejsce tej osadzie, rozwija się przed nią. Olbrzymie Pieniny ze skał, poprzerastanych lasami, nagle się podniosły, a ścieśnione domy Krościenka i kościółek jego o czarnym dachu, przyparte do podnóża gór, wydawały się jak dzieło malarskiego pędzla na zielonym tle lasów. Dunajec wychodzi tu od południa i oblewa zachodnią stronę Pienin i Krościenka. Pasma nagich wzgórz po tamtej stronie Dunajca obfituje w kwaśne mineralne źródła. Szczawnica<sup>113</sup> o milę stąd odległa z dawna już słynie, źródło wody krościenkiej zaczyna być dopiero uczęszczane. Przeciwniej strony Pienin dotyka granica węgierska<sup>114</sup>, łożem<sup>115</sup> Dunajca odkreślona.

Pieniny są najwyższe w paśmie przedgórze Tatrów. Ozdabia je nadto urok wspomnień dziejowych. Na ich to warownym szczycie wznosił się ów zamek, w gruzy dzisiaj zamieniony, gdzie Bolesław Wstydlivy z Kunegundą znaleźli schronienie przed Tatarami<sup>116</sup>. W ich skalach pokazują dotąd pieczary długie do 200 stóp, które miały należeć do zamku i stanowić część podziemnego przejścia.

Z Krościenka skręca się drogą na zachód — do Czorsztyna tylko mila, a Czorsztyń strzeże wstępu do nowotarskiej doliny<sup>117</sup>.

Kto zbliżał się do miejsc, do istot najmilszych sobie, ten pojmie mój słodki niepokój, moją radość, że niebawem ujrzę główny cel mojej podróży, owe Tatry! Ale co nieprzyjemności przy tym: droga jak na przekór najgorsza w świecie, w połowie kamieniste koryto potoku zupełnie jak przez Paleśnicę, drugie pół wciąż pod górę — nie wytrzymałem, zdrzemnąłem się. Zbudziło mnie trącenie towarzysza podróży. Podnoszę zaspane oczy, zwracam je za jego palec: „Otóż i Tatry!” rzekł. „Tatry!” — zawołałem w dzieciennym

Zamek, Ruiny

Góry, Przestrzeń, Piękno

<sup>109</sup> *gunia* a. *guńka* — samodziałowa kurtka góralska. [przypis edytorski]

<sup>110</sup> *Kamiénica* — wieś w województwie małopolskim, w powiecie limanowskim. [przypis edytorski]

<sup>111</sup> *Ochotnica* — Ochotnica Dolna i Ochotnica Górna, wsie w powiecie nowotarskim, które do 1910 stanowiły jedną miejscowość. [przypis edytorski]

<sup>112</sup> *Tylmanowa* — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

<sup>113</sup> *Szczawnica* — miasto uzdrowskie w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

<sup>114</sup> *granica węgierska* — obecnie słowacka (wszędzie, gdzie autor wspomina o pograniczu z Węgrami). [przypis edytorski]

<sup>115</sup> *łoże* (daw.) — tu: łożysko. [przypis edytorski]

<sup>116</sup> *Tatarzy* — grupa etniczna ludów tureckich z Europy wschodniej i z północnej Azji. [przypis edytorski]

<sup>117</sup> *nowotarska dolina* — właśc. Kotlina Nowotarska, wschodnia część Kotliny Orawsko-Nowotarskiej między Beskidami Zachodnimi a Pogórzem Spisko-Gubałowskim. [przypis edytorski]



uniesieniu, w zdumieniu, w radości, Bóg wie, w jakich uczuciach. Byłem już na wysokości zamku czorsztyńskiego i w rzeczy samej miałem Tatry przed sobą w całej ich okazałości. Chociaż między mną a nimi leżał rzadki las świerkowy, ujrzałem je przecie wyraźnie i nigdy nie zapomnę tego pierwszego ich zjawienia się. Nigdy już może później nie widziałem ich takimi. Zgasło też przy tym wrażeniu wszystko, czego doświadczałem na ich widok z miejsc bardziej oddalonych. Rażąca białość śniegu, pokratkowana w rozliczne wzory ciemnymi pręgami opok, pokrywała cały ten ogrom. Zachodnie słońce cieniowało blado rumianym światłem... Nie śmiem kończyć obrazu... Gdybym powiedział, że Tatry objawiły mi się w olbrzymim, nieobejrzanym widzeniu, za obłokiem bengalskiego ognia<sup>118</sup>, żem zajrzał w zwierciadło najczystsze nieba — i to jeszcze byłoby niedostateczne, tak uroczy był błękit odziewający Tatry, taki był ich widok przez siatkę świerkowego lasu. I niecały jeszcze ogrom widziałem, znaczną jego część zasłaniały leżące na drodze wzroku węgierskie przedgórza.

Powóz tymczasem szybko się toczył, las gęstniał, droga spuszczała się w dolinę. Mój widok zakrył się górami bliższymi, przeminał jak sen, ale wiem, że go odzyskam w dolinie — pragnę jak najrychlej tam się znaleźć. Tymczasem droga okrąża, niby z uszanowaniem, szczyt uwieńczony gruzami Czorsztyna, zbiega nad Dunajec i skręca przy nim na zachód. Jestem wreszcie w dolinie nowotarskiej. Tatrów jeszcze nie widać — zasłania je szereg skał, które jak mur samorodny podnoszą się na przeciwnym brzegu Dunajca; przegroda urocza, ale w tym momencie nieznośna dla mnie. Pragnę ją ominąć, omijam na koniec, ale w tejże chwili chmury białe, olbrzymie przewalają się z wyższej części Tatrów, zapuszczają jakby zasłonę na cały ich ogrom, a mnie odejmują nawet nadzieję odzyskania go dzisiaj. Cóż robić?...

Szybko przebyliśmy Maniowy<sup>119</sup> i Harklową<sup>120</sup>, wsie leżące na naszej drodze, i w godzinę stanęliśmy w Łopusznej<sup>121</sup>, przed domem dziedzica tej wsi, a towarzysza mego w tej podróży<sup>122</sup>.

---

<sup>118</sup>*bengalski ogień* — sztuczne ognie, fajerwerki. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*Maniowy* — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>*Harklowa* — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>*Łopuszna* — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>*towarzysza mego w tej podróży* — chodzi o Leona Tetmajera. [przypis edytorski]

# TATRY I PODHALE<sup>123</sup>

## OGÓLNY POGLĄD NA TATRY

Dziś przecie miałem przed sobą Tatry w całej ich okazałości, w całym ogromie. Żaden obłoczek natrętny nie błakał się po nich. Deszcz całonocny obmył je znacznie ze śniegów, wyglądały jakby eterem oblane. Wybraliśmy do tego stanowisko wzniosłe, na jednej z gór nad wsią, zwanej Wielka Góra<sup>124</sup>. Napasłem do woli oko tym widokiem nowym dla mnie, a okazałym nad wszelki, jaki sobie wyobrazić mogłem. Przebiegałem w całej swobodzie ten zdumiewający łańcuch wysokości — od gór podpierających ogrom łomnickiego szczytu aż do miejsca, gdzie się zniża i całkiem przerywa nad rzeką Wag<sup>125</sup>.

Tatry są częścią Karpat, leżącą w środkowej partii łańcucha Karpat Zachodnich. Jest to grupa gór najpiękniejszych między górami karpackimi przez swoją wzniosłość i dzikość. Są one wszystkie prawie w wyższej części obnażone i pokryte lodami lub śniegami. Tu znajdują się już lodowce<sup>126</sup> alpejskim podobne. Leżą one na pograniczu Węgier i Galicji. Linia graniczna, prowadzona rzeką Białką<sup>127</sup> od jej zbiegu z Dunajcem aż do wypływu z Morskiego Oka<sup>128</sup>, okrąża Morskie Oko szczytami skał, później przecina je przez mil kilka w kierunku zachodnim, zwraca się potem na północ ku Babiej Górze<sup>129</sup>, dzieląc jej wierzchołek, i łamie się znowu na zachód. Przez owo odgraniczenie ta część Galicji tworzy jakby odnogę, otoczoną z trzech stron Węgrami. Znajduje się ona całkowicie w obwodzie sądeckim, a ze strony Węgier przypierają do niej dawna ziemia spiska<sup>130</sup> i obwody, czyli stolice — liptowska<sup>131</sup> i orawska<sup>132</sup>.

Linia Tatrów, widziana z okolic Nowego Targu, ma kierunek od wschodu na zachód, ukośny cokolwiek ku północy od strony zachodniej.

Nie śmiem oznaczyć ze ścisłością rozmiarów jej długości i szerokości; powiadano mi, że długość może wynosić do piętnastu mil, a szerokość największa około sześciu mil.

Najwyższą częścią Tatrów jest strona ich wschodnia — zarazem i najdziksza na całej szerokości aż do płaszczyzn na przeciwnej stronie węgierskiej. Górują nad wszystkimi szczytami Łomnica, czyli Krępak, wyniesiony nad powierzchnią morza 8000 z górą stóp, i Krywań niższy od Łomnicy więcej niż o stóp 1000.

Oba te szczyty pokazywano mi dzisiaj, wszakże zdaniem innych nie są one widoczne z Galicji, tylko ze wsi zwanej Ząb Suchy<sup>133</sup>, przyległej do Kościeliska<sup>134</sup>. Wszakże z tym zgadzają się wszyscy, że się przedstawiają najpiękniej i najokazalej patrzącemu od Kieżmarku<sup>135</sup> na Węgrzech, bo z tej strony podnoszą się od razu z płaszczyzny, bez żadnych prawie przedgórz; z tamtej także strony jedynie można wejść na Łomnicę, wejście z innych stron niepodobne. Tamtą drogą następcą dzisiejszy tronu cesarskiego w Austrii doszedł do samego wierzchołka, na pamiątkę czego postawiono krzyż na Łomnicy.

<sup>123</sup>Podhale — góralski region kulturowy w południowej Polsce, u podnóża Tatr. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>Wielka Góra — położony na Słowacji, najdalej na wschód i na południe wysunięty szczyt Pienin. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>Wag — rzeka na Słowacji. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>Tu znajdują się już lodowce — w rzeczywistości w Tatrach nie ma obecnie lodowców, choć góry te powstały pod ich wpływem. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>Białka — rzeka w województwie małopolskim, prawy dopływ Dunajca. Powstaje w Tatrach z połączenia Rybiego Potoku (to on wypływa z Morskiego Oka, a nie Białka) z Białą Wodą. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>Morskie Oko — jezioro w Tatrach, położone w Dolinie Rybiego Potoku u podnóża Mięguszowieckich Szczytów. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>Babia Góra — masyw górski w Paśmie Babiogórskim, należącym do Beskidu Żywieckiego w Beskidach Zachodnich, z najwyższym szczytem o nazwie Diablak. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>ziemia spiska a. Spisz — region historyczny w Karpatach Zachodnich, w dorzeczu Popradu i Dunajca. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>liptowska — Liptów to kraina historyczna i region, dawniej na Węgrzech, a obecnie na Słowacji, w dorzeczu górnego Wagu. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>orawska — Orawa to region i kraina historyczna w Europie Środkowej w dorzeczu rzeki Orawy. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>Ząb Suchy — obecnie Ząb, wieś podhalańska w województwie małopolskim, w powiecie tatrzańskim. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>Kościelisko — wieś podhalańska w województwie małopolskim, w powiecie tatrzańskim. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>Kieżmark a. Kieżmark — miasto powiatowe na Słowacji, w kraju preszowskim, w regionie Spisz. [przypis edytorski]

Oprócz tych dwóch szczytów, bielejących już wiecznym śniegiem i lodem, niepoliczona jest liczba wierzchołków mniejszych, między którymi wiele to lodowce w całym znaczeniu tego wyrazu. Dostyc jest policzyć szczyty, które tworzą grzebień Tatrów odrysowany na widnokręgu, a co dopiero niższe od nich z tej strony albo leżące na ziemi od Węgier!

Piszę, co mi powiadają albo o czym z pierwszego wejrzenia sam sądzić mogę. Może w tym nie ma ścisłej prawdy, ale mam przekonanie, że nie ma także istotnego zboczenia od niej. Zresztą podaję tylko to, co można mniej więcej sprawdzić samym wzrokiem.

Giewont<sup>136</sup>, dzielący dolinę Zakopanego<sup>137</sup> od Kościeliskiej<sup>138</sup>, jest w łańcuchu przedniej strażnicy Tatrów ostatnim z owych szczytów wyższych i nagich, odznaczających wschodnią ich połowę. Jest punktem granicznym, od którego zaczyna się połowa druga, zachodnia. Szczyty tego szeregu są już coraz niższe — aż do Wagu. Przebijają się jeszcze i tutaj nagie i śnieżne wierzchołki, ale tłem całości jest już barwa życia, jego wdzięk. Zaokrąglenia gór łagodniejsze, lasy świeże lub trawy bujne, przestronniejsze doliny, cichsze wody, bardziej umiarkowane powietrze. Tatry, rozważane jako te dwie połowy, wydają mi się małżeńską parą, gdzie jedno obdarzone jest okazałością, siłą, niszczącą mocą, przymiotami dzikiego męża, a drugie jest niewiastą rodną, z całą jej łagodnością i ujmującym wdziękiem. Geografia miejscowa nadaje nawet nazwę „Mátra”<sup>139</sup> tym górcom, co może nie jest tak dowolne i nowe, jak by się zdawało, skoro zważymy, że przed wiekami naznaczono tu miejsce tak zwanym babim górcom.

Dalsze przeciągnięcie tego łańcucha pograniczem Węgier i Moraw<sup>140</sup> ku Austrii zowią tu „Fatrą”<sup>141</sup>. Nie widziałem ich dzisiaj z miejsca, z którego oglądałem Tatry.

Patrząc na Tatry tak rozłożone przede mną, przeskakiwałem myślą ową przestrzeń kilkamilową, która mnie od nich dzieliła, i widziałem, jak bym był cały na miejscu, te szczyty tak ostre, że ledwo się na nich spojrzenie zaczepi. To są milowe może płaszczyny. Te garby rozsiadłe są najeżone krociami skał ostrych, niedostępnych. Te ciemne pręgi w różnych kierunkach, jak żyłki marmuru, to są wielomilowe doliny, wąwozy, rozdoly, niezgłębione parowy, przepaście, do których dalekie tylko spojrzenie dolecieć może. A między nimi świat spojrzeniu niedostępny, myśli ludzkiej nawet nieznanym, świat osobny, różny od wszystkiego, co wiemy, świat zimy, zgrozy, martwoty, zamknięty kołem trudów i niebezpieczeństw nad wszelkie siły ludzkie, nad wszelką ludzką odwagę.

Nie tracę jednak nadziei dotknąć bliżej tego wszystkiego, ale to tak prędko nastąpić nie może. Od połowy września — a nawet wcześniej, do większej połowy czerwca — głębia Tatrów zasypana jest takimi śniegami, obwarowana powietrzem tak zimnym, że najbardziej zapalony miłośnik przyrody, z całą swoją odwagą i wytrwałością, musiałby się z nich wycofać. Co chwila zagrożony jest śmiercią albo w otchłani śniegu pod lawinami, albo w objęciach mrozu. A tymczasem dokoła mnie rozwija się pełna wiosna, ciepło coraz mocniej dogrzewa. Dokoła pogoda, zieloność, kwiaty, szum wody swobodnej. U samego nawet podnóża lodowców ciemnieją wzgórza umajone puszciami świerków i zielonymi polanami... Cóż stąd? Trzeba czekać. Czekajmy!

## PODHAŁE. WIEŚ ŁOPUSZNA

Ponieważ nie możemy puścić się dalej, obeznajmy się nasamprzód<sup>142</sup> z tym, co nas najbliższej otacza.

Wieś Łopuszna leży w połowie prawie drogi między Czorsztyнем i Nowym Targiem, nad brzegiem Dunajca, przepływa przez nią także potok tejże co i wieś nazwy<sup>143</sup>.

Wieś dosyć wielka, skupiona w części największej ku Dunajcowi, w części rozsypana pojedynczymi chatami po górach, które się natychmiast od wsi zaczynają i rosną

<sup>136</sup> *Giewont* — masyw górski w Tatrach Zachodnich. [przypis edytorski]

<sup>137</sup> *Zakopane* — obecnie miasto w województwie małopolskim, siedziba powiatu tatrzańskiego. [przypis edytorski]

<sup>138</sup> *Kościeliska a. Dolina Kościeliska* — dolina sięgająca od podnóża Tatr do ich głównej grani. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *Mátra* — pasmo górskie na Węgrzech w Karpatach Zachodnich (zatem nie do końca mówić można o „geografii miejscowej”). [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *Morawy a. Morava* — czeska kraina historyczna. [przypis edytorski]

<sup>141</sup> *Fatra* — dwa pasma górskie na Słowacji: Mała Fatra i Wielka Fatra. [przypis edytorski]

<sup>142</sup> *nasamprzód* (daw.) — najpierw. [przypis edytorski]

<sup>143</sup> *potok tejże co i wieś nazwy* — chodzi o potok o nazwie Łopuszanka. [przypis edytorski]

Góry

Wieś, Góry, Przerzeń

stopniami do niepospolitej wysokości. Góry te są na północy wsi i wchodzą w skład pasma, które osłania całą północną stronę nowotarskiej doliny. Widok w tym kierunku zamknięty jest górami bliskimi i krótki w porównaniu do widoku na południe i zachód. Na południu olbrzymie grono Tatrów, na zachodzie także góry o wiele razy odleglejsze niż Tatry, niższe od nich, ale uwieńczone wysokościami Babiej Góry i Żywca<sup>144</sup>.

Wieś Łopuszna jest własnością obszerną. Grunta jej w niektórych kierunkach rozciągają się do dwóch godzin drogi. W górnej części prześliczne lasy, odwieczne, pełne drzew wszelkiego rodzaju — mianowicie buków, jaworów itp. Między lasami liczne polany. Partia dolna to płaszczyna naga, w części nieprzydatna na nic prócz moczarów i torfów, a nawet miejsca uprawiane z wielkim trudem skąpo wracają nakład pracy. Rolnictwo zatem jest tu rzeczą podrzędną, zysk z niego prawie żaden. Najważniejszym jego przedmiotem owies i ziemniaki. To samo na całym Podhalu. Głównym dochodem dziedzica podobnej wioski jest wynajmowanie polan na wypas trzód i pędzenie wódki. Właściciel Łopusznej ma także gorzelnię. Mimo tych wszystkich niedogodności, mimo ziemi nieurodzajnej, pańszczyzny małej, czynszów także niewielkich, mimo podatków najbardziej uciążliwych można tu przy dobrym zarządzie i roztropnej oszczędności prowadzić życie wygodne, a nawet składać kapitał. Moi gospodarze należą właśnie do tej liczby rządnych<sup>145</sup> i dostatnich właścicieli. Życie domowe skromne, ale zaspakaja dostatecznie konieczne potrzeby człowieka — nie ma w nim zbytku, nie ma wykwinności, ale nie widzisz niedostatku, nie czujesz braku czegokolwiek.

Dom drewniany w stylu rodzinnym wszystkich naszych dworów szlacheckich — obszerny, porządnie i mocno postawiony, przyozdobiony krytym gankiem, jak wszystkie nasze ganki, a na nim boczne ławki do siedzenia, jak to wszędzie u nas widzimy. Mieści wygodnie całą rodzinę, która oprócz gospodarzy składa się z ojca samej pani Tetmajerowej<sup>146</sup>, żyjącego jeszcze, trojga dzieci<sup>147</sup> i krewnej panny.

Przed domem dziedziniec przestronny, mający po lewej stronie drugi domek mniejszy, czyli oficynkę (gdzie znajduje się kuchnia i mieszkanie służących), z prawej osłonięty budowlami gospodarskimi.

Dom ocieniają z przodu i boków piękne jesiony. Z tyłu ogród — niewielki, ale dosyć starannie utrzymany. Zdobi go nawet aleja świerkowa, bardzo cienista, miła do przechadzki, zwłaszcza podczas upału. Tuż pod ogrodem bieżąca woda, a nieopodal, w jednym z kątów ogrodu chatka, rodzaj altany ogrodowej — pozioma, niewielka, o jednym pokoiu i sionkach, ale ustronna, samotna, bardzo dla mnie ponętna. Patrzy ona jednym ze swoich okienek na północne góry i ma niepospolicie ładny widok, patrzy więc nań ciągle, a zarazem słucha szumu niedalekiej wody, co się bystro przewala przez kamienie, które ją chcą zatrzymać. Ta chatka mnie jest oddana, w niej odtąd mieści się moja główna kwatery. Dziękuję moim gospodarzom; nie mogli mi w lepszy sposób okazać swojej dla mnie dobroci. Jestem z niej rad jak zdobywca z nowo podbitego kraju, bardziej rad nawet. Dobrze mi w niej, dlatego daję jej miejsce w tych zapiskach.

Ale ją opuszczę na chwilę, aby powitać jeszcze jedną budowę, której nie godzi się pominąć. Jest to tutejszy kościółek. Stoi on niedaleko dworu, nad samym Dunajcem. Niepozorny, niewielki, a należy do owych rzadkich pomników religijnych naszego kraju, które z powierzchowności gasną przy olbrzymach gotycyzmu, ale mieszczą w sobie więcej Ducha Świętego niż większa część owych podziwianych gmachów. Jest to tajemnica architektoniczna naszego ludu chrześcijańskiego. Kościółek ten to jeszcze jeden z owych modrzewiowych, które sięgają swoim wiekiem pierwszych czasów chrześcijaństwa w Polsce. A że należy do tej rodziny, świadczy rok 1240, wyłobiony na jednej z jego belek. Ma on i organy — już je słyszałem.

Szkoda, że nie każdej niedzieli słyszeć je można, bo Łopuszna nie ma stałego proboszcza. A chciałbym częściej je słyszeć — tak błogie zrobiły na mnie wrażenie, tak rzewne, pośród nabożeństwa przy tym ołtarzu skromnym, gdzie przez tyle wieków powtarza się tajemnica boskiej ofiary, wśród tych ścian wątych, a mocniejszych niż budowa niejednego narodu, w atmosferze modlącego się ducha tego ludu, który kolaniem swoim odnawia

<sup>144</sup>Żywiec — tu: Beskid Żywiecki w pld. Polsce, z najwyższym szczytem Pilsko. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>rządny (daw.) — gospodarny, dobrze zarządzający. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>ojca samej pani Tetmajerowej — chodzi o Romualda Lisickiego (1752–1832). [przypis edytorski]

<sup>147</sup>dziatki (daw.) — dzieci. [przypis edytorski]

Dworek

Muzyka, Wiara

odwieczne ślady pobożności pradziadów swoich i oddaje się Bogu, jak oni przed wiekami oddawali się w tym samym miejscu.

## KONFEDERAT BARSKI<sup>148</sup>

Do pomników historycznych, a niespotykanych, które tu znalazłem, należy ojciec pani Tętmajerowej. Jest to stary konfederat barski, tak już rzadki w tych czasach. Bardzo też rad jestem z jego poznania; tym bardziej, że znalazłem w nim człowieka wyższego od innych z owego wieku. Posiada on dokładną znajomość kilku języków, wykształcenie jego jest niepospolite jak na szlachcica domatora, a jeszcze w takim zakątku jak Podhale. A nade wszystko uderza mnie sąd zdrowy o rzeczach sfery wyższej, wytrawiony doświadczeniem długiego i nieprzespanego życia. Starzec ten osiemdziesięcioletni, wzrostu miernego, szczupły, zachowuje całą czerstwość władz umysłowych. Siły ciała od roku zaczynają go już opuszczać. Jeszcze rok temu po całych dniach nie zsiadał z konia, trudnił się gospodarstwem. Dziś pozostała mu nienaruszona siła wewnętrzna i słodczy rzadka w pożyciu. Przez wzgląd na jego zdrowie nie śmiem być natrętny, wszakże i tak dowiedziałem się wiele ciekawego o przeszłości.

Miał lat szesnaście, kiedy zbiegł potajemnie z domu rodziców do obozu konfederatów, którzy właśnie w tych stronach się znajdowali. Niedługo wojował — ojciec go odszukał, wydobyl, zawiózł do domu i wychłostał. Wkrótce także rozwiązała się i konfederacja. Później wziął czynny udział w powstaniu Kościuszki<sup>149</sup>. Po upadku powstania wrócił do domu i odtąd żył cały życiem prywatnym. Skłoniła go do tego najwięcej głęboka znajomość swoich współczesnych, nabyta w życiu czynnym. Odtąd przewidywał upadek każdego ruchu i nigdy się nie omylił.

Między innymi opowiadał nam jeden przykład z powstania Kościuszki. Kościuszką był wówczas dyktatorem i odbywał przegląd swojego wojska. Zjechało się wiele szlachty z okolicy. Jeden z nich spostrzegł w szeregu powstańców poddanego ze swojej wsi, który tajemnie uciekł do wojska. Bez żadnego względu na cokolwiek wyciąga go z szeregu, uderza kilka razy w twarz i każe natychmiast powrócić do wsi, gdzie mu jeszcze zapowiada chłostę za zbiegostwo. Kościuszką jakby tego nie widział, odwrócił się i odjechał w inną stronę.

Jeden taki przykład wiele objaśnia. Nasz stary konfederat widział tę rozkiełznaną niesforność w każdym ruchu i to go trzymało już w domu aż do śmierci.

Zachował on z pierwszej swojej wyprawy cały uniform. Wtedy po raz pierwszy widziałem mundur konfederata. Jest to kurta łosiowa z podpiętymi połami, wyłogi są z amarantowej felpy<sup>150</sup>.

Jako sąsiad Czorsztyna, znał ten zamek jeszcze zamieszkały, żył z jego mieszkańcami i nieraz tam ucztował. Dziś patrzy na ruinę.

## GÓRY ŁOPUSZAŃSKIE

Przez te dni kilka obiegłem całą prawie okolicę górną nad Łopuszną i poznałem się z bliższymi mi przedmiotami.

Mniej zajmuje mnie strona dolna. Jest to płaszczyna, która sama w sobie nie ma nic nęcącego, oprócz widoku na Tatry. I tu jednak przechadzka jest miła, zwłaszcza ku granicy węgierskiej. Lubię chodzić w tym kierunku; jest tam kilka skał ogromnych, samotnych, rzuconych jakby dla przerwania jednotonności tych płaszczyn, na przykład Kramnica<sup>151</sup> nad Białką i Cisowa Skała<sup>152</sup> między wsiami Nową Białą<sup>153</sup> i Gronkowem<sup>154</sup>.

<sup>148</sup>*konfederat barski* — uczestnik konfederacji, która została zawiązana w Barze w 1768 r. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*Kościuszką, Tadeusz* (1746–1817) — polski inżynier wojskowy, Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej w czasie insurekcji kościuszkowskiej w 1794 r. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*felpa* — rodzaj aksamitnej tkaniny. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*Kramnica* — podłużna skała wapienna, znajdująca się w zachodniej części Pienin Spiskich. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*Cisowa Skała* — pojedyncza skała w Kotlinie Orawsko-Nowotarskiej, widoczna z drogi Nowa Białka-Białka Tatrzańska. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*Nowa Białka* — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*Gronków* — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

Cisowa Skała szczególnie zatrzymała moją uwagę. Sterczy ona wśród płaszczyny jak samotna wieża, naga w największej części, można jednak wejść aż na jej wierzchołek, który jest płaski i dosyć przestronny. Co szczególne, podobne skały znajdują się wzdłuż całego pasma Tatrów, na równoległej prawie od nich linii i w niewielkiej odległości. Tworzą one jakby łańcuch sztyldwachów<sup>155</sup> przed górami. Skały te są wapienne i znacznej wysokości. Staszic<sup>156</sup>, o ile sobie przypominam, w swoim dziele *O ziemiorodztwie Karpatów*<sup>157</sup>, zastanawia się nad nimi. Nie pamiętam, jakie daje zdanie.

Reszta płaszczyny z tej strony Nowego Targu, oprócz kilku sosnowych lub świerkowych borków, przedstawia pola nagie, częścią w rolach uprawnych, a częścią w odłogach jałowych, w bagnach, torfowiskach. Przypomina zgoła nadmorskie płaszczyny zwane u Francuzów *landes*<sup>158</sup>, z jednym dodatkiem: mnóstwa kamieni na całej powierzchni, tu przesłoniętych nikłą murawą, ówdzie bez żadnej osłony, co by łagodziła widok tej dzikości.

Całkiem inny jest kraj na północy wsi, w jej stronie górnej. Rolnik wprawdzie znajdzie tam jeszcze mniej niż w dolinie pola dla swojej pracy, ale życie roślinne samorodne jest bez porównania pełniejsze, silniejsze, wyższe. Wszystko tam jest pastwiskiem lub lasem. Niektóre polany, zwłaszcza w położeniach niższych i w sąsiedztwie wód, nie ustępują najładniejszym łąkom — taka bujność trawy i obfitość kwiatów. Co do lasów tutejszych, to tylko góry karpackie mogą podobne wypielegnować; nie ustępują one niezawodnie ani naszym borom poleskim<sup>159</sup>, ani nawet dziewiczym puszczołom amerykańskim, jak je nam opisują. Trzeba cokolwiek zapuścić się w ich głębie, trzeba widzieć ogrom drzew, gęstwę zarośli, stopy warstw powalonych i porośniętych już nowymi lasami, aby sobie powiedzieć, że takie być muszą puszcze niezbadane dotąd, nietknięte ani ręką, ani nogą ludzką.

Znajdziesz to na mniejszą skalę, w mniejszym obrębie wśród lasów Łopusznej. Trafiałem nieraz na takie miejsca, że jest zupełnym niepodobieństwem przedrzeć się głębiej, przebić tę sieć żyjącą drzew, gałęzi, roślin, które ci zewsząd zastępują drogę jak wał warowni. Oczyszczanie lasów jest tu niemożliwe. Korzyść ze sprzedaży drzewa bardzo mała w porównaniu z wydatkiem koniecznym na taką pracę; spuszczenie drzewa odbywa się powszechnie nad wodami bieżącymi, na górach spadzistych, skąd drzewo, zrąbane i oczyszczone z gałęzi, samo ześlizguje się aż ku wodzie. Gdzie nie ma tych warunków, tam sprowadzają drzewo, jak najmniejszym trudem i kosztem, ze wzgórz bliższych, dostępniejszych, mających drogi dogodniejsze. A tymczasem w górach głębszych i z trudniejszym dostępem burze, ulewy, potoki, robaki wałają co roku drzewa na drzewa, warstwy na warstwy, z czego powstaje dziwna ruina, która służy i za warownię tym lasom, i za kolebkę późniejszym ich pokoleniom. Mam próbkę tej uprawy lasów przez samą rękę czasu, za pomocą żywiołów przyrodniczych, w górach Łopusznej, które dotąd mogłem zwiedzić.

Góry Łopusznej składają się z licznych garbów mniej ostrych lub krągłych, lub płaskich, między którymi snują się doliny, parowy, wąwozy, mniej albo więcej głębokie — jedne bezwodne, inne ożywione potokami. Przez nie tworzą się oddzielne wzgórza, czyli szczyty, a każdy szczyt z własną swoją nazwą. Między takimi szczytami w górach Łopusznej są znaczniejsze: Cyntyrz<sup>160</sup>, Magura<sup>161</sup>, Wielka Góra, Turniska<sup>162</sup>, Gron<sup>163</sup>, Wyznia<sup>164</sup>, Cioski<sup>165</sup>, Kluczki<sup>166</sup> i inne, których nazw nie znam. Ogół ich, jako mający

<sup>155</sup>sztyldwach (daw.) — żołnierz stojący na warcie, wartownik. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>Staszic, Stanisław (1755–1826) — polski pisarz polityczny i publicysta. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>*O ziemiorodztwie Karpatów* — właśc. *O ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i równin Polski*, dzieło Stanisława Staszica (1755–1826) opublikowane w 1815 r. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>landes (fr.) — słynne wrzosowiska w Gaskonii. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>poleski — Polesie to kraina geograficzna i historyczna, obecnie znajdująca się w granicach Białorusi i Ukrainy. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>Cyntyrz — polana położona na stoku nad Łopuszną. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>Magura — prawdopodobnie chodzi o Małą Górę, wzniesienie położone na północny wschód od Łopusznej. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>Turniska — prawdopodobnie chodzi o Turnicę, czyli skalistą część grzbietu poniżej polany Cioski. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>Gron — wzniesienie położone między Cioskami a Łopuszną. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>Wyznia a. Wyznia — polana na szczytcie Gronia. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>Cioski — najwyższe wzniesienie przed Turbaczem od strony Łopusznej. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>Kluczki — szczytowe wzniesienie na grzbiecie Turbacza. [przypis edytorski]

szczyty różnej wysokości, układa się w stopnie i tworzy niejako amfiteatr, którego częścią najdalej i najwyższą są Kluczki.

Różne są oblicza tych szczytów — niektóre dzikie nagimi skałami, jak np. Turniska, inne, przeciwnie, odkryte, wesole, ożywione źródłem lub jeziorkiem, jak np. Wyznia. Ale podobne szczegóły na później. Tym razem chcę tylko zachować ogólny rys najbliższej mi okolicy, jak mi się przedstawiła przy pierwszym poznaniu się.

## WYCIECZKA DO ZAKOPANEGO I KOŚCIELISKA

Ciekawość moja zaspokojona po części, a w największej części rozbudzona bardziej. Widziałem Zakopane i Kościelisko, zajrzałem w Tatry, ale w czasie tak nieprzyjawnym, tak dorywczo, że nie mogę nawet powiedzieć, abym już wszedł choć na ślad prawdziwego wyobrażenia o nich. Zdaje mi się, że byłem tylko w sieniach<sup>167</sup> domu i wróciłem się z sieni.

Bądź co bądź jestem rad z tej dorywczej przejażdżki. Widziałem, czegom dotąd nigdzie jeszcze nie widział. Widoki, piękności, wrażenia tego rodzaju były mi dotąd nieznanne. Jeżeli doznał zawodu, wina to okoliczności; przepowiedzieli mi go znający niedojrzałość zbyt wczesnej pory. Ale trudno było czekać. Jeden z moich najstarszych przyjaciół<sup>168</sup>, mający przed sobą daleką i pilną podróż, raczył zboczyć z drogi ze swoim towarzyszem<sup>169</sup> dla odwiedzenia mnie w moim podhalańskim zakątku. Świat góralski był mu równie jak mnie nieznanym. Miał ciekawość — jak ja — zajrzeć mu w oczy, choć pod zasłonę. A więc zobaczymy przynajmniej Zakopane i Kościelisko. Jedźmy! I pojechaliśmy.

Zaczęliśmy od doliny zwanej Zakopane. Czas nam sprzyjał i czas nas pędził. Niegłęboko zapuszczaliśmy się, a cośmy obejrzeni, to było jednym rzutem oka. Resztę czasu zabrał nam obiad i rozmowa z niektórymi urzędnikami znajdujących się tam hamerni<sup>170</sup>. Wszystko to odbyło się pędem w kilka godzin. Szybko opuściliśmy to miejsce. Ja wyniosłem z niego poznanie zacnego człowieka i notatkę w duszy losów majora N., który tu wiele wycierpiał z tęsknoty za rodziną i umarł. Nie żałuję dnia tak spędzonego w Zakopanem.

Dość już późno stanęliśmy w Dolinie Kościeliskiej. Po ciemku wjeżdżaliśmy do niej; tego wieczora nic widzieć nie mogliśmy. Musieliśmy poprzestać na poznaniu karczmy miejscowej. Znaleźliśmy ją porządnie wymurowaną, ale oprócz tego nic albo mało co więcej.

Ranek nie polepszył naszego położenia, a zepsuł nam humor. Pierwsze spojrzenia nasze padły na błoto po nocnym deszczu i na powietrze zasępienie mgłą, która się nie różniła od drobnej mżawki. Mimo to wyszliśmy, żeby obejrzyć dolinę, i obeszlśmy jej część najciekawszą. I tej jeszcze chwili nie żałuję. Mimo ścieżek rozmokłych, mimo mgły gęstej, ćmiącej najbliższe nawet przedmioty, a leżącej w miejscach dalszych i w wyższej części gór otaczających dolinę, byliśmy nieraz wzruszeni, zadziwieni, upojeni, porwani urokiem miejsca, którego nie mogła zagasić sama niepogoda. Doszliśmy tak aż do jeziora zwanego Smerczyn Staw<sup>171</sup>. Dalsza droga, w najpiękniejszym czasie nie bardzo wygodna, przedstawiała obecnie nieprzyjemność, na którą nie wszyscy z nas narazić się chcieli. Na tym skończyliśmy dzisiaj naszą podróż do Tatrów.

Wróciwszy do karczmy, zostaliśmy zaproszeni przez miejscowego urzędnika na śniadanie. Tam się umysły nasze rozjaśniły. Dla terażniejszości zapomnieliśmy o przeszłości. W gościnnym urzędniku znaleźliśmy miłego i uprzejmego człowieka, w jego żonie jeszcze miłą kobietę, a równie uprzejmą dla swoich gości. Pożegnaliśmy ich ze szczerą wdzięcznością za ich dobroć, a to nam pomogło opuścić Kościelisko bez żalu do kogo lub czegokolwiek. Przyszło mi to łatwo, bo już na miejscu uknułem plan rychłego powrotu w te strony i miałem pewne przecucie, że mu nic nie przeszkodzi.

<sup>167</sup>sień (daw.) — przedpokój. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>Jeden z moich najstarszych przyjaciół — prawdopodobnie chodzi o Józefa Bohdana Zaleskiego (1802–1886), poetę romantycznego i kolegę szkolnego autora. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>ze swoim towarzyszem — prawdopodobnie towarzyszem tym był Stanisław Worcell (1799–1857), powstaniec, działacz i publicysta. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>hamernia (daw.) — huta żelaza; kuźnia. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>Smerczyn Staw — właśc. Smerczyński Staw, jezioro morenowe w Tatrach Zachodnich. [przypis edytorski]

W miarę oddalania się od podnóża Tatrów powietrze się rozjaśniało, słońce dogrze-  
wało; wkrótce znaleźliśmy się wśród pięknej wiosny. Nie był to jednak skutek zmiany  
czasu, tylko zmiany miejsca. Za nami ta sama chmura mgły leżała ciągle w Tatrach i do-  
linę w tej chwili może ulewny deszcz chłostał.

Po dwóch lub trzech godzinach jazdy stanęliśmy w Nowym Targu na obiad i poże-  
gnanie moich gości. Była to chwila jedna z najrzewniejszych dla mnie w trakcie mojego  
tu pobytu. Rozstawałem się z najdawniejszym moim przyjacielem, abyśmy wkrótce zna-  
leźli się o kilkaset mil od siebie i Bóg wie na jak długo. Z tym rzewnym uczuciem, nie  
bez łez obopólnych, pożegnaliśmy się i w kilka minut byliśmy już na naszych drogach —  
on ku zachodowi, a ja ku wschodowi.

## Z WIELKIEJ GÓRY. GÓRY TATRY. DZIECI GÓRALSKIE

Całe Tatry białe od śniegu, który tej nocy spadł w górach. Nawet wyższe przedgórza  
po tej stronie doliny, od północy, pokryte są nim w górnej swojej połowie. Nie ma go  
całkiem w strefie niższej, koło mnie — przeciwnie, dzień dziwnie piękny i jasny. Dziś  
widzę najwyraźniej góry zwane tu Fatrami. Leżą one na drugim brzegu Wagu i stanowią  
jakby odrębne grono od Tatrów.

Z rana obiegnę płaszczyznę ku Węgrom, byłem aż na Cisowej Skale. Dochodząc  
do niej miałem widok, który mnie mocno zajął. Dokoła pasły się trzody, na spiczastym  
szczycie kilkunastu pastuszków, dzieci jeszcze — śpiewali i tańczyli. Coś dziwnego było  
w tym widoku. Ich strój góralowski obcisły, krótki, ich guńki spuszczone z rękawów, zapię-  
te tylko pod szyją, ulatujące wśród tańca, ich ruchy szybkie, zwinne, polotne. Wszystko  
to w blasku podnoszącego się słońca przedstawiło mi jakąś fantastyczną grupę nadpo-  
wietrznych tancerzy.

W istocie, dzieci góralskie nie są to nasze zwyczajne, chłopskie dzieci. Natura ziemi  
rodzinnej, rodzaj życia i zatrudnień rozbudzający silnie wszelkie władze, konieczność fi-  
zyczna ciągłego pasowania się z trudami, z niebezpieczeństwami, samo powietrze ostre,  
ale czyste i lekkie, w końcu pewna swoboda, nieznaną wieśniakom innych okolic —  
sprawiają, że dzieci góralskie szybciej się rozwijają niż inne. W tym drobnym ciałku wi-  
dzisz już dotykalnie pełny zaród przyszłego Górala, jego dobre i złe własności. Widzisz  
już w tym chłopięciu taką zręczność, przytomność, śmiałość, taki dowcip, a zarazem taki  
upór, taką zaciętość, że nie znajdziesz tego w równym stopniu u dzieci z innych okolic.

Słyszałem wiele o tym. Ażeby dać próbkę na przykład ich zręczności, opowiem tylko,  
jak polują na węże. Sposób wprawdzie prosty, ale wymaga i zręczności, i odwagi. Skoro  
dzieciak ujrzy węża, rzuca się na niego skokiem rysia i w tymże mgnieniu oka chwytą  
go dwoma palcami jednej ręki za szyjkę przy samej głowie, a drugą ręką za ogon — i już  
go ma w swojej mocy. Następnie, żeby go uczynić zupełnie nieszkodliwym, wkłada mu  
w pyszczek brzeg swojego kapelusza. Jak tylko wąż schwyci go i ściśnie zębami, chłopak  
jednym szarpnięciem kapelusza wyrzywa wężowi zęby i wtedy jest już z nim bezpieczny.

Oto inna powiastka malująca już w dzieciach twardość charakteru góralskiego:

Dwóch kilkuletnich chłopaków dojrzało w jednej skale gniazdo jakiegoś ptaszka. Ska-  
ła wysoka i tak stroma, że z dołu niepodobna dostać się do gniazda, ale można się wdrapać  
na szczyt, a gniazdo leżało blisko niego. Biorą się więc na sposób. Wyłazą na wierzch, je-  
den kładzie się na głazie, który wystawał nad gniazdem, bierze drugiego za nogi i spuszcza  
go ku gniazdu głową w dół. Pomysł udał się — gniazdo zdobyte wraz z piskletami, które  
się w nim znajdowały. Ale rozpoczyna się spór w tym samym położeniu obu: jeden leży  
na skale, a drugi wisi w powietrzu na lasce leżącego. Leżący zamawia sobie naprzód taki  
udział w zdobyczy, że wiszący nie chce na to przystać, pierwszy zagraża, że go puści, drugi  
nie zważa na to. Ciągnie się ten spór dosyć długo, a kiedy zdobywca gniazda nie daje się  
pokonać groźbą, pierwszy skutecznie ją i puszcza go. Wysokość była znaczna, zacięty  
chłopak nie zabił się wprawdzie, ale się bardzo pokaleczył, a podobno nawet złamał sobie  
rękę czy nogę. Ale postawił na swoim.

Oto są Górale: jak jedno, tak drugie z tych dwojga dzieci, w zawiązku swojego cha-  
rakteru, który z latami tylko się rozwija i wzmacnia.

Dziecko, Taniec, Strój

Wąż



## Z GÓRY GROŃ. METEOROLOGIA GÓRALI

Nigdy jeszcze Tatry nie wydały mi się tak wyraźne, tak okazałe, tak bliskie jak dzisiaj, z tej wysokości. A im wyżej postępuję, tym bardziej płaszczą się podnóże ich przedgórze, one zaś — jakby chciały przybrać postać okazalszą — podnoszą się, rosną, zdają się podchodzić ku mnie. Zdumiewam się mimowolnie, widząc je tak blisko siebie, owe góry, co są o kilka mil ode mnie.

W pierwszym złudzeniu o mało bym się nie podjął policzyć drzew rozsypanych po nich; o mało bym nie oznaczył kwadratowej przestrzeni każdego płatka ich śniegów. Owa ogromna szerokość nowotarskiej doliny zwinęła się w głęboki, wąski rozdół, jej lasy zamieniły się w ciemne plamki na dnie jego, Dunajec w taśmę blasku. Zmniejszyło się, co pode mną, rozszerzyło się, co przede mną.

Skutek to wysokości mego stanowiska, a jeszcze więcej przepowiednia bliskiego deszczu — według meteorologii Górali; a można być pewnym, że się nie mylą. Mogę to potwierdzić z własnego mego doświadczenia przez ten krótki czas pobytu w górach. Ile razy miały nadejść dni deszczowe, przejrzystość powietrza podwajała się, a wszystkie przedmioty zbliżały się do oka na podziw<sup>172</sup>.

Powietrze zamieniało się w szkło przybliżające i powiększające. Zresztą zjawisko to da się wytłumaczyć.

Co mnie zawsze rwało w stronę ludu prostego, to ten jego związek z przyrodą niby martwą, owo ich porozumiewanie się wzajemne. Rozrzewniają mnie nieraz dowody miłości, którymi stworzenie niższe odplaca wieśniakowi jego miłość dla siebie. Raz w jednej z moich podróży wypadło mi zjechać na noc do chłopca. Było to zimą, w mróz trzaskający, jak powiadają. Podczas pogadanki z gospodarzem dotknąłem kwestii mrozu, który mi był nie na rękę; obawiałem się jeszcze silniejszego nazajutrz. „Niech pan będzie spokojny! — odpowiedział mi wieśniak — jutro będziemy mieli odelgę<sup>173</sup>”. A kiedym go spytał, skąd to wie, „Moja lipa gwizdże!” — odpowiedział mi znowu. Prosiłem o wyjaśnienie i dowiedziałem się, że ta lipa, którą zapewne zauważyłem przy jego chacie, przepowiada mu wszelką zmianę pogody. Jeżeli huczy głucho a silnie, to znak ogromnej burzy; kiedy puszcza z siebie jakby wystrzały, to silny mróz przybliży się; a zapowiada odelgę, kiedy gwizdże różnymi głosami. W rzeczy samej nazajutrz rano przekonałem się, że lipa prawdziwie wróżyła: w nocy mróz przeszedł i odbywałem w ciepłe dalszą drogę.

Na Ukrainie znałem wieś, której barometrem był las pobliski. Z szumu tego lasu wiedziano na kilkanaście godzin wcześniej o wszelkiej zmianie pogody.

W Mikołajowicach pod Tarnowem, a niechybnie i w całej tej okolicy, pewni są zmiany powietrza, kiedy pod zachód słońca strona nieba od Węgier przybiera pewien blask złotoróżowy; nazywa się to u mieszkańców „zorzą węgierską”.

Górale Podhalanie, zamknięci jeszcze bardziej niż inni w pewnym kole, mają może więcej niż inni podobnych znaków wróżebnych. Zapisalem sobie niektóre:

Kiedy wąż grzechoce, kiedy bociany krążą nad nowotarską doliną, kiedy się Tatry przybliżają, kiedy Babia Góra zaczyna chmurzyć się albo, jak Góral mówi: „czepek nadziewa” — to są znaki pewnego deszczu.

Chmura od północy lub południa przynosi grad w okolice Nowego Targu.

Wielka powódź nastąpi, kiedy mgła bardzo przezroczysta, woniąca siarką, zalegnie powietrze albo kiedy się napotyka węże wyłazące na drzewa.

Podobnych przepowiedni jest bez wątpienia więcej i na wszystkie przypadki. Lud w tym względzie zasługuje na zbadanie. Jest to jego strona wysoce poetyczna, bo poetyczna rzeczywistością, wtajemniczeniem się ludu w życie przyrody rodzinnej, współżycie z nią głębokie, ścisłe, duchowe. Ale tej poezji, jak wszelkiej we wszystkim poezji, nie zdobywa się tak łatwo. Choćbym i wiedział, jak ją zdobyć, nie mógłbym tu, przez szczególne moje położenie, zastosować mojej wiedzy — chyba w cząstce nic prawie nie znaczącej. Nie wątpię, że się znajdą szczęśliwsi ode mnie.

Lud tutejszy ma jeszcze osobny rodzaj znaków przepowiadających nadzwyczajne wydarzenia, kłęski publiczne. Trwoży się on, kiedy np. śpiew koguta podobny jest do płaczu

<sup>172</sup>na podziw (daw.) — zdumiewająco. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>odelga (gw.) — odwilż. [przypis edytorski]

Lud, Natura, Drzewo

Natura, Poezja, Wierzenia,  
Zabobony

dziecka albo do miauczenia kotów, lub ma w sobie inne tony niewłaściwie jemu; także kiedy znajdzie się kogut niemający w ogonie szóstego piórka.

## ŚWIAT DUCHOWY PODHALAN

Strzygi<sup>174</sup>, upiory, wilkołaki, boginki<sup>175</sup>, dziwożony<sup>176</sup>

Winiemem pośrednictwu pani Tetmajerowej ważne dzisiaj posiedzenie ze starą Góralką. Przedmiotem głównym naszej rozmowy był świat nadmysłowy Podhalan. Słyszałem już o tym niemało z różnych stron. Stara Plewina<sup>177</sup> wzbogaciła znacznie zapas moich wiadomości. Gdybyż jeszcze chciała była wypowiedzieć wszystko, co wie... Ale widziałem, że nie śmiała otworzyć się do dna, na co zresztą trzeba być przygotowanym z tymi ludźmi, a to z naszej winy. Niełatwo nam zetrzeć z czoła tę plamę kainową za zabijanie rozumem ducha. My nie wiemy o niej, ale lud ją widzi i żebyś nie wiedzieć co robił, ma się przed tobą na bacności jak przed wężem. Wiele, wiele potrzeba, aby ci się zupełnie powierzył. Wszakże znalazłem moją Góralkę mniej zamkniętą, niżlim się spodziewałem, i w istocie rozmawiałem z nią w tak dobrej wierze, z powagą tak odpowiednią do przedmiotu rozmowy, że musiała to czuć i widzieć.

Z podobną przeto szczerością opowiedziała mi przykład z własnego swego życia, dowodzący istnienia złośliwych duchów zwanych strzygami. Była wówczas młodą jeszcze dziewczyną; jednej nocy poczuła przez sen boleść ręki jakby od ukąszenia. Ocknęła się natychmiast i poczuła coś obok siebie. Nie mogła widzieć z powodu ciemności mocnej, ale strach ten zdawał się jej mieć postać ludzką. Zniknął, skoro się zbudziła, zostawił tylko na jej ręku ślad zębów jakby ludzkich, który nazajutrz za dnia zobaczyła i nosiła przez dni kilka. Szczęście jej, że się obudziła, bo strzyga dusi ludzi jak upiór albo ich zabija wysysaniem krwi, podobnie jak upiór. Strzygi, strzygonie są więc rodzajem duchów złośliwych, nocnych, mających pokrewieństwo z upiorami. Może nawet są tym samym, tylko pod inną nazwą. Nie mogę przynajmniej pochwycić, w zbyt ogólnym opisywaniu, charakterystycznych rysów, im tylko właściwych.

Upiory grają i na Podhalu tę samą krwawą rolę co w całej Słowiańszczyźnie. Straszna ich sława uwalnia mnie od przytaczania, co tutaj o nich słyszę. Nie chcę powtarzać rzeczy powszechnie wiadomych.

Do tego plemienia należą jeszcze wilkołaki. Wilkołak jest to człowiek żyjący, ale pod przekleństwem, które go zmusza niekiedy przeobrażać się w wilka i w tej postaci zło wyrządzać. Jest to mocniejsze od jego woli ludzkiej, jest to kara, przekleństwo za jakąś zbrodnię, stan pokuty najcięższy, bo jeszcze bardziej pogarsza dolę człowieka. Znałem na Ukrainie młynarza; był to starzec, rządny gospodarz, człowiek uczciwy, ale w mniemaniu swoich sąsiadów uchodził za wilkołaka. Mówiono o tym z pewnym politowaniem dla niego, jak o nieszczęściu fatalnym, ale zarazem bano się go. Wilkołak jest także powszechnie znany w naszym kraju, ale nie wszystkim zapewne wiadomo, jakim sposobem człowiek-wilkołak przemienia się w wilka. Oto po prostu, ile razy napada go ta konieczność, wychodzi na pień zrąbanego drzewa, robi koziołka na ziemię i powstaje jako wilk. To samo robi, kiedy ma wrócić do ludzkiej postaci.

Wilkołak jest jedną ze złych istot najbardziej szkodliwych. Niszczy bydło, atakuje ludzi. Jest to niejako wyższy stopień wściekłego wilka, dlatego rzuca wielki postrach na swoją okolicę; sprawa z nim trudniejsza jak z wilkiem zwyczajnym.

Inne jest plemię, różne od wymienionych dopiero złośliwych duchów, plemię boginek. Boginkę można uważać za to samo, co francuska *fée*<sup>178</sup>. Jest ona pokrewna rusalkom, ondynom<sup>179</sup> i im podobnym. Mówiąc nawiasem, ta nazwa bardzo mi się podoba i najlepiej według mnie odpowiada francuskiej nazwie *fée*.

Boginki Górali zaludniają lasy, wody, góry, jak starożytne greckie nimfy i driady<sup>180</sup>.

Rozum, Wiara, Wierzenia

Bogini, Czarownica, Duch,  
Czary, Zabobony

<sup>174</sup> *strzyga* — upiór pijący ludzką krew, przybierający różne formy. [przypis edytorski]

<sup>175</sup> *boginka* — w mitologii słowiańskiej kobiecy demon wód, lasów i pól. [przypis edytorski]

<sup>176</sup> *dziwożona* — w mitologii słowiańskiej boginka wodząca ludzi po uroczyskach i bagnach. [przypis edytorski]

<sup>177</sup> *Plewina* — przedstawicielka licznej w Łopusznej rodziny Plewów. [przypis edytorski]

<sup>178</sup> *fée* (fr.) — czarodziejka, wróżka. [przypis edytorski]

<sup>179</sup> *ondyna* — w mitologii słowiańskiej boginka wabiąca mężczyzn w tonie rzek i jezior. [przypis edytorski]

Postacie ich są fantastyczne i wdzięczne. Trwożą one ludzi, zwodzą, wyrządzają psoty; za to niekiedy sprzyjają im, służą w dobrym usposobieniu. Mało albo nic nie różnią się pod tym względem od ludzi. Jednym słowem, mają te same przymioty co ich krewne w innych krainach. Nie mam szczegółów, które by mi posłużyły do bardziej wyrazistego ich opisu.

Najobszerniej rozpowiadają tu o dziwożonach. Jest to także ród istot nadprzyrodzonych, utwór zdaje się Górali i im samym tylko właściwy.

Jak rusalki — lubo istoty złośliwe, są jednak przez formę swoją wietrzne, piękne, wabiące, w harmonii z przyrodzoną sobie ziemią — tak dziwożony mają rysy charakterystyczne, odpowiednie większej surowości i dzikości ojczystej okolicy. Całe ciało niezwykle kosmate, włos głowy długi, rozpuszczony, piersi nadzwyczajnej wielkości, na głowie czerwona czapeczka z gałązką paproci. Ulubionym ich pożywieniem jest jakieś ziółko zwane słodyczką<sup>181</sup>.

Dziwożony najstraszniejsze były matkom, ponieważ porywały im dzieci. Dlatego czatowały przy chatach położnic i skoro znalazły albo dziecię samo, albo chociażby matkę, ale bez mężczyzny w domu, brały niemowlę, a na jego miejscu zostawiały swoje dzieci, które są zazwyczaj krzykliwe, złe i bardzo brzydkie — jednym słowem rodzaj wyrodka. Wszakże można odzyskać porwane dziecię następującym sposobem: skrzywdzona matka wynosi podrutka na śmietnik, smaga go różgą, wyrzuca ze skorupki jaja i woła: „Odbierz swoje, oddaj moje!”. Dziwożona, tknięta w macierzyńskie uczucie płaczem bitego dziecka, odnosi po kryjomu porwane dziecię, a swoje na powrót zabiera.

Dziewczyny, nawet dorosłe, nie były od nich bezpieczne. Trafiały się częste wypadki porywania ich przez dziwożony.

W podobnym rodzaju opowiadano mi następną powiastkę miejscową. Jednego dnia zniknęła nagle z Łopusznej młoda i ładna dziewczyna. Gdzie i w jaki sposób? Żadnego nie było śladu. Długi już czas upłynął od tego zniknięcia, kiedy jeden z mieszkańców Łopusznej, zaprowadzony jakąś potrzebą w głąbię gór łopuszańskich, ujrzał obok jednego potoku, wśród największej dziczy, dziewczynę piorącą bieliznę. Zbliżył się i poznał zaginioną. Ta poznała go również, opowiadała, że ją dziwożony porwały, i w końcu błagała, aby ją z rąk ich wybawił. Góral chętnie się do tego przychylił, a ponieważ pora obecna nie była po temu, umówiono więc pewien dzień, w którym ona znowu prac tu przyjdzie, a Góral przyjedzie konno. Góral dotrzymał umowy, przyjechał w dzieńznaczony, znalazł dziewczynę, posadził ją na konia i ruszył ku wsi. Ale dziwożony spostrzegły to i puściły się w pogon takim pędem, że już, już dościgały uciekających. Było to właśnie wśród łąk, na których gdzieniegdzie rosły gromadami kwiatki, dzwoneczki zwane. Dziewczyna, widząc niebezpieczeństwo, krzyknęła do towarzysza: „Trzymaj się dzwoneczków!”. Góral usłuchał i kierował ciągle konia między dzwoneczkami, do których dziwożony, przez jakąś tajemniczą własność tego kwiatu, przystąpić nie mogły. Kiedy więc musiały kołować, przez ten czas uciekający, mając drogę prostszą, wymknęli się z dziczy i do wsi dobiegli.

Dziwożony, podobnie jak rusalki, śmiały się tylko z kobietami, lękają się mężczyzn. Zdarzyło się raz, że Góral zdybał dziwożoną w swojej rzepe<sup>182</sup>, po prostu na kradzieży. Dziwożona zdołała się wymknąć, ale została w ręku Górala jej czapeczka. Nieboga przybiegła w wieczór pod jego okna i śpiewała żałośnie:

Chłopczku, chłopczku wróć moją czapeczkę  
Nie będę już chodzić na twoją rzepeczkę.

I tak go błagała, dopóki jej nie oddał zdartej czapeczki.

Dziwożony miały zapewne i mężów, ponieważ miały dzieci, ale tego szczegółu rozjaśnić sobie nie mogę, nic o tym dotąd nie słyszałem.

Nie wiem, jaka była obszerność ich terytorium — czy obejmowała całe Podhale, czy jego część pewną. To tylko jest niewątpliwe, że dziwożony pomieszkowały w okolicach Łopusznej. Pokazywano mi pieczarę, gdzie przed laty miało być ich główne siedlisko. Leży ona w urwistym boku Małej Góry, na polach Łopusznej, nad potokiem zwanym

<sup>180</sup>*driada* — w mitologii greckiej nimfa leśna żyjąca w drzewie. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>*słodyczka* (gw.) — ludowa nazwa jemioli lub paproci. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>*rzepe* (gw.) — tu: w zachodniej części części Podhala tak nazywane są ziemniaki. [przypis edytorski]

Łopuszanką. Otwór pieczary zawalony jest dzisiaj takimi głazami, że potrzeba ciężkiej i długiej pracy, aby go oczyścić. Wewnątrz ma się znajdować pełno dziwów nie do wypowiedzenia: podziemne przejścia w różnych kierunkach, a długie na wiele mil, złote mosty nad podziemnymi wodami, ściany z drogich kamieni i tym podobne bogactwa i osobliwości.

Zastanawiając się nad stanowiskiem dziwożon, widzę w tym pewien ślad pobratymstwa wyobrażeń między naszym ludem góralskim a ludami wschodnimi. Wiadomo, że *diw*<sup>183</sup> wschodni jest rodzajem złośliwego geniusza; nasze dziwo, w najwłaściwszym znaczeniu tego słowa, odnosi się głównie do zjawiska mniej więcej potwornego i odpowiada zupełnie wyobrażeniu ducha, który na wschodzie zowie się *diw* i jest w pewnym pokrewieństwie z naszą dziwożoną.

Nie ja pierwszy jestem uderzony tym powinowactwem niektórych wyobrażeń duchowych naszego ludu z wyobrażeniami duchowymi wschodu. Już Staszic mówi w swoim *Ziemiorodztwie*... , że mu się zdarzało słyszeć między Góralami karpackimi nazwy duchów znane w mitologii perskiej. Wymienia nawet niektóre, ale ich nie pamiętam. Stąd nie kładę tej okoliczności na karb przypadku — obyczajem bardzo wygodnym, który szybko rozstrzyga wszelką zagadkę, ale jej nie rozwiązuje.

Ja przynajmniej nie mam po prostu odwagi rozwiązywać tym sposobem podobnych zagadnień. Tyle razy musiałbym uciec się do przypadku, że wkrótce oburzyłbym się na siebie i może bym sobie powiedział: „Ej, głupi jesteś!”

Nie tu miejsce, by wymieniać te wszystkie przypadki, które mam pod ręką. Ale mnie-mam, że tu jest miejsce, by życzyć, abyśmy bez uprzedzenia zwrócili latarkę naszych badań w tym kierunku. Kto może naprzód wiedzieć, na co padnie jej światło, co nam odkryje?

## ŚWIAT DUCHOWY PODHALAN

Niektóre ich wyobrażenia i opowieści w tym przedmiocie

Waham się, czy iść dalej światem tajemniczym, w który się zapuściłem, czy cofnąć się? Postanowienie niełatwe. Opuścić go nie mogę; iść dalej, a tym bardziej prowadzić drugich dłużej — może ich znudzę, może rozśmieszę? Nie o mnie tu chodzi, ale o innych... Tymczasem przewracam machinalnie *Nowe Ateny*<sup>184</sup>, dzieło zeszlówieczne<sup>185</sup>, pełne erudycji i dobroduszości księdza Chmielowskiego<sup>186</sup>, i przypadkiem natrafiam właśnie na miejsce, gdzie mówi o górach karpackich. Oto dosłowny wypis:

„Karpát — góra, a raczej długo ciągnących gór kontynuacja, nazwana od słowa *carpo*<sup>187</sup>, że tam zbierają i zbierają różne profity obywatele, i minerały, albo od miasta Carpis starożytnych Bastarnów<sup>188</sup>. Niemcy ją zowią górą śniegową, Węgrzy Tarczacz, Polacy Tatrami, iż ku krajom tatarskim nadała się; nazywają się i Beskidami<sup>189</sup>. Widać z nich na mil 20, a czasem 30, gdy wypogodzona *aeria*<sup>190</sup>. Krzemień stamtąd rzucony, niżej się stoczy na dół, wiele innych ruszy z sobą w kompanii. Śniegi tu po całym leżą lecie, *sensim*<sup>191</sup> czernieją, w jakieś obracają się robactwo. Dzikich kóz na nich mnóstwo, nie nogami chodzących, ale na rogach się od gałęzi i skał zawieszających. Rodzą się w nich kryształ, diamenty, różne metale, według Szentywaniego<sup>192</sup>. Na samym wierzchołku gór jest źródło, a raczej jezio-

<sup>183</sup>*diw* a. *dziw* — postać złośliwego bożka w mitologii słowiańskiej. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*Nowe Ateny* — jedna z pierwszych polskich encyklopedii, opublikowana przez Benedykta Chmielowskiego (1700–1763) w latach 1745–1764. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>*zeszlówieczny* (daw.) — dotyczący ubiegłego wieku. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>*Chmielowski, Benedykt* (1700–1763) — polski ksiądz katolicki, kanonik kijowski i pisarz dewocyjny. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>*carpo* (łac.) — używam, zbieram. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*Bastarnowie* — prawdopodobnie jeden z ludów celtyckich. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>*Besкиды* — grupa pasm górskich w łańcuchu Karpat. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>*aeria* (łac.) — powietrze, aura. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>*sensim* (łac.) — stopniowo, powoli. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>*Szentiványi Márton* (1633–1705) — węgierski uczonec i jezuita, autor dzieła *Curiosiora et selectiora variarum scientiarum miscellanea*. [przypis edytorski]

ro, *Oculus Maris*<sup>193</sup> zwane, gdzie sztuki statków morskich często wypływają, znać, że z morzem ma komunikacją”.<sup>194</sup>

No, pomyślałem sobie, dotąd nie powlokłem jeszcze Tatrów taką tajemniczością jak autor *Nowych Aten*, nie zaszedłem jeszcze tam, gdzie on dobiegł, mogą iść dalej. Utwierdził mnie w tym przedsięwzięciu drugi ustęp:

„W ziemi sandeckiej, wyższej, jest między górami źródło, które ma tę własność, że jak kto z niego wody nabierze, to zaraz niebo się chmurzyć zaczyna”.<sup>195</sup>

Tego nie dosyć. W towarzystwie podobnego pisarza mogę się na wszystko odważyć, a brak powagi, dotyczący głębokiej nauki i cytacji<sup>196</sup> znakomitych, zastąpię szczerą wiarą w niezaprzeczone dla mnie istnienie świata duchowego, najmocniejszym przekonaniem, że we wszelkim wierzeniu ludu, we wszelkiej baśni jego, skoro umiemy obejrzeć je z różnych stron, trafimy na prawdę bardzo głęboką i bardzo pożyteczną. Bez tego przekonania, do którego przyszedłem własnym doświadczeniem, nie zapisywałbym jego opowieści, nie słuchałbym ich nawet. Ale mój komentarz zachowuję na ten raz dla siebie samego, chcę być tylko prostym opowiadaczem rzeczy słyszanych — dosyć dla mnie, jeżeli będą przyjęte jako próbki poetyckiej fantazji Górali.

Wielka część tych opowieści ma za główny przedmiot ogromne bogactwa ukryte w górach. Nie wiem, czemu to przypisać — czy wyobraźni drażnionej chciwością, czy przeczuciu bogatych kopalni w ziemi rodzinnej, czy temu bogactwu wewnętrznemu, które Arabom wydało *Tysiąc i jedna nocy*<sup>197</sup>.

W tym duchu są próbki następne.

W jednej ze skał nad Morskim Okiem leży pieczara zaledwie dostępna — tak jest obwarowana zaroślami kosodrzewiny<sup>198</sup>. Kto by miał odwagę dostać się do jej wnętrza, znalazłby tam ogromne skarby. Ale przystęp do niej jest przez krużganki podziemne, bardzo ciasne i kręte. Na każdym zakręcie trzeba zapalić i zostawić światło. W końcu dochodzi się do jaskini obszernej, oświetlonej światłami wielkiej jasności, które są właśnie skarbami tego miejsca, lecz słyszysz głos zapowiadający: „Biada temu, kto ich dotknie!”. Na środku jaskini kłęczą trzech mnichów. Ów głos tajemny każe pokłonić się każdemu z nich z osobna, potem wolno wziąć sobie coś z tych skarbów — wszakże nie więcej, tylko tyle, ile siekiera na raz urąbie. Zginałby natychmiast, kto by ten przepis przekroczył.

Podobna jaskinia znajduje się pod górą Giewont. Na środku jej stoi słup diamentowy, pod nim siedzi mnich obsypany bogactwami wszelkiego rodzaju. Mnich-strażnik udziela ich bez trudności każdemu, kto dojdzie aż do niego, ale dojście jest bardzo trudne, bo przejście niezmiernie ciasne i wszelkie światło w nim gaśnie.

Łatwiejszy jest do zdobycia skarb zakopany w żłobie na polach Łopusznej, bo tylko na kurzą stopę ziemią przykryty. Ale nie wiadomo, w którym miejscu jest zakopany.

Można by temu zaradzić za pomocą kwiatu zwanego florecyna<sup>199</sup>, który ma własność ukazywania swojemu posiadaczowi skarbów najgłębiej zagrzebanych, ale czegoż to potrzeba, aby dostać tego kwiatu? Florecyna, jak mi ją pokazywano, jest bardzo podobna do paproci, tylko mniejsze i drobniejsze ma listki. Kwitnie tylko raz na rok, w wilię Bożego Narodzenia, o samej północy. Żeby się posługiwać tym kwiatem, trzeba go osiąść, nie wiedząc o tym.

<sup>193</sup> *Oculus Maris* (łac.) — Morskie Oko. [przypis edytorski]

<sup>194</sup> *Karpat* — góra, a raczej długo ciągnących gór kontynuacja, nazwana od słowa *carpo*, że tam zbierają i zbierają różne profity obyuatele, i minerały, albo od miasta *Carpis* starożytnych *Bastarnów*. (...) Na samym wierzchołku gór jest źródło, a raczej jezioro, *Oculus Maris* zwane, gdzie sztuki statków morskich często wypływają, znać, że z morzem ma komunikację. — Benedykt Chmielowski, *Nowe Ateny*, t II, s. 323. [przypis edytorski]

<sup>195</sup> *W ziemi sandeckiej, wyższej, jest między górami źródło, które ma tę własność, że jak kto z niego wody nabierze, to zaraz niebo się chmurzyć zaczyna* — Benedykt Chmielowski, *Nowe Ateny*, t I, s. 470 [przypis edytorski]

<sup>196</sup> cytacja (daw.) — cytat. [przypis edytorski]

<sup>197</sup> *Księga tysiąca i jednej nocy a. Baśnie z tysiąca i jednej nocy* — arabski zbiór około 300 baśni, podań, legend, pochodzący z IX–X w. [przypis edytorski]

<sup>198</sup> *kosodrzewina a. kosówka* — gatunek drzewa lub krzewu z rodziny sosnowatych. [przypis edytorski]

<sup>199</sup> *florecyna* — gatunek pierzastej paproci. [przypis edytorski]

Literat

Są jednak ludzie, którzy mają tajemniczą moc odkrywania i zdobywania skarbów górskich. Oto jeden z przykładów tego. Wyżej jeszcze niż Pięciostawy<sup>200</sup> leży jezioro zwane Żabieniec<sup>201</sup>, mało zwiedzane z powodu skał nadzwyczajnie stromych dokoła i ścieżek niebezpiecznych; także z powodu zimna, bo jezioro przez dziesięć miesięcy jest pod lodem. Owoż do tego jeziora przychodzi siedmiu Czechów ścieżkami im tylko wiadomymi. Muszą oni wydobywać tam złoto, bo po ich odejściu znajdowano żużle z wytopionego kruszcu, a nawet piecyki. Ale nikt dotąd nie nakrył ich w trakcie tej roboty.

Ci Czesi mogą być baśniowi, ale podobni im a rzeczywisci znajdują się w każdym prawie biurze urzędowym w Galicji, także dla złota. Ścieżki ich przejścia są znane.

Górale wierzą mocno w istnienie ksiąg czarnoksięskich. Według ich zapewnienia księgi takie znajdują się w dolinach, to jest w kraju niegóralskim, np. w Krakowskim. Wielka potęga zamknięta jest w tych księgach. Górale pokazują w górach jedną skałę, z której na zaklęcie, odczytane z takiej księgi, wychodził smok, dawał się kulbaczyć i jeździć na sobie. Jakiś czas widywano jeżdżącego na nim Niemca, ale pewien baca<sup>202</sup> zabił smoka, a Niemiec zniknął. Baca był stąd w niemałym kłopotcie, bo wkrótce przyszedł jakiś człowiek z dolin bardzo dalekich i ostro upominał się o zabitego smoka, jak o swoją własność. Nie wiem, jak się ta sprawa skończyła.

W innym zupełnie rodzaju jest opowieść o błakającej się głowie. Miejscem tego zjawiska jest polana zwana Jaworzyna Kamienicka<sup>203</sup>, od wsi Kamienicy, a początek taki: Naczelnik jednej bandy zbójckiej miał podwładnego, który był od niego urodziwszy, celniej strzelał, lepiej skakał, szybciej biegał, zgoła przechodził go we wszystkim. Stąd zapalił się taką nienawiścią ku niemu, że go zabił, po zabiciu odciął mu głowę i rzucił w pobliski parów. Ale ta głowa pokazała się wkrótce na polanie, gdzie zostało popełnione zabójstwo, i odtąd nie chce jej opuścić. Ile razy ją znajdą, odniosą w dalsze miejsca i zrzucą gdzieś w przepaść, tyle razy ona znowu powraca na swoją polanę. Odnacza się tym szczególnie, że ma włos niezmiernie długi.

## ŚWIAT DUCHOWY PODHALAN

Opowieści w duchu chrześcijańskim

Pozostaje nam do oznaczenia najważniejsza część drogi, którą duch Górali przechodzi. Dotąd widzieliśmy go albo w jego brzasku, albo nawet zmroku; w stanie, kiedy czasem cofa się w swoją przeszłość pogańską, czasem zniża się do sfery poziomej, materialnej, nie wychodzi jeszcze na światło właściwe sobie. Taka jest cecha istotna powiastek, mniemań, utworów powyższych. W następnych odbija się już blask religii prawdziwej, kryje się myśl głębsza, wyraźniejsza, chrześcijańska, mądrość pełniejsza — odkrywa się świat z ducha jaśniejszego.

Lud góralski jest głęboko religijny, jak ogół plemienia, do którego należy. Jest on skromny, cichy w swojej pobożności, ale prosty i szczerzy. Taki charakter mają jego opowieści religijne i dlatego porywa mnie ich istota, mimo formy nic prawie nieważącej, ale mającej tę zaletę, że nie zaciemnia ani wykrzywia prawdy, a przeto prawda jej łatwiejsza jest do ujęcia.

W najbardziej szczególnym poszanowaniu u Górali jest pamięć świętej Kunegundy. Jej żywot ziemski prawie cały zamknięty jest obrębem tej okolicy. Ulubioną jej przestrzeń między Krakowem i Tatrami odznaczona jest cała śladami jej żywota. Wieliczka<sup>204</sup> — jej posag wypłacony Polsce hojnością samego nieba, Pieniny — jej przytułek warowny w czasie burzy najścia tatarskiego, na koniec Stary Sącz — ostatnie jej mieszkanie i grób, miejsce, z którego dotąd nie przestaje okazywać sposobem cudownym swojej miłości dla tego ludu. Są to tylko widoczne węzły, które wiążą świętego ducha z tą krainą, ale jej

<sup>200</sup>Pięciostawy — właściwie Pięć Stawów, zespół jezior w Tatrach Wysokich; autor używa nazwy „Pięciostawy”. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>Żabieniec — być może chodzi o Zadni Mnichowy Stawek w Dolinie za Mnichem, najwyższe położone jezioro w polskich Tatrach (2070 m). [przypis edytorski]

<sup>202</sup>baca — zwierzchnik pasterzy owiec (juhasów). [przypis edytorski]

<sup>203</sup>Jaworzyna Kamienicka — drugi pod względem wysokości po Turbaczu szczyt Górców. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>Wieliczka — miasto powiatowe w województwie małopolskim, znane z zabytkowej kopalni soli, do której powstania zgodnie z legendą miała się przyczynić św. Kinga. [przypis edytorski]

pamięć rozlewa się tu obficie, panuje obszerniej i dlatego najmniejsza pamiątka po niej śledzona jest i strzeżona ze świętą troskliwością. Jeszcze przed laty kilkunastu leżał przy Łopusznej nad Dunajcem kamień z odciskiem ludzkiej stopy. Według podania była to stopa św. Kunegundy z owego czasu, kiedy zmuszona opuścić Kraków zagrożony przez Tatarów udawała się w Pieniny i w swojej podróży zatrzymała się na tym głazie. Dziś go nie ma w tym miejscu, został podobno przeniesiony do sądeckiego kościoła.

Cześć ludowi, który tak jest wierny w miłości dla tych, co przez swoją miłość stają się jego opieką i chlubą. Potęga ziemską, huczącą wielkimi czynami, może go przerazić, zdumieć, rzucić na kolana, ale nie jest jeszcze świętością w jego oczach; jest mu obojętna, po chwili przemija w jego pamięci razem z hałasem swoim. Przeciwnie — błogosławi on przez wieki, korzy się, pada twarzą i duchem przed kobietą, przed dzieckiem, przed wszelką słabością widomą, jeśli z niej promieniuje potęga wyższej miłości, ofiary wyższej. Lud prosty ją poczuje, odkryje i uwieczni w swoim świecie.

Jest to jego własność nieoceniona — owo uwiecznianie wszystkiego, czego raz dotknął swoim duchem. Przychodzi mu to bez trudu, bo przede wszystkim uderza go prawda i prawdzie tylko stawia swoje ołtarze. Ten ołtarz może być niezgrabny, zniekształcony wpływem czasu, ale go postawił lud w miłości i czci dla prawdy. A co raz tak postanowił, już tego pewno sam nie zwali.

Następna powiastka maluje cześć Podhałań dla świętych im przedmiotów.

Do kościoła w Łopusznej wieszono obraz świętego Antoniego<sup>205</sup>. Obraz nie mistrzowski zapewne, gdzie był niejeden grzech przeciwko sztuce — między innymi usta zbyt blade. Jeden z obecnych, widząc to, odezwał się żartem, że święty musiał dopiero co jeść śmietaną. Natychmiast obraz tak ocieżył<sup>206</sup>, że wóz stanął w miejscu jak wryty, przy tym niebo okryło się chmurami i ogromny grad się puścił. Próbowano siły liczniejszego zaprzęgu, ale wóz z obrazem stał nieporuszony. W końcu dowiedziano się przyczyny tego wypadku i odwołano się do modłów błagalnych, a wnet wóz ruszył z miejsca, grad się zatrzymał i jasna pogoda wróciła.

W podobnym duchu słyszałem inną opowieść, ale nieuważnie słuchałem i dlatego nie mogę jej przytoczyć, jak mi była opowiedziana. To mi się tylko zachowało z ogólnej treści, że za przewinienie podobne powyższemu cały lasek dotknięty został karą taką, że wszystkie jego drzewa powykręcały się w najpotworniejsze kształty i tak dotąd rosną. Lud pokazuje go jako widomy i trwałe przykłady kary za ułóżenie świętościom, światu wyższemu.

W innej powieści, bardzo prostej, dostrzegam ważną ideę o zamknięciu się w sobie, o niedawaniu innym należnego im uczucia.

Był w Łopusznej parobek bardzo przystojny i równie zimny. Niejedna dziewczyna okazywała mu swoją ku niemu skłonność, ale żadna nie mogła pozyskać jego wzajemności — każdą odpychał z pogardą. Zdarzyło się, że raz idąc na mszę do Harkłowej, ujrzał w potoku łososia. Schyla się, aby go schwycić, i w tej chwili przebija go nóż, który miał za pasem. Rana była śmiertelna, umarł z jej powodu prawie natychmiast. Nóż nieszczęśliwy wrzucono w potok, gdzie zdarzył się wypadek, a parobka pogrzebano. Ale duch jego nie opuścił miejsca, gdzie nóż został wyrzucony — ciągle się tam pokazywał i straszyl ludzi. W tej trwodze znalazły się śmiałe dziewczęta, które postanowiły rozmówić się z duchem, aby dowiedzieć się, jak mu pomóc. Dotrzymały, co postanowiły: rozmówiły się z duchem i dowiedziały się z jego własnych ust, że odbywa pokutę za pogardę wobec kobiet i że dopiero wtedy będzie wolny, kiedy dziewczęta kupią mszę za jego duszę, a jako świadectwo przed innymi ludźmi dał im rutę<sup>207</sup> z własnego kapelusza. Dziewczęta zakupiły mszę żadaną i duch parobka nie pokazał się odtąd więcej.

O podobnym duchu pokutującym, ale pokutą straszniejszą, przywiązana jest opowieść do włości Ostrowsko<sup>208</sup>, leżącej między Nowym Targiem a Czorsztynem. Na jej polach, niedaleko drogi, znajduje się bagno, z którego nocą wybiega człowiek nagi i goni

Lud, Prawda

Duch, Kobieta

<sup>205</sup> święty Antoni a. Antoni Padewski (1191–1231) — portugalski teolog, franciszkanin i święty Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

<sup>206</sup> ocieżyć a. ocieżyć (daw.) — stać się ciężkim. [przypis edytorski]

<sup>207</sup> ruta — roślina o podługnych liściach i żółtych kwiatach. [przypis edytorski]

<sup>208</sup> Ostrowsko — wieś położona w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

za przechodzącymi. Pokutnik ten straszniejszy niż pierwszy, bo samobójca podobno — miał się utopić rozmyślnie.

Wiele jest opowieści, w których grają rolę czarci, czyli złe duchy, pojmowane już ze stanowiska religii chrześcijańskiej.

W Bukowinie Łopuszańskiej<sup>209</sup>, która leży pod górą Kluczki, w sam dzień świętych Piotra<sup>210</sup> i Pawła<sup>211</sup> ujrano diabła ubranego po niemiecku, jak przeszedł pomiędzy bydłem, wszedł do lasu i porąbał jawor. Ktokolwiek chciał później ten jawor zrąbać, tak się kaleczył, że musiał zaniechać. Niejedno drzewo tak napiętnowane napotyka się w górach. Górale się bardzo strzegą, zwłaszcza w pierwszych dniach po wyżej wspomnianym święcie, żeby nie rąbać podobnych drzew..

Są znowu przykłady złych duchów odpłacających przysługę odslugą<sup>212</sup>. Pewnej nocy, bardzo już późno, zajechał do jednego z kowali w Harklowej powóz zaprzężony sześcioma dzielnymi, karymi końmi. Wyjechał on z Dunajca, siedział w nim pan ubrany po niemiecku i sam powoził. Zatrzymał się przed kowalem, bo jednemu z koni podkova odpadła. Kowal ją przybił i widział, że była ze złota. Podróżny w nagrodę dał kowalowi strzelbę, a sam popędził dalej gościńcem. Od tego czasu dziwny strzelec z owego kowala — zabija takie zwierzęta i ptaki, jakich w całej krainie góralskiej nie ma.

Niepodobna spisywać wszystkiego, co słyszę w podobnym rodzaju, a tym bardziej nie uważam za właściwe umieszczać tutaj wszystkiego, co mam w notatkach. Daję tylko próbki przedstawiające z różnych stron ducha Podhalan, ich życie bardziej wewnętrzne w objawieniu się zewnętrznym, na polu wyższym od życia powszedniego.

Zresztą nie wątpię, że będę jeszcze nie raz musiał dotknąć tej strony: zachowuję preto do późniejszego czasu, co będzie mogło uczynić pełniejszym ten ogólny zarys oblicza religijnego Podhalan. Muszę jednak cofnąć się na chwilę do opowieści o obrazie św. Antoniego i lesie przeklętym. Co za głęboka nauka w tych opowieściach ludu, nie prostego nawet! Alboż przez grzech bezbożności nie widzimy narodów całych w potwornym stanie tego lasu? Te grady, co biją w ludzkość, ten wóz narodu, którego żadna siła nie może poruszyć z miejsca, gdzie uwiązł, skąd to wszystko? Co to jest? Prawda znieważona, wyższy świat zbluźniony lub pogardzony przez wyższych ludzi, wyższe uczucia. I nie ma ratunku, nie ma postępu świętego, póki go człowiek nie przebłaga, póki mu nie wypłaci długu należnej czci!

## DOLINA NOWOTARSKA. NOWY TARG

Ze wszystkich dolin, które dotąd opisałem, ze wszystkich, które znalazłem na mojej drodze od Tarnowa ku Podhalu, które widziałem gdziekolwiek, żadna nie może iść w porównanie z doliną nowotarską. Mogą być miłsze od niej, wdzięczniejsze, na małą skalę, ale trudno o podobną, bo trudno o takie skupienie tylu i takich przedmiotów, jak są te, które wchodzi do jej ogółu. Wszystko tu się składa na całość rozmiaru ogromnego, rozmaitości wszechstronnej, różnorodnego wdzięku. Rozległość, oblicze wewnętrzne, widoki na zewnątrz, mieszkańcy, życie przyrody, życie ludu, pomniki dziejów, poezja gminu i tym podobne — wszystko to tworzy świat pełny sam w sobie, harmonijny, ogromny, różny od wszystkiego, co dotąd widziałem, zasługujący ze wszech miar na uwagę i bliższe przyjrzenie się. Jestem dla niego pełen czci i miłości, stąd pragnę i będę usiłował skreślić go chociaż w pewnej części, w rysach ogólnych, a o ile można — wiernych. Praca to jest niekrótka i nielekka; nie mając przed sobą innej w tych dniach, jej poświęcę całą tych dni swobodę.

Dolina nowotarska zajmuje przestrzeń ogromnego obwodu. Niepodobna oznaczyć ją z dokładnością milami, powiem tylko, o czym mnie zapewniono, że ludność doliny wynosi z górą sto tysięcy mieszkańców. Granice widnokreśgu są granicami doliny. Granicę ową stanowią od południa Tatry, dalej ku zachodowi bieleją cokolwiek niższe szczyty, ale śnieżne, gór zwanych Fatrami. W skrócie ku północy napotykasz wysoki Żywiec i na-

<sup>209</sup>Bukowina Łopuszańska — polana na południowy zachód od Turbacza. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>święty Piotr a. Piotr Apostoł (zm. 64/67) — apostoł, pierwszy biskup Rzymu, święty Kościoła katolickiego i prawosławnego. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>święty Paweł a. Paweł z Tarsu (ok. 5/10-ok. 64/67) — Żyd z Tarsu, apostoł, święty chrześcijański i męczennik. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>odsluga (daw.) — usługa oddana za usługę. [przypis edytorski]



stępnie, jak olbrzymi kopiec narożny, jedyną w swoim rodzaju i w tej stronie, samotną, piramidalną Babią Górą. Od niej cała północna i wschodnia strona doliny zasłonięta jest pasmem przedgórzy, które się odznaczają szczytami i garbami niepośledniej wysokości, jak na przykład Kluczki, szczyt Maniowski<sup>213</sup> i inne, nieznane mi z nazwy. Pasma to kończy się na Pieninach przy Czorsztynie. Dolina jest znacznie dłuższa niż szersza; najwęższa pod Czorsztynem, rozszerza się coraz bardziej. W okolicy Nowego Targu oś jej szerokości liczy się już milami. Kierunek doliny z północnego wschodu na południowy zachód.

Nieliczone wody w potokach rozmaitej wielkości spotykają się w dolinie — to z przedgórzy, to z Tatrów. Najznaczniejsze między wychodzącymi z łona Tatrów są Białka, Wąg, Czarny i Biały Dunajec. Wąg odpływa na Węgry, do Dunaju<sup>214</sup>, drogą, którą sobie wyłobił pomiędzy najwyższymi górami. Poczyna się jednak w północnym boku Tatrów i tym sposobem zarywa część okolicy nowotarskiej<sup>215</sup>. Biały i Czarny Dunajec zlewają się pod Nowym Targiem w jeden Dunajec, który zabiera Białkę i wszystkie inne potoki.

Powierzchnia doliny nie jest ściśle płaska. U podnóża Tatrów z jednej strony, przy przedgórzach z drugiej, pogarbiona mniej lub więcej znacznymi wyniosłościami, spuszcza się jakiś czas ku swojemu środkowi nieznaczną potoczystością aż do Dunajca, którego łożysko jest właściwie ostatnią głębią dna doliny.

Mówiąc o nowotarskiej dolinie, powinienem tu zapisać piękne, tyżące się jej podania. Lud wierzy i powiada, że przed wiekami cała ta przestrzeń zalana była morzem, które się zwało Karpackie Morze, ale że jakiś bardzo dawny król polski kazał przeciąć góry Pieniny i tym sposobem cały ten kraj osuszył — stąd bieg Dunajca aż do Wisły.

W rzeczy samej przełom Dunajca przez Pieniny jest tak wyłobiony między prostopadłymi skałami, tak ma pozór kanału, że okoliczność ta nadaje pewne prawdopodobieństwo podaniu ludowemu, przynajmniej co do istnienia przedwiekowego, wielkiego ogromu wody w dzisiejszej dolinie nowotarskiej i gwałtownego jej przedarcia się przez tamę Pienin.

Szczegóły podania mogą być późniejszym wymysłem, ale istotą jego jest ta pamięć ludu, która sięga czasów przedwiecznych, czasów owych, których dzieje, częstokroć najrzeczywistsze, są dla potomności niepodobne do prawdy. Lud jednak pozostaje religijnie wierny swojej przeszłości. Zresztą cóż w tym podaniu jest tak nadzwyczajnego? Alboż jedno miejsce, przeludnione dzisiaj, nie miało kiedyś innych mieszkańców, jak mieszkańców wody? Gdzie są dzieje, które by nam dochowały pamięć wszystkich wstrząśnień, wszystkich zmian, przez które przeszła ziemia od chwili, gdy wyszła jako glob ziemski z rąk swojego Stwórcy? Mamyż co, na czym byśmy niewzruszenie oparli zaprzeczenie nasze powyższemu podaniu? Ja przynajmniej nic takiego nie widzę i dzielę wiarę ludu w jego opowieść, bo ma prawdopodobieństwo za sobą i otwiera ogromne pole uroku poetyckiego człowiekowi unoszącemu się w przeszłość z miłością dla niej. O, gdybym mógł wypowiedzieć, co za świat dziwny, co za tłum pomysłów rodzi się we mnie z tej jednej opowieści!

Wracam do czasów obecnych. Liczne i ogromne wsie zapełniają dolinę lub ją otaczają. Między tymi osadami najcelniejsze miejsce zajmuje miasteczko Nowy Targ. Uważane jest ono za główny punkt tej okolicy, zowie się nawet stolicą Podhalan. Położenie jego jest w istocie bardzo korzystne. Ludność dokoła niezmierna; przemysł odznaczający Górali; dwa gościńce bite kupieckie, jeden do Spisza<sup>216</sup>, ku wschodowi, drugi na zachód, zwany trenczyński<sup>217</sup>, trzeci do Krakowa, a z którymi się wiąże pełno dróg pomniejszych. Zejście się dwóch Dunajców tuż pod miastem; bliskość kąpieli mineralnych już to galicyjskich, już to węgierskich; okolica, jak Tatry, wabiąca co rok wielu ciekawych wędrowców — są to wszystko okoliczności wzywające do ruchu przemysłowego, ułatwiające zbyt jego wyrobów, a przez to sprzyjające podniesieniu się miejsca na stopę miasta porządnego,

<sup>213</sup>szczyt *Maniowski* — chodzi zapewne o Lubań, u którego podnóża leży wieś Maniowy. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*Dunaj* — druga co do długości rzeka w Europie, dorzecze Dunaju pokrywa duże rejony Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>*zarywa część okolicy nowotarskiej* — w rzeczywistości Wąg wypływa z południowej strony Tatr. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*Spisz* — region historyczny w Karpatach Zachodnich, w dorzeczu Popradu i Dunajca. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>*trenczyński* — dotyczący Trenczyna, miasta powiatowego w zach. Słowacji. [przypis edytorski]

zaopatrzonego we wszystko. Ale Nowy Targ nie umie jeszcze korzystać z tych darów. Miasteczko nie jest ani tak rozległe, ani tak zabudowane, ani tak ożywione, ani tak wygodne dla podróżnych, jakby być powinno i być mogło. Jest to nic więcej jak miścina licha, podobna do tylu innych w całym tym kraju. I sama na tym niemało traci.

Powstanie Nowego Targu, według zapisków kronikarskich, sięgać ma najdawniejszych czasów Polski.

Między ciekawszymi szczegółami miejscowymi jest kościółek św. Anny<sup>218</sup>, bardzo starożytny. Stoi on za miastem, po stronie jego północnej. Powiadają, że go zbójcy wystawili, a obraz w wielkim ołtarzu ma być ukradziony przez nich na Węgrzech.

Na zachód Nowego Targu o pół mili, przy brzegach Czarnego Dunajca<sup>219</sup>, leży wieś Ludźmierz<sup>220</sup>, a niedaleko niego druga wieś — Krauszów<sup>221</sup>. O początku tych dwóch wsi zachowują Górale następujące podanie: W czasie jednego najścia Tatarów Polacy spotkali się z nimi na tych polach i zostali na głowę pobici. Tatarzy po zwycięstwie ucieli każdemu trupowi po jednym uchu i tymi uszami napełnili dziesięć worów. Owoż w miejscu, gdzie obrzynano uszy, stanął Krauszów, a Ludźmierz tam, gdzie je odmierzano worami. O Ludźmierzu wzmiankuje Bielski<sup>222</sup>, już pod datą 1234, w ten sposób: „Teodor<sup>223</sup>, herbu Gryf, wojewoda krakowski, klasztor cysterneńskich mnichów<sup>224</sup> w Ludźmierzu, wsi swojej niedaleko Nowego Targu, fundował, lecz iż od zbiegów często tam przenagabanie<sup>225</sup> miewali mniszy<sup>226</sup>, i przeto na Szczyrzyce<sup>227</sup> się stamtąd przenieśli<sup>228</sup>”.

Gruzy klasztoru cystersów<sup>229</sup> pokazują dotąd w Ludźmierzu, a wspomniany klasztor szczyrzycki jest i dziś osadzony cystersami. Ma on posiadać archiwum bogate w pomniki bardzo ważne dla dziejów podgórskiej okolicy, ale zarzucają mnichom, że przez dziwną ich nieużytość przystęp do archiwum jest wzbroniony.

W ogólności wsie wokół Nowego Targu są bardzo dawne, Szaflary<sup>230</sup> na przykład, o milę od Nowego Targu ku południowi, miały być założone w 1200 roku, czego dowody znajdują się w aktach z owego czasu dochowanych. Wieś Zakopane miała osadzić jakaś starościna Wielopolska<sup>231</sup> niedobitkami ze zniszczonej tam hordy<sup>232</sup> tatarskiej, lotrującymi w miejscowych górach. Na dowód tego przytaczają, że dziś jeszcze pewna liczba rodzin w tej wsi zowie się Tatarami, a nawet zachowuje w swoich obliczach rysy mongolskie.

Tu z prawdziwą rozkoszą zapisuję miłą mi wdzięczność dla zacnego męża<sup>233</sup>, który mi dostarczył nie tylko największą część podobnych wiadomości, ale z niezmordowaną cierpliwością wtajemniczał mnie, że tak powiem, w życie Podhala. Nie było prawie usługi, której by mi w tym celu nie ofiarował, do której by nie był gotów. Jemu to winienem po wielkiej części, com się dowiedział o tej okolicy, com w niej widział. Chociaż obcy rodem tej ziemi, ale się wnarodził swoją dla niej miłością i przez to miał siłę i wytrwałość zbadać ją wielostronnie i głęboko. Wiem od niego, że myśli nawet o publicznym podzieleniu się ze współziomkami zasobem swoich wiadomości w tym przedmiocie. Bardzo mu życzę, bardzo pragnę, aby swoje przedsięwzięcie mógł doprowadzić do skutku. O ile go znam, mam prawo sądzić, że dzieło jego byłoby dokładniejsze, ciekawsze, użyteczniejsze, było-

Książka

<sup>218</sup>św. Anna — matka Marii i babka Jezusa, święta Kościoła katolickiego i prawosławnego. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>Czarny Dunajec — rzeka w województwie małopolskim, w dorzeczu Wisły. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>Ludźmierz — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>Krauszów — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>Bielski, Marcin (ok. 1495–1575) — historyk, renesansowy poeta, pisarz i kronikarz. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>Teodor Gryfita (zm. 1237) — wojewoda krakowski w latach 1231–1237. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>cysterneńscy mnisi a. cystersi — katolicki zakon monastyczny reformowany, oparty na regule benedyktyńskiej. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>przenagabanie (daw.) — nagabywanie, przeszkody. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>mniszy (daw.) — dawna forma, obecnie: mnisi. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>Szczyrzyce — właśc. Szczyrzyc, dawniej miasto, a obecnie wieś w województwie małopolskim, w powiecie limanowskim. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>Teodor, herbu Gryf, wojewoda krakowski, klasztor cysterneńskich mnichów w Ludźmierzu, wsi swojej niedaleko Nowego Targu, fundował, lecz iż od zbiegów często tam przenagabanie miewali mniszy, i przeto na Szczyrzyce się stamtąd przenieśli — Marcin Bielski (ok. 1495–1575), *Kronika*, Warszawa 1764, s. 131. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>cystersi — katolicki zakon monastyczny reformowany, oparty na regule benedyktyńskiej. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>Szaflary — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>Wielopolska, Marianna (1646–1733) — siostra królowej Marii Kazimiery Sobieskiej. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>horda — tu: wojsko ludów koczowniczych tureckich i mongolskich. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>zacny mąż — prawdopodobnie chodzi o leśniczego bukowskińskiego, Franciszka Kleina. [przypis edytorski]

by obrazem zupełniejszym tajemniczej dotąd strony Tatrów, przeszłości tej ziemi i ludu w jego stanie obecnym, niż wszystko, co dotychczas o Tatrach ogłoszono. Spodziewam się tym więcej po jego pracy, że sam jest skromny i bez żadnych do autorstwa pretensji. Powoduje nim tylko miłość naszej ziemi i chęć przysłużenia się jej, czym może. Położenie też jego sprzyja mu bardziej niż komukolwiek. Jeżeli kiedy, szanowny i kochany mężu, dojdą do ciebie te słowa, przyjmij je jako wyraz wdzięczności i pamięci, które dla ciebie zawsze zachowam.

## PODHALANIE. LUD

Tatry straciłyby niezawodnie połowę swojego uroku bez swoich mieszkańców. Ogrom ich zostałby wprowadzić tym samym ogromem, przyciągałby na chwilę, porywał, zdumiewał, przerażał zmysły, a nawet potrafiłby głębiej ducha ludzkiego, ale jak rzadki byłby ten człowiek, który by poczuł życie wewnętrzne Tatrów bez życia człowieczego na ich powierzchni, życia wyższego nad życie kamieni, wód, roślin, który by zajął się nim tyle, ile dzisiaj każdy się zajmuje, krzepiony życiem mieszkańców. Tatry bez człowieka byłyby tylko ciałem bezludnym, trupem olbrzymim i zajmowałyby o tyle wędrowca, o ile może zająć człowieka widok niezwykłego trupa. Uczucie takie może być bardzo gwałtowne, ale prędko nasycy człowieka aż do przesycenia, a wtedy przeradza się w niesmak.

Są w tym stanie pewne krainy — jedne bezludne, inne zaludnione takimi mieszkańcami, że życie ich ziemi im się przez to nie podnosi, że drzewa, wody, skały, zwierzęta żyją więcej, prawdziwiej niż ich człowiek. Jest i to zajmujące, ale smutne! Komu by trudno było sprawdzić tę myśl w kraju przestronnym, niech poszuka bliżej siebie, a znajdzie, że nieraz widział podobną okolicę, miasteczko, wieś, dom... I już oto ma na małą skalę tego, co przypuszczam o Tatrach bez ludzi.

Nie mówię tego lekko. Nie rzucam myśli, co to czasem wyskakuje spod pióra mimo wiedzy piórodzierzcy. Nie powiedziałbym tego, gdybym się nie znajdował niekiedy wśród takich ludzi, żyjących życiem tylko robaka grobów lub ran zaniedbanych, że wolałbym przebyć ten czas z duchem, który objawia swoje życie jedynie szumem drzewa, ruchem wody, tchnieniem wiatru — byłbym już w sferze życia prawdziwszego, pełniejszego, miłszego, wyższego.

Nie stosuję się to do Podhalan. Winienem im za to wdzięczność. Przez wdzięczność tę chcę zachować ich obraz, bardzo niezupełny, niewykończony, ale ufam, że wierny — o ile go schwycę. Nie przyrzekam więcej. Znam całą trudność poznania i odmalowania narodu. Poznać naród... Zwracam się do siebie i widzę, ile by to trzeba komuś, żeby mnie poznał! Przez ile to kolei bolesnych i szczęśliwych musiałby przejść razem ze mną! To samo z narodem, tylko na skalę bez porównania ogromniejszą, bo cały żywot człowieka jest chwilą w bycie narodu.

Przystępując wprost do mego przedmiotu, patrzę na Górali tatrzańskich ze stanowiska czysto obecnego; nie znajduję go w przeszłości. Światło przeszłości pada bardzo słabo na lud tej okolicy. Nie ma on na scenie publicznego życia takiej sławy jak mieszkańcy innych naszych okolic. Przez szczególne przeznaczenie jakieś odosobnienie, milczenie, brak ruchu odpowiedniego ruchowi dokoła, otaczały zawsze ten zakątek. Nie potępiajmy jednak za to naszych Górali. Ich byt nie przeminął. Jest jeszcze przed nimi przyszłość i kto wie, jak długa, jak wielka. Zresztą i ta okoliczność potwierdza to, że Górale są plemieniem czysto słowiańskim, a człowiek tego rodzaju nie wylazi łatwo ze swojej nory. Wszakże z drugiej strony widzisz już w Góralach coś różnego, jakby niesłowiańskiego, po części może z istoty ich posady<sup>234</sup> ziemskiej, ich położenia tak fizycznego, jak cywilnego, po części może przez obce im wpływy, zgoła, że Górale są Słowianami — pod pewnym względem wyżsi, pod innym znowu niżsi od swoich pobratymców. Ale o tym we właściwym miejscu. Zaczniemy od tego, co w człowieku na pierwszy rzut oka uderza — od powierzchowności.

Jest to w ogólności lud dorodny. Wzrost więcej niż mierny, a w wielkiej części wysoki. Budowa zgrabna, lekka, ale mocna. Ruch pełen życia i zreczności. Głowy nierzadko piękne, bardzo często szlachetne rysy twarzy, które powszechnie prawie odznaczają się

Lud, Dusza

Naród, Lud

<sup>234</sup>posada (daw.) — tu: podstawa bytu materialnego. [przypis edytorski]

śmiałością, rozumem, wyrobionym życiem, pewną dojrzałością i siłą wewnętrzną albo przebiegłością, zuchwalstwem, chytrością, przed którymi trzeba się mieć na baczności.

Ubiór ich zanadto obcisły, zanadto kusy, nie jest jednak bez wdzięku męskiego. Był on, jak się zdaje, pierwszym wzorem stroju dzisiejszych huzarów<sup>235</sup>, tylko mniej ozdobny, a raczej mniej upstrzony. Oto szczegóły ubioru Górala:

Koszula krótka, zaledwie sięgająca poniżej piersi. Spodnie opięte z grubego, białego sukna, u których szwy podłużne zewnętrzne nogawic pokryte są czerwonym sznurkiem. Za obuwie służą ciżmy skórzane, to jest kawałki skóry przykrępowane tylko do nogi, bez oddzielnych podeszew, rzemiennym sznurowaniem, które dochodzi mniej więcej do połowy łydek. Pas skórzany, szeroki, z kieszonkami i pochwami na nóż i inne narzędzia, zapinający się z przodu na kilka sprzączek. Guńka biała, długa do bioder, bez żadnego kołnierza, spięta pod szyją, najczęściej z rękawów spuszczone. Kapelusz z dnem niskim, wypukło-okrągłym, o wąskich skrzydłach. Włosy długie, rozpuszczone na plecach i ramionach, niekiedy splecione w kilka warkoczy, broda i wąsy golone. Oto strój Górali najpowszechniejszy. Podlega on pewnym zmianom w niektórych okolicach, ale nigdzie co do kroju. Są w nim dodatki i ozdoby, ale te uchodzą tylko młodzieży lub juhasom<sup>236</sup>. Wtedy konieczna jest gałązka na kapeluszu lub pióro z jakiegoś ptaka dzikiego, spiniki błyszczące przy guńce i u rękawów koszuli, wyszywanie na spodniach itd. Wszakże bez tych nawet ozdób strój Podhalan wydaje mi się ładniejszy niż Górali innych okolic. Kapelusze z ogromnymi skrzydłami są dopiero u Górali węgierskich w użyciu.

Czas i tu także zaprowadził niektóre zmiany, szczególnie co do stroju głowy. Widziałem dawniejszy na jednym rysunku; podług niego i opowiadania, które go dopełniało, był to wysoki kołpak<sup>237</sup> okrągły, ozdobiony mnóstwem kamyków, paciorków i blaszek w rozmaite wzory, z piórem jakiegoś ptaka lub gałązką na boku. Nie chce mi się jednak wierzyć, aby ten strój był kiedyś powszechny. Strojąca się młodzież góralska przeplata i dziś jeszcze długie swoje włosy amarantowymi wstążkami, jak nasze dziewczęta ukraińskie albo parobcy, tylko że ci ograniczają się do jednego kosmyka włosów pobocznych, który zowią seledcem<sup>238</sup>.

Ubiór Górali może razić oczy nieprzywykłe do niego, może nie być w dobrym, nowoczesnym smaku, ma nawet ważne niedogodności dla ludzi niezahartowanych na wszystkie nieprzyjemności powietrza, ale trzeba mu przyznać, że nie przekształca ani nie zakrywa formy ciała — tak przylega do niego, tak uwydatnia wszystkie jego kształty. Ludzie, co go pierwsi wymyślili i odważyli się nosić, musieli być doskonalej budowy.

Rzecz najważniejsza, że spod tego stroju Podhalan przebija ich charakter, ich strona moralna. Jest to dla mnie prawda niezaprzeczoną, że jak nie ma przypadku w niczym, tak i w ubiorze; że ten ubiór, przyjęty zwłaszcza przez pewną liczbę ludzi, na czas pewnej trwałości, nie jest rzeczą przypadkową, ale koniecznością i jednym ze znamion widocznych, wyjaśniających stronę człowieka mniej widomą. Nowe potwierdzenie tej prawdy mam w Góralach. Kiedyś sobie zadał pracę głębszego zastanowienia się, zdumiałem się nad tym stosunkiem, który zachodzi między ich ubiorem a charakterem. Byłoby za długie, niewłaściwe w tym miejscu wykladać wszystkie moje porównania, wszystkie konkluzje. Strój opisałem wyżej, a teraz opowiem, na ile zdołałem wnikać w tajemnicę ich charakteru.

Góral dzisiejszy jest to już mieszanina chłopa jawnie słowiańskiego i chłopa zaczynającego cywilizować się oświatą, jaka do sfery ludu najłatwiej przeniknąć może. Zachował on z dawna wiele przymiotów i wiele wad rodzimych. Zarywa<sup>239</sup> z wyższego wykształcenia, z nowego dla siebie porządku rzeczy, nieco dobrego, wiele rzeczy szkodliwych swojej dobrej stronie, niezgodnych z jego duchem ojczystym. Ma wyższość nad wielu innymi Słowianami przez poczucie swojej siły, w swojej wartości, i w potrzebie zdolny jest objawić je z wielką energią. Pod tym względem można go uważać za pobratymca bliższego Serbom i innym plemionom południowych Słowian, jak Słowianom z tej strony Karpat. Rząd jest bardzo ostrożny w stosunkach z Góralami — widocznie pobiłza im, niekiedy aż

Strój

Strój, Kondycja ludzka

Chłop

<sup>235</sup>huzar — żołnierz z oddziału lekkiej jazdy. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>juhas — pasterz owiec. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>kołpak — wysokie, stożkowate nakrycie głowy bez daszka. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>seledec a. oseledec — noszony przez Kozaków kosmyk włosów na czubku ogolonej głowy. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>zarywać — tu: brać. [przypis edytorski]

do granicy słabości. W rzeczy samej, biorąc pod uwagę ich charakter, ich fizyczność, położenie ich okolicy, lepiej mieć ich jako sprzymierzeńców niż wrogów, choćby z poświęceniem niektórych korzyści panowania, co najczęściej jest pozorne i chwilowe. Górale rozumieją to przez instynkt niepodległości, stąd panują im nigdy zupełnie rachować na ich miłość nie mogą. Smutny był los urzędników, którzy przez wypadki roku 1809<sup>240</sup> na Węgrzech schronić się musieli. Droga wielu szła przez Tatry, Górale byli przewodnikami i przewoźnikami, ale mała liczba uciekinierów ujrzała Węgry — nie wiadomo, co się z innymi stało.

Góral zagrożony, raniony, napastowany ze strony tego uczucia staje się strasznym wrogiem. Niezdolny do otwartej walki, uzbraja się zemstą, uzbraja się we wszelki oręż, jaki tylko może dostarczyć zemsta najbardziej zacięta i najskrystsza. Smutne tego przykłady nie są rzadkie, a mianowicie na polu stosunków z dziedzicami. Niedawno jeden Góral, upatrzwszy porę i miejsce, schwytał pana swojej wsi, przez którego czuł się skrzywdzony, i z zimną krwią połamał mu ręce i nogi. Co więcej, nie zataił tej zbrodni. Popelniwszy ją, poszedł do sądu i sam odkrył ją staroście — nie z żalu, broń Boże, ale przez uszanowanie dla prawa — ciągle utrzymując, że według prawa popełnił zbrodnię, ale zrobił, co był powinien.

Pod tym względem położenie tutejszych posiadaczy — szlachty — jest bardzo niewdzięczne, a nawet niebezpieczne. Jest to trwały stan skrytej wojny, tym obrzydliwszej i bardziej zaciętej, że się toczy między braćmi. Stąd wielu nie śmie wyjechać za dom, tylko zbrojnie i w towarzystwie ludzi uzbrojonych. To położenie podtrzymuje konieczność hajduków<sup>241</sup>, czyli służby zbrojnej, do czego sam rząd upoważnia.

Nie zwalajmy jednak całej winy na Górala. Zazwyczaj druga strona wywołuje tę walkę — przez wymagania bezprawne, przez jakąś krzywdę. Góral staje w obronie swojego prawa, szlachcic naciera silniej, Góral zapieka się i poczyna działać zaczepnie, wtedy popełnia jakąś niesprawiedliwość... I tak z odwetu w odwet, walka się rozżarza, krzywdy obopólne tłoczą się na krzywdach, aż przychodzi do tego, że pojednanie staje się prawie niemożliwe.

Ażebym pozostać sumiennym i przysądzić ze złego, co komu należy, trzeba być na miejscu i z bliska patrzeć. Bez tego trudno mieć wyobrażenie, jakim brzemieniem ciąży na tutejszym ludzie niekiedy szlachta. Jest to chciwość, niemoralność, rozpusta, bezbożność, pycha w całym swoim cynizmie. W tych czasach właśnie jeden z podobnych dziedziców w tej okolicy, i to majątniejszych, tak już przebrał miarękę, że został w kajdany zakuty i pod sąd oddany. Dostyc posłuchać o jego sprawkach z mieszkańcami swojego majątku, aby zdrzeć ze zgrozy wszystkimi wnętrznościami — cóż dopiero musi dziać się z Góralem, który jest pastwą podobnego złoczyńcy, z Góralem, którego pewne prawa sam rząd najwyższy uznaje i szanuje.

Oskarżają Górali o chciwość i w niej widzą jedno z główniejszych źródeł zawziętego i długotrwałego procesowania się ich z panami. Prawda, że Góral ma za wiele tej wady, jak na Słowianina. Z drugiej strony trudno być wolnym zupełnie od niej temu, co jak Góral nic prawie nie ma, kiedy nadto ten, co ma daleko więcej od niego, chce go poświęcić swojej własnej chciwości. I tu jeszcze zły przykład idzie z góry.

Jakakolwiek jest chciwość Górala, może się do pewnego punktu usprawiedliwić, a nigdy nie jest tak wielka, jak na przykład Szwajcarów. Miłość swojej ziemi mocniejsza w nim od ponęty wszelkiej zysku. Jest to jeden z pięknych rysów charakteru naszego Górala. Ziemia jego jest mu niewdzięczna, a raczej biedna jak on, zaledwie ma z niej ziemniaki, owies i nabiół. Mimo to kocha ją miłością rzadką, nieznaną prawie mieszkańcom ziem hojniejszych. Kilka tygodni oddalenia od gór już wpływa na zdrowie Górala. Górale brani do wojska austriackiego, stojąc z wojskiem we Włoszech, tak marli z tęsknoty, że musiano przeprowadzać ich pułki do krajów bliższych górdom rodzimym. Góral zmuszony potrzebą puszcza się na zarobek z kosą i sierpem aż za Wisłę, ale jak najprędzej wraca do domu. Za nic w świecie nie zaprzeda się jak Szwajcar, nie uwięzi się w obcym kraju dla Bóg wie jakiego zysku. Wyobrażenie więc o chciwości Górali jest przesadzone.

<sup>240</sup>wypadki roku 1809 — chodzi zapewne o wkroczenie księcia Józefa Poniatowskiego do Galicji w czasie wojny Francji z Austrią. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>hajduk (daw.) — w dawnej Polsce służący na dworze magnackim w stroju węgierskim; w dawnym wojsku żołnierz piechoty zorganizowanej na wzór oddziałów węgierskich. [przypis edytorski]

Szlachcic

Pozycja społeczna, Prawo,  
Konflikt

Pozycja społeczna,  
Chciwość

Ma ona swój karb<sup>242</sup> w przywiązaniu do rodzinnej ziemi, jest bez korzenia w sercu Górala, jest raczej niedobrym nabytkiem z obczyzny, której Góral dotyka bądź u siebie, bądź w swoich przemysłowych i handlowych wędrówkach poza krajem rodzinnym.

Wadę ową wynagradza Góral trzeźwością, wstrzeźliwością i oszczędnością. Jest w tym do podziwiania i naśladowania. Trudno przestawać na mniejszym, utrzymywać życie pokarmem skromniejszym i lichszym. Stanowią go powszechnie: żur owsiany i placki owsiane, zwane moskalami<sup>243</sup>. Taki jest powszedni pokarm Górala. Ziemniaki nawet można uważać za zbyt kową już potrawę. Przez twardość ziemi i krótkość lata ziemniaki często nie udają się, a cóż mówić o innych gatunkach zboża, jak na przykład żyto lub pszenica. Nabiał także nie jest pokarmem zwykłym, wyjąwszy pasterzy w czasie letnim; reszta idzie na sery, a te, po największej części, sprzedaje się dla zaspokojenia innych potrzeb. Jeszcze rzadziej pokazuje się mięso na stole Górala.

Ten sposób życia nie tylko że nie szkodzi Góralowi, ale można śmiało stwierdzić, że jest dlań bardzo korzystny. On to przyczynia się niemało do utrzymania go w wyższości umysłowej nie tylko nad chłopami innych okolic, ale nawet nad szlachtą ucywilizowaną, a ciału nadaje tę lekkość, wytrwałość, zdrowie i siłę, które wielce odznaczają Górali naszych.

Następnie pracowitość i czynność Górala jest niepospolita. Rzuca się on na wszystkie dostępne mu dziedziny pracy. Zajmuje się głównie rolnictwem i pasterstwem; oddaje się potem tkactwu, ciesielce, kowalstwu, furmanowaniu, kupiectwu mniejszemu (rybami, nabiałem, owcami), strzelectwu itd.

W zatrudnieniach rękodzielniczych Góral rozwija niepospolitą biegłość. Takie wyroby, jak na przykład fajki mosiężne, toporki, torby, są roboty krajowej, wychodzą z rąk krajowców i nie tylko, że są dobre, ale często w wyższym stopniu ozdobne i piękne.

Nie jest rzeczą nadzwyczajną widzieć zegary ściennie, gdzie wszystkie sztuczki są z drzewa, roboty góralskiej i bardzo dobrze działające. A tymczasem jest to dzieło chłopca, który nie ma ani narzędzi stosownych, ani pojęcia o wyższej mechanice albo wyższych rachunkach.

Umysł ich z upodobaniem zwraca się w kierunku spekulacji, niekiedy wyższej. Niedawno jeden Góral z tej okolicy przedsięwziął szczerze zastosować do użytku ludzkiego tajemnicę latania. Kilka lat poświęcił on wymyśleniu i zrobieniu skrzydeł. Mniejsze próbki zadowalały go i utwierdzały w zamiarze. Przyszła wreszcie chwila próby na skalę większą. Zaczął od dachu własnej chaty i poszło mu pomyślnie. To go ośmieliło do większej wysokości. W tym celu wyszedł na skalę znacznej wysokości, rozpuścił swoje skrzydła, wyleciał, ale nie mógł utrzymać się długo w potrzebnej równowadze, spadł na ziemię nie po ptasiemu i obie nogi zламаł.

Ten przykład maluje przedsiębiorczość Górala, jego odwagę. To samo można widzieć codziennie w położeniach mniej na oko niebezpiecznych, ale w istocie bardzo — na przykład w ich życiu strzeleckim. Tam Góral zasługuje prawdziwie na poklask uwielbienia. Widząc tylko miejsce, a nie widząc w nim Górala w działaniu, trudno przypuścić w człowieku tyle lekkości, tyle zęczności, tyle odwagi. Może to ocenić ten tylko, kto sam dotknął tych stromizn i przepaści. Ja ich dotknąłem i nie dziwię się tej dumie, która w różnym stopniu, ale w każdym Góralu się przebija; tej zuchwałości, którą napotykamy w innych okolicznościach jego życia.

Tak jest, Góral jest dumny z siebie, stąd ma drażliwość miłości własnej. Drażliwość tę podsycają sąsiedzi z równin anegdótkami i żarcikami poniżającymi Górala. Niezdolny odbić podobnych pocisków albo nimi pogardzić, Góral zamyka się w sobie w gniewie tłumionym. Stąd widzimy często w Góralu nieszczerłość i podejrzliwość. Są to jednak stany przypadkowe, Góral z natury swojej jest bardziej skłonny do otwierania się i łatwości. A to z ważnej przyczyny, bowiem Góral ma silne religijne uczucia.

Wiara Górala jest głęboka, pobożność — szczerza. Księży ma w poszanowaniu, ale nie jest ich niewolnikiem. Umie i śmie oceniać osobistą ich wartość. Zdarza się na przykład, że księdzu wygłaszającemu kazanie z ambony nie idzie, jak by powinno iść w takiej chwili natchnionemu Duchem Świętym — uważaj tylko, a oto Górale jeden za drugim wysuwają

<sup>242</sup>karb — tu: ograniczenie, hamulec. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>moskal (gw.) — tu: placek owsiany, wyrabiany na Podhalu. [przypis edytorski]

się z kościoła i skupiają się na cmentarzu kościelnym. Wtedy jeden z nich, zazwyczaj sędziwy i bardziej poważany, staje pośrodku i przemawia w duchu kazania lepiej, jaśniej, z większą godnością i namaszczeniem niż kaznodzieja urzędowy. I bywa lepiej wysłuchany.

Przypadki te wśród ludu prostego uderzają mnie niezmiernie. W moich oczach rzucają one wielkie światło na przyszły postęp religijny ludu.

Góral jest jeszcze w tym wyższy od wieśniaków z innych stron, że każdy prawie umie czytać i pisać, nawet kobiety. Ile razy jestem w ich kościółku, widzę książeczkę nabożną w rękę każdej prawie dziewczyny. Niemala liczba Górali dochodzi do wykształcenia wyższego nad zwyczajne tutaj. Najchętniej wybierają szkoły księży pijarów<sup>244</sup> w Podolińcu<sup>245</sup> na Spiszu. Tam powszechnie oddają swoje dzieci i stamtąd wielu wychodzi po pełnym ukończeniu szkół. Spotkasz nieraz Górala za pługiem albo bacę wśród gór, który słuchał filozofii, umie po łacinie, a dziś uprawia rolę albo dowodzi trzodami.

W charakterze Górali jest jeszcze przymiot rządności<sup>246</sup>. Chaty ich mają wygląd przyjemny — budowane z drewna, ale obrobione gładko, starannie — i są obszerne. Przyczynia się zapewne do tego obfitość drzew, ale jeszcze więcej miłość do porządku, czystości i wygody. Izby przestronne; w każdej chacie jedna izba osobna, niby gościnna, gdzie zazwyczaj stoi warsztat tkacki. Taki warsztat ma każda prawie rodzina. W chacie utrzymane wszystko czysto, ułożone porządnie. Bydło nie mieszka razem z ludźmi, jak na przykład w Krakowskiem, ale pod osobnym dachem. Zagrody wszakże są przestronne, wygodne i dobrze utrzymane, bo też mieszczą w sobie główny majątek Górala.

Objechawszy nędzne galicyjskie osady, pod Tatrami dopiero pocieszyć się można. Wsie ogromne i ładne. Chaty wielkie, piękne, nierzadko domki murowane. Cała zagroda zapełniona budowlami porządnymi. A tymczasem mieszkańcy tych wsi, tych chat, nie zbierają ze swojego pola więcej, jak kilkanaście korcy<sup>247</sup> razem owsa i ziemniaków, a i to jeszcze zły rok nieraz wyniszczy. Ale za to jest pracowitość, rządność, oszczędność, wstrzemięźliwość, przemysł. Człowiek wiele nie pożąda, poprzestaje na jak najmniejszym, a pracuje jak najwięcej. Karczmy w powszedni dzień stoją puste. Jeżeli napęlniają się w dni świąteczne, to i wówczas przewodzi umiarkowanie. Nie ma zbytku w piciu, nie ma hałasu. Zabawa nacechowana jest pewną godnością, koszt jej opędza się zwykle składką, którą w tym celu składają obecni i chcący należeć do wspólnej biesiady. Uznałem ten obyczaj za bardzo ładny i godny powszechnego naśladowania przez wieśniaków z innych okolic. Nie dziw przeto, że Górale mogą się uważać za jeden z ludów zażywających dobrego bytu. Oni przynajmniej mają się za szczęśliwych na swojej ziemi i dlatego bardzo ją kochają. Mówił mi jeden z nich: „Gdzie indziej ziemia żyźniejsza, ale ani chleb, ani woda, ani powietrze nie są nigdzie tak zdrowe jak w górach”. A gdy tak jest, co im szkodzi, że śniegi padają czasem w czerwcu lub sierpniu, że mrozy do 27 stopni po kilka tygodni trzymają, że zima ciągnie się przez całe sześć miesięcy.

Obyczaje Górali w stosunku do kobiet nie są rozwiązłe, nie są też zbyt ostre. Góral pod tym względem ma wiele wyrozumienia. O zbrodniach z powodu miłości nie słychać. Grzechy zdarzają się i trudne są do uniknięcia przy takim rodzaju życia, jakie prowadzi młodzież obojga płci, szczególnie w lecie — życia wspólnego, odosobnionego wśród gór i lasów, w wolności zupełnej i prawie w bezczynności. Górale też między sobą nie są bardzo zazdrośni, nie wymagają od kobiet ścisłej niepokalaności. Dziewka mająca kilkoro dzieci może być pewna, że dobrze za męża wyjdzie. Dla porządnego gospodarza nie jest rzeczą obojętną mieć w dzieciach naturalnych swojej żony gotowych robotników. Nadto mniemają, że podobne kobiety są prawie w ogólności dobrymi gospodyniami.

O ile Górale są w tym względzie wyrozumiali między sobą, o tyle nie lubią, ażeby do ich kobiet zalecali się obcy, szczególnie szlachta i dworacy. Tacy niech się mają na baczności. Wszakże i tu jest wyjątek, dla szlachcica nawet, jeśli umiał sobie pozyskać miłość Górali — przez prawo nad ich sercem zyskał sobie prawo obywatelstwa między nimi.

Podhalanki, ponieważ ich kolej w tym obrazie przychodzi, mogą stanąć bez zapło-

<sup>244</sup> *pijar* — członek zakonu katolickiego, prowadzącego w dawnej Polsce głównie działalność edukacyjną. [przypis edytorski]

<sup>245</sup> *Podolińiec* — miasto na słowackim Spiszu, dawniej znane z kolegium pijarów. [przypis edytorski]

<sup>246</sup> *rządność* (daw.) — umiejętność dobrego gospodarowania. [przypis edytorski]

<sup>247</sup> *korzec* — dawna jednostka objętości. [przypis edytorski]

Lud, Szkoła

Lud, Dom

Obyczaje, Kobieta

Kobieta, Uroda

nienia się obok Podhalan. Mają one liczne i niepospolite wdzięki płci swojej, jak Górale swojej, a nierzadko w takim stopniu i w takiej pełni, że nic do zarzucenia, nic do żądania nie pozostaje. Odsunawszy na bok wyjątki i ostateczności, jak w pięknym, tak w brzydkim, powszechną cechą Góralek jest szlachetność rysów: są one zazwyczaj pociągłe, drobne, proporcjonalne, ożywione okiem ciemnym, pełnym, średniej wielkości, ocienione brwiami kształtnie i wyraźnie zakreślonymi, włosiem bujnym, najczęściej ciemnym. Uwieńczeniu temu odpowiada cała budowa, rzadko zbyt wybujała, powszechnie miernej wysokości, smukła, harmonijna we wszystkich swoich częściach, z nogą i ręką małą. Przyznają te zalety swoim kobietom sami Górale, między innymi tą piosenką:

Podhalskie dziewczeczki

Hej! Jako sarneczki;  
A z dołów wargule<sup>248</sup>,  
Tylko skrobać grule<sup>249</sup>.

Przystosowanie<sup>250</sup> do krępej budowy kobiet na równinach. Płeć<sup>251</sup> góralek przejrzysta, biała, więcej blada jak zarumieniona; takaż barwa i twarzy, co przy ożywionym wyrazie tym więcej ęci jakimś wdziękiem tajemniczym.

W ubiorze Góralek, bardzo prostym, zamyka się wszystko, na co dobry smak w ubiorze wiejskim zdobyć się może. Ma więcej niż nasze ubiory miejskie i salonowe, bo ściśle tylko tyle, ile potrzeba do osłonięcia pięknych kształtów ciała, bez obarczenia ich niepotrzebnymi dodatkami. Biorę pod uwagę ubiór dziewcząt raczej świąteczny niż powszedni, chociaż różnica między nimi bardzo mała. Koszula perkalowa bez kołnierza, wycięta na piersiach i na plecach i ściągnięta sznureczkiem Rękawy jej obszerne, marszczone przy piersi, obszyte i związane czerwoną wstążeczką. Na koszuli gorset przykrojony do kibici<sup>252</sup>, materiałowy, najczęściej zielony, obsyty galonem<sup>253</sup> po brzegach. Nie uciska on piersi, tylko je czyni wydatniejszymi, bo ledwo je w połowie przykrywa, i z przodu zapina się na haftki. Spódnica obszerna, gęsto fałdowana, z materii lub perkalu w kwiaty. Na spódnicy krótszy od niej fartuszek muślinowy, jako obuwie żółte buty na wysokich podkawkach. Po tym wszystkim sphywa z głowy lub ramion aż do ziemi rąbek<sup>254</sup> z muślinu, a spod niego przeblyskują na szyi ulubione tej płci błyskotki i ozdoby. Włosy wymuskane są aż do zbytku, rozdzielone na wierzchu głowy na dwie strony i splecione w jeden warkocz sphywają po plecach. Strój męzatek ten sam prawie, tylko mniej ozdób i głowa obciążana chustką, której część tylna rozszerzonym krańcem sphywa ku szyi.

Lud, Kobieta, Strój

Góralki znają się na swoich wdziękach i troskliwie je pielęgnują. Trudno zobaczyć góralską dziewczynę pracującą pod gołym niebem bez obwiązki<sup>255</sup>, która czoło i całą twarz zakrywa. Gdy patrzyłem na te twarze obwiązane, na te oczy błyszczące z obłoku płótna, stawały mi w myśli kobiety niektórych okolic wschodu, kryjące podobnym sposobem twarz swoją.

Góralki są śmiałe, przytomne, pracowite jak Górale. Są łagodniejsze od nich, a nawet zalotne. Obyczaje ich są dosyć łatwe. Nie można się temu dziwić, wzięwszy na uwagę wszystko, co usiłuje zepsuć ładną, a łatwowierną w swojej prostocie, wiejską kobietę. Nie im kamienowanie za to. Broni je tylko ich niewinność do czasu. Jeszcze nawet po utracie tej niewinności nie widzą szpetności zła, w które je wciągnięto. Może to i lepiej dla nich. Może to sprawia, że nierząd nie wydaje wśród ludu prostego tych skutków straszliwych, jakie nas przerażają w bardziej wykształconej warstwie społeczeństwa.

Bądź co bądź, kobiety góralskie odznaczają się wdziękiem łagodnym, który umiła nazbyt może twardy i surowy ogół oblicza tego ludu.

<sup>248</sup>wargula — przezwisko kobiety o pełnych ustach. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>grula (gw.) — określenie ziemniaka na Podhalu. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>przystosowanie — tu: prawdopodobnie chodzi o odniesienie piosenki do opisu tego, co faktycznie widział autor. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>płeć (daw.) — tu: cera. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>kibic (daw.) — talia. [przypis edytorski]

<sup>253</sup>galon — tu: naszywka ze złotej lub srebrnej taśmy. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>rąbek — tu: dawniej szal, welon, chustka. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>obwiązka (daw.) — opaska na głowę. [przypis edytorski]



## ODJAZD W TARNOWSKIE

Opuszczam góry na dni kilkanaście; ważna potrzeba odwołuje mnie w Tarnowskie. Korzystam z chwil ostatnich, przebiegam okolicę, napawam się życiem, które tu dopiero zaczyna się objawiać w swojej pełni. Nie tylko przyroda ożywa, ale lud występuje w życiu najpełniejszym, najmilszym, najrozmaitszym, właściwym jedynie temu krajowi. Bo oto nadeszła pora pasterstwa, kiedy Górale wychodzą z trzodami koczować w górach przez całe lato. Ruch ten już się rozpoczyna. Trudno — nie widząc — wyobrazić go sobie. Równie trudno na pierwszy rzut oka schwycić jego obraz bądź w ogóle, bądź w szczegółach. Dlatego nie śmiem jeszcze dotknąć go piórem. Zostawiam tę czynność na później, a dzisiaj tylko się nasycam, przenikam, tylko się w nim rozpatruję, tylko go zachowuję w pamięci, odciskam w moich myślach, aby w swoim czasie przedstawić jak najpełniej, jak najwierniej.

Jest to widok tak nowy, tak niezwykajny dla tego nawet, komu nie jest nowy, tak pełen ruchu, życia wszechstronnego, że go niepodobna schwycić wiernie w całości od razu, jak niepodobna zapamiętać od razu wielkie dzieło muzyczne. Muszę wprzód nauczyć się tego obrazu. Nie chciałbym dać jego kopii martwej i zimnej. Byłoby to jak nic nie dać.

## POWRÓT NA PODHALE

Powracam z Tarnowskiego. Znajduję dom w Łopusznej w żałobie: ojciec pani Tetmajerowej umarł. Opuścił dom, gdzie się urodził, gdzie przeżył lat osiemdziesiąt. Pustka w domu po człowieku, żal i smutek w pozostałych, a dokoła przyroda cała, życie ludu rozwija się i podnosi. Wszystko bardziej żyjące, miłsze, weselsze, jak w chwili, kiedy się stąd oddalał. Płynmy i my z tym oceanem w wieczność. Stratom chwilowym chwila żalu — i dalej w drogę. Kiedyś, gdzieś znajdziemy się wszyscy, a tymczasem zarabiamy na to, abyśmy się znaleźli w miejscu lepszym niż to, w którym się rozstajemy, w życiu, którego by żadna śmierć nie przerwała. Umiejmy korzystać z obecnej chwili, zasługujemy, aby ta chwila znalazła się na drodze nieśmiertelności pożądanej, błogosławionej. Ogólne życie świata naucza nas, daje nam przykład, idzie w swoich karmach, wypełnia swoje prawo, jest w każdej chwili, czym być powinno w ogóle stworzenia. Korzystajmy z widomego, wielkiego przykładu. Starsze dzieci, poprawiamy się na wzór młodszych, kiedyśmy mniej dobrzy, mniej posłuszni od nich, kiedyśmy stracili w nas samych nasze prawo, nasz ideał.

## NARZECZE PODHALAN. SŁOWNICZEK

Nieznacznie, mimowiednie wędrówka moja wzięła obrót niezgodny z w pierwszą myślą moją, a jednak logiczny. Główny początkowo mój przedmiot — Tatry — został podrzędnym, a miejsce jego zastąpił lud jego. Stało się to wskutek przeszkód niezależnych ode mnie — i nie żałę się na to, przeciwnie, znajduję, że przypadek był mędrzy niż moje postanowienie. To mi jednak daje do myślenia. Zdawałoby się, że Tatry były tylko rzuconą mi przynętą, aby mnie zwabić pomiędzy ten lud, abym, tak zwabiony, miał sposobność zawiązać z nim stosunek miłości, jak nieraz piękne ciała przyciągają wzajem ku sobie dwie osoby, aby między nimi zawiązał się stosunek ściślejszy, bardziej wewnętrzny; ciała wówczas są tylko narzędziami roboty tajemniczej. Podobnie i mnie postawiono wobec tego ludu, a zewnętrzność Tatrów posłużyła za narzędzie. Mnie się zdawało, że to powierzchowny urok ziemi, urok zmysłowy porywał mnie w te strony. Bynajmniej. Dziś poznaję, że to była władza przyciągająca człowieka, który je posiada, ducha ludzkiego, który je ożywia. Dziś myśl moja o Tatrach spokojniejsza, bez niecierpliwości czekam na chwilę bliższego poznania się, a cały pęd mój zwraca się ku ludowi. Między innymi zadaniem sobie pracę nad jego mową i zebrałem w tym przedmiocie kilka myśli, wpadłem na kilka uwag. Nie powinien on być nikomu obojętny. Naród odbija istotę swoją w swoim języku bardziej, niżby się zdawało. Wyobrażenie, choćby ogólne, o języku Górali może bardzo ułatwić głębsze ich poznanie. Moja praca jest prawie żadna. Niepodobna mi dokonać jej tak, jak czuję, jak bym pragnął. Jest to nic więcej jak próbka, jak zachęta dla innych, jak ziarneczko do przyszłej uprawy na tym polu, a daj Boże, przyszłego plonu!

Pisarze nasi szczególnie powinni by, w swoim własnym interesie, zająć się mocniej nauką tej rzeczy. Słownik góralski przedmiotów świata góralskiego jest, według mnie,

w naszym języku książkowym dosyć ubogi, nie zdąży w tym za innymi językami, posługiwać się musi nieraz nazwami obcymi albo określeniami opisowymi. Kto wie, czy byśmy go nie wzbogacili, gdybyśmy się lepiej zapoznali z mową Tatrzańców? Łatwo jest przypuścić, że lud zamieszkujący od wieków góry musi mieć swoją nazwę dla wszelkiego ich szczegółu. Ja sam trafiłem już na wyrazy zupełnie mi nieznanne, a nieraz byłem w ich potrzebie i musiałem łączyć mój niedostatek, jak mogłem. Umieszczam je w załączonym tu słowniczku.

Dwa plemiona góralskie gnieźdzą się na całej długości pasma najwyższych Karpat, przynajmniej na ich stoku północnym: Górale zwani ruskimi i drudzy zwani polskimi. Pierwsi mówią po rusku, drudzy mają narzecze właściwe sobie. Siedziba Górali ruskich rozciąga się od Bukowiny aż do sanockiego obwodu<sup>256</sup>, a nawet jasielskiego, gdzie w pewnej przestrzeni jest widoczna mieszanina dwóch języków. Ale od tego kresu reszta Karpat, aż do Morawy, zasiedlona jest już Góralami drugiego plemienia. Mowa, czyli narzecze jego, nie jest to język czysto polski, nie jest nawet zupełnie krakowski — mimo to spotykam w niej często wyrazy znane mi tylko z dzieł niektórych dawniejszych pisarzy, takich na przykład jak Rej<sup>257</sup>, Kochanowski<sup>258</sup> itp. Dlatego skłaniam się bardzo ku myśli, że Górale jedni zachowali może w największej czystości polską mowę z owych wieków, gdzie wszystkie języki słowiańskie, pilnując się więcej wspólnego swego źródła, mniej się między sobą różniły. Narzecze albowiem Podhalań, ściśle roztrząsnięte, wydaje się być tylko zlepkiem wielu języków, a głównie polskiego, morawskiego, słowackiego i ruskiego. Prawda, że go dotyczą wszystkie te ludy i sąsiedztwo mogło wpłynąć na mowę Górali, co po części uważam także za prawdę niezawodną, ale nie idzie za tym, żeby jaka mowa nie miała swego własnego korzenia, swojej posady odwiecznej, swojego tła rodzimego. I ma je niezawodnie. Taki lud jak góralski z natury swojego położenia niełatwo przyjmuje obce, jeszcze trudniej puszcza swoje. Ale dłuższe rozprawianie o tym nie jest moją rzeczą. Chcę tylko dać ogólne wyobrażenie obecnego narzecza Podhalań.

Słowniczek niżej umieszczony jest to próbka — powtarzam, bardzo mało znaczna — pokaże jednak niektóre odcienie tej mowy, niektóre jej żywioły. Dla mnie samego była ona nieraz asumptem do głębszego zastanowienia się nad kolejami tego ludu w jego byciu wiekowym. Nie zostało mi wprawdzie nic więcej stąd, jak domysły i przypuszczenia, ale je zachowałem w pamięci na przyszłość.

## SŁOWNICZEK JĘZYKA PODHALAŃ

*Hale* — Tatry, także pastwisko (hala). Najwłaściwiej jednak wyraz ten oznacza góry. U dawnych Sarmatów<sup>259</sup> góra zwała się także „ala”. Naród Alanów<sup>260</sup> wychodził spod Gór Kaukaskich<sup>261</sup>. Jest więc jakieś powinowactwo między wyrazem „Alanin” a wyrazem „Podhalańin”.

*Podhalańin* — Góral spod Tatrów.

*Podhale* — kraj leżący u podnóża Tatrów.

*Polana* — pole czyste wśród gór i lasów, gdzie się trzody latem wypasają.

*Groń* — wierzch.

*Gronik* — wierzchołek. Podobieństwo z polskim „granie”, zachowanym w wyrazach czworogran, sześciogran, ośmiogranny itd.

*Turnia* — skała naga, stroma. Znalazłem ten wyraz w jednym najdawniejszym, starosłowiańskim przekładzie psalmów, użyty w znaczeniu wyrazu „kolumna”.

*Uplaz* — równina między skałami.

*Drapa* — stromy, przykry bok góry, także rozdół, wąwóz skalisty, parów.

*Skala* — wszelki gład, kamień.

<sup>256</sup> *Sanok* — obecnie miasto powiatowe w województwie podkarpackim. [przypis edytorski]

<sup>257</sup> *Rej, Mikołaj* (1505–1569) — polski poeta, tłumacz i prozaik renesansowy. [przypis edytorski]

<sup>258</sup> *Kochanowski, Jan* (1530–1584) — polski poeta i tłumacz epoki renesansu. [przypis edytorski]

<sup>259</sup> *Sarmaci* — nazwa irańskich ludów koczowniczo-pasterskich, spokrewnionych ze Scytami. [przypis edytorski]

<sup>260</sup> *Alanowie* — lud irański, spokrewniony ze Scytami i Sarmatami. [przypis edytorski]

<sup>261</sup> *Góry Kaukaskie* a. *Kaukaz* — łańcuch górski na pograniczu pld.-wsch. Europy i pld.-zach. Azji. [przypis edytorski]

*Borowaczna* — miejsce bagniste w górach, zarosłe mchem i kosodrzewiną, a niebezpieczne stąd, że przebiwszy tę powłokę można utonąć w bagnie, które jest pod nią.

*Młaka* — bagno.

*Łaz* — miejsce wypalone z zarośli na pole.

*Hotar* — pastwisko.

*Otawa* — potraw<sup>262</sup>, łąka skoszona.

*Jubas* — pasterz chodzący około trzody przez czas letniego jej przebywania w górach.

*Baca* — naczelnik pewnego oddziału juhasów. U Szwajcarów *batz* oznacza monetę miedzianą.

*Bacówka* — chatka pasterska w górach (także „szałas” albo „koliba”).

*Szałas* — szwajcarskie „chalet”<sup>263</sup>.

*Koliba* — u Czerkiesów<sup>264</sup> „kaliba” (pokolenie, to samo, co u Szkotów „klan”).

*Gruby statek* — bydło rogate.

*Drobny statek* — nierogaczna.

*Strzyżka* — owca.

*Jarka* — owca jałówka.

*Wetula* — koza jałówka.

*Zywina* — wszelkie bydło.

*Kierdel* — stado, np. owiec.

*Hatiar* — zrzebiec<sup>265</sup>.

*Żętyca* — warzonka wszelkiego rodzaju mleka.

*Gieleta* — wiaderko do dojenia.

*Watra* — ognisko w polu. Wyraz znany na Ukrainie i znaczący ogień w piecu.

*Plekać, wyplekać* — odessać, odcykać mleko.

*Jedla* — jodła.

*Smerek* — świerk.

*Swierk* — modrzew.

*Limba* — rodzaj cedru w górach.

*Sucharz* — sterczące przy drzewie reszty uciętych gałęzi.

*Rąbanica, cieślica* — siekiera zwyczajna.

*Ciupaga, wataszka* — mała siekierka, toporek osadzony na rękojeści mniej lub więcej długiej albo na lasce; rodzaj broni góralskiej. Zowią ją także „watlorz”.

*Zboże* — owies.

*Jarzec* — jęczmień.

*Karpiel* — brukiew.

*Grula* — ziemniak, kartofel.

*Moskal* — placek owsiany.

*Gadzina* — domowe ptactwo, drób.

*Gacek* — nietoperz.

*Gazda* — gospodarz, kmiść.

*Hawiarz* — górnik.

*Bania* — kopalnia, ruda żelazna.

*Pachotek* — zbójca.

*Niewiasta* — synowa; ruskie „newistka”.

*Frairka* — kochanka (zdaje się od niemieckiego wyrazu „Fräulein” — panienka).

*Kopiniak* — płaszcz; wyraz perski oznaczający niemal to samo.

*Gajdy* — spodnie, hajdawery.

*Łagiew* — baryłka.

*Palenka* — gorzałka.

*Zagłówek* — poduszka.

*Piparek* — cybuch<sup>266</sup>.

*Godziny* — zegar.

<sup>262</sup>potraw (daw.) — trawa, odrastająca po skoszeniu. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>chalet (fr.) — domek, chatka w górach. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>Czerkiesi — grupa etniczna z pln.-zach. Kaukazu. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>zrzebiec (daw.) — źrebak. [przypis edytorski]

<sup>266</sup>cybuch — element fajki. [przypis edytorski]

*Murań* — ma to być każde miasto murowane, a raczej miasto grodowe.

*Bursa* — zabawa składkowa w zapusty.

*Gwara, hwara* — mowa, język.

*Hasen* — zysk.

*Tydzień* — tydzień, ale w dopełniaczu „tyżnia”.

*Chodnik* — ścieżka po nagich górach.

*Pyrć* — ścieżka w górach między zaroślami.

*Chodza, czesta* — droga.

*Frubaniec, furmaniec* — gościniec bity.

*Cierpiatka* — krzyż, figura przydrożna.

*Zły raz* — szubienica.

*Cyntyrz* — cmentarz.

*Jaz* — tama wodna.

*Strysz* — kra drobna.

*Kurniawa, fujawica* — zamieć zimowa.

*Srężoga* — mgła na pogodę.

*Ciekawy* — złodziej.

*Zdatny* — oszust.

*Swaty* — święty.

*Śwarny* — dzielny, tęgi.

*Podufały* — zuchwały.

*Chytry, wartki, fryszki* — rączy, prędkie.

*Niżni* — niższy.

*Wyżni* — wyższy.

*Hasnować* — zyskiwać.

*Pytać* — prosić, żądać.

*Banować* — żałować, trapić się.

*Naprać* — nałożyć, napakować.

*Zahubić* — zapomnieć.

*Zbesnieć* — zepsieć się, wściec się.

*Chodzić na fraj* — chodzić w zaloty.

*Redykać się* — szybko iść.

*Strybać* — pić co gęstego, chleptać.

*Hladzić* — upatrywać, spozierać (ruskie).

*Ciarac* — mieniać.

*Ciarach* — nienawistne nazwanie szlachcica u ludu krakowskiego.

*Miesiucać się* — śpieszyć się.

*Dawać poziór* — dawać baczość.

*Niepeć* — niełatwo.

*Drzewiej* — pierwej, dawniej.

*Dawniej* — prędzej.

*Dosiela, dotela* — dotąd.

*Sucy* — przystoi, należy co do czego.

*Ślebodno* — wolno.

*Kirkak* — na plecach (nieść).

*Haj* — tak jest.

*Bie, zie* — odpowiada czasem mazurskiemu „dyć”; niekiedy polskiemu „ba!”.

Ażebym dał dokładniejsze jeszcze wyobrażenie o mowie Podhalan, wypiszę tu niektóre sposoby ich mówienia. Są to wyjątki z jednego wiersza, który jest niewątpliwie napisany przez poetę-Górala. Cały wiersz nie zasługuje na umieszczenie — jest ciekawy tylko dla niektórych miejsc, malujących duch języka i duch Górala.

We wszystkich tych wyjątkach jest to Góral, który mówi.

Skądżeście wy, panasku? O co się pytacie?  
Słówka wam nie rozumię, kiepską hwarę macie!

Lud, Poezja

\*

My tu Lachem zowiemy zakrakovskich ludzi.  
Bo tam suknie z wielkimi nosą kołnizami.  
My tu zaś po góralsku, jak widzicie sami.

\*

Bie! Kej jesce, panasku, mam iść dobrą miłę.

\*

Juzek się tu i zestazał, jak widzicie sami.  
Nie slyszałek, zeby kto tak robił..  
Ty ta sobie wywodzis jakies worensyje

\*

Jesce-byś mnie i stysłał, dieboł ci w maciezy.  
Miałbyś-ci mnie w łeb stselić, wpsód ja cię zastsełę,  
Tylko się s mym na tobie wachlazem ośmielę.  
Znaj ze wachlaz góralski — tsysta w garle stoi: —  
Rozumiałeś, ze się cię lada Góral boi. —  
Dieboł wie, na co się was tu skidało tak wiele;  
Takeście tu potsebni, jako psi w kościele.  
Nie będzies mi się włócył, ty Lutse Marcinie,  
Zabiję ja cię, nie trwam (nie dbam) na twoje pytanie (prośbę),  
Widzis takie góralskie jest pozałowanie.  
Abyścić nie uciecył, mógłbyś-ci mię zdradzić,  
Wytnę cię w łeb wachlazem, wolę ja cię zgładzić.  
Kieby nie tak, jak ongi padło w Bujakowie,  
Co się chłopci natłukli takiego po głowie,  
A nie mogli go zabić, az wzięli na Sołę,  
A on jesce wypłynął w chwilę, pod stodołę.  
A ze chłopci musieli brnąć w Sołę do niego,  
Ledwie i tam stłumili bestyję takiego.  
Takie to te psy twarde, jak wąż, do zabicia,  
Napapęzys się dobrze, nim pozbędzie zycia.  
Ale ja go zabiłek, mam w Bogu nadzieję.

\*

O tak! Niech znają, ześmy chłopcy swarni,  
Chociaż wychowani w lasowej owcarni!

Wszystkie te próbki powyższe, jakkolwiek nieliczne, są wyjęte wiernie z ogółu podhalańskiego narzecza — powinny więc dać o nim pewne wyobrażenie.

W dopełnieniu ich to jeszcze powinienem powiedzieć:

Odgarnąwszy na bok z narzecza podhalańskiego niektóre obce mu naleciałości, znajdziemy w końcu tło główne, jemu tylko właściwe, odwiecznie rodzinne. Jest to jedno

z narzeczy języka polskiego, takie jak mazurskie, śląskie itd. Gałąź, więcej niż z pnia polskiego, bo z tego samego korzenia, co i główny pień polski. Były czasy ich zupełnej jedności, rozdzieliły się później. Dzisiejszy pień polski, silniejszy życiem, strzelił w najwłaściwszym kierunku i rozrósł się w drzewo główne, inne zostały tylko odroślami bratnimi. Cała budowa języka Podhalan, duch jego, członki pojedyncze, wiązanie ich — wszystko w nim pokazuje brata języka polskiego, brata-bliźniaka. Przyczyna niektórych różnic w tym głównie, że pozostał ciągle językiem ludu nielicznego, zacienionego, oddzielonego i położeniem swoim, i sferą tak swoich potrzeb, jak dążeń, od prądu głównego.

Mowa Podhalan najwięcej się zbliża do krakowskiej — to samo mazurzenie wyrazów przez wyrzucnięcie głoski „z”, przez zamienienie litery „a” na „o”, szczególnie przed „n”, jak na przykład: „pan” — „pon”.

Jest mu właściwe, i to świadczy o duchu starym tego języka, kończenie pierwszej osoby pojedynczej przez „k” w miejsce naszego „m”; na przykład „mialek” zamiast „miałem”.

W wielu razach Podhalanin przerabia tylko swoim krojem wyrazy polskie przez zamianę jednej głoski na inną, w której ma większe upodobanie, jako to: „g” na „b”, na przykład: „gwara” — „bwara”, „l” albo „w” na „l”: na przykład: „jodła” — „jedła”; „swobodno” — „ślebodno”. Tak zamienia: „ę” na „u”, a w wyrazach pieszczących: „e” na „i”, na przykład: „Janeczku” — „Janiczku”, „czapeczkę” — „czapiczku”.

Napomykam tylko o każdym szczególe, nie zamierzałem pisać rozprawy uczonej. Kończę na tym, że język ten brzmi przyjemnie w ustach dobrze mówiącego, wybitny jest we wszystkich odcieniach — bądź łagodnych, bądź ostrych — i nagina się do wszystkich. Ale trzeba się z nim oswoić, aby wszystko łatwo schwycić w rozmowie z Górale, zwłaszcza że mowa ich jest raczej szybka niż powolna.

## PASTERSTWO W TATRACH. PIEŚNI PASTERSKIE

Górale są ludem pół-rolniczym, pół-pasterskim, bardziej pasterskim jak rolniczym, a może nawet głównie pasterskim. Wielce się przez to wyjaśnia zagadka jego charakteru, odskakiwanie niekiedy od ducha słowiańskiego. Góral jest Słowianinem przez miłość namiętną swojej ziemi, którą praca rolnicza około niej bardzo zasila i rozwija. Stąd w nim przymioty słowiańskie, cnoty słowiańskie, dzieci tej miłości. Można więc powiedzieć, że Góral jest Słowianinem przez rolnictwo, a pasterstwo zbliża go do ludów pasterskich na wschodzie. Przypatrzmy się dobrze Góralom z tej strony, a znajdziemy dziwne zbliżenie pomiędzy nimi a pasterskimi plemionami na przykład Arabów — zbliżenie w charakterze, w przymiotach, a zarazem w złych skłonnościach. Już to dawno spostrzeżono, że jest coś w pasterstwie, co zaszczenia w człowieku pewien rodzaj energii dzikiej. Tę energią mają Arabowie, którzy są jedynie pasterzami, tę energią mają i nasi Górale i w tym zostawiają powolnych Słowian za sobą.

Ale w tej chwili patrzę na pasterstwo Górali z innej strony, zachowuję więc ideę powyższą na później, a wracam do przedmiotu właściwego.

Góral jest głównie pasterzem. To jest podstawowe utrzymanie jego życia, zasadniczy wdzięk jego życia, to jego praca najgłówniejsza, to dla niego najmilsze i najwdzięczniejsze pole pracy.

Trzeba go widzieć, trzeba widzieć jego życie, jego góry w porze pasterskiej. W rzeczy samej jest co oglądać. Ale wtedy pomijaj wioski i chaty, idź w góry, wspinaj się po nich, szukaj miejsc najstronniejszych, wystawiaj się na upał, nie dosypiaj nawet nocy, bo tylko tam i takim sposobem zobaczysz Górala w jego żywiole, pokochasz wdzięk jego życia. Tak ja robię od mojego tu powrotu spod Tarnowa. Wynagradzam sobie czas stracony i mogę powiedzieć, że w części wynagrodziłem. Co przez ten czas uzbierałem, tego w całości słowa nie oddadzą. Podzielę się tym, czym się podzielić mogę.

Pasterstwo w Tatrach ma swoją organizacją — kilka więc słów o niej.

Dłuższa zima w Tatrach niż w górach niższych, jałowość Tatrów, a nawet w porze płodniejszej rzadkość pastwisk, czyli polan, zmuszają największą część Podhalan do szukania swojemu dobytкови pożywienia letniego w bardziej oddalonych miejscach, na przedgórzach. Jest to konieczne dla handlu nabiałem, a mianowicie serami, który jest najważniejszy dla Górali. W tym celu każda wieś ma kilku lub kilkunastu gospodarzy porządniejszych, przedsiębiorców niejako, trudniących się przez lato wyłącznie tym prze-

mysłem. Jednemu więc z nich, na mocy pewnych układów, pewna liczba mieszkańców powierza swoje bydło. Jego już jest powinnością wyżywić trzodę, zebrać nabiał, zrobić sery itd. Taki naczelny pasterz zowie się bacia. Ma on do pomocy w tym gospodarstwie kilku lub kilkunastu pasterzy od niego zależnych, poddanych jego kierunkowi, którzy się zowią juhasami. Jest to zazwyczaj najdorodniejsza młodzież. Ich obowiązkiem jest paść powierzoną im trzodę, pilnować jej, opatrywać ją, doić krowy, owce i kozy, warzyć żętycę, robić masło, sery itp. pod kierunkiem bacy, który jest naczelnym wodzem juhasów i trzody, a pełnomocnikiem odpowiedzialnym przed właścicielami powierzonego mu dobytku. Bacia też zawiera umowy o polany bądź z właścicielem jakiejś wsi, bądź z gromadą<sup>267</sup>. Osnowa umowy jest zwykle ta, że mu wolno, jeżeli ma do czynienia z gromadą, wypasać swoją trzodę na wszystkich polach, łąkach i lasach w obrębie tej wsi, a na całej własności prywatnej, jeżeli ma do czynienia z pojedynczym właścicielem. Zresztą różne są rodzaje tych umów, stosownie do obopólnego przyzwolenia obu stron. Właściciel ma prawo oznaczać miejsca na koszary, czyli nocne stanowiska trzody, według tego, jak chce sobie użyźnić pewne miejsce nawozem trzody. Stosunek jest często kilkunasto- a nawet kilkudziesięcioletni, dlatego pośrodku podobnych wypasów stoi porządna drewniana budowla. Służy ona bacy za dom, a juhasom za przytułek; tam nadto składa się wszelkie naczynia pasterskie, robi się i przechowuje nabiał. Jest to zarazem mieszkanie, fabryka, magazyn, a nawet sklep handlowy. Budynek ten zowie się bacówka, czasem szałas albo koliba. Jest on zwykle porządnym, z dobrego i gładko obrobionego drzewa — jak wszystkie budowle Górali — o jednej lub dwu izbach, o jednych drzwiach, okien nie ma prawie żadnych. Pośrodku bacówki leży wielki kamień, na którym roznieca się ognisko, pod ścianami łóżka z mchu i paproci. Naczynia do nabiału lub z nabiałem są rozmieszczone na półkach lub rozwieszane na ścianach.

Życie zwyczajne pasterzy podczas letniego koczowania jest bardzo skromne. Całym ich pokarmem chleb i nabiał, a głównie żętyca, czyli zwarzona mieszanina mleka wszelkiego rodzaju. Jest to rodzaj serwatki, tylko bez porównania smaczniejszej, gęstszej i bardziej posilnej. Własność jej, lecząca z osłabienia ciała przez wycieńczenie, znana jest sąsiadom Karpat. Z początku powoduje rozwolnienie żołądka, ale po dniach kilku zaczyna wzmacniać i tuczyć. Psy pasterskie nie znają także innego pokarmu, tylko żętycę, i mają się jak najlepiej.

Niekiedy, wyjątkowo, wyprawiają sobie juhasy pasterskie uczty. Dzień to zwykle świąteczny, a pora nocna, kiedy trzoda odpoczywa już zamknięta w koszarach. Wówczas dopiero jest na stole i mięso, wódka krąży w kieliszkach, wówczas przy śpiewach i muzyce ma też miejsce i taniec. A jak ta zabawa jest prawdziwą zabawą, można to pojąć, przeniósłszy się myślą w kraj równie piękny, pod niebo równie wypogodzone, w dusze równie swobodne.

Życie to pasterskie rozpoczyna się powszechnie w pierwszych dniach czerwca, a zamyka się z początkiem września. Przez cały ten czas Podhale przedstawia widoki nieznanne krajom równym, o których nie można mieć prawdziwego wyobrażenia, nie dotknąwszy ich własnymi zmysłami.

Ile tylko roślinne państwo ma płodności pod tchnieniem wiosny, ile tylko życia i uroku może mieć pasterstwo — wszystko to w owych trzech miesiącach zalewa tę okolicę.

Wiosna pełna objawia się tu właściwie dopiero w końcu maja, za to od razu pełniej niż gdziekolwiek indziej. Roślinność, przytłumiona długim zimmem, rozwija się w dwójnasób szybciej i bujniej. Zaledwie można spostrzec jej przejście z martwoty do pełnego życia. Cała okolica wychodzi od razu w swoim stroju świątecznym, wiosennym, jak kobieta ze swojej gotowalni<sup>268</sup> — uderza cię tym mocniej, że nie musiałeś być świadkiem jej ubierania się.

W owych to dniach ostatnich maja rozpoczyna się pasterska wędrówka Górali i rozlewa się z głębi Tatrów na kraj okoliczny. Ruch ten prześliczny podnosi jeszcze bardziej młode życie przyrody. Miałem radość być jego świadkiem, a z miejsca nieraz takiego, żem go ogarniał spojrzeniem w części jego najważniejszej.

<sup>267</sup> *gromada* — tu: historyczna jednostka podziału administracyjnego w Polsce. [przypis edytorski]

<sup>268</sup> *gotowalnia* (daw.) — przymierzalnia, garderoba. [przypis edytorski]

Jedzenie, Zabawa, Uczta

Wiosna

Widzisz naprzód, jak w oddaleniu, z ciemnej głębi Tatrów wysuwają się ciemne karawany, nierozpoznane jeszcze, powoli zbliżają się ku tobie, coraz wyraźniejsze, coraz ogromniejsze, wkrótce skupiają się wszystkie w dolinie, zalewają jej przestrzeń, przesuwają się po niej. Zaczynasz rozróżniać w tym tłumie ludzi, konie, bydło wszelkiego rodzaju, wozy naładowane różnymi sprzętami. Po pewnym czasie tłum ten zaczyna się rozdzielać na różne drogi, w różnych kierunkach. Każdy oddział zmierza ku przedgórzom, dopóki wszystkie nie znikną w setnych wąwozach. Ale za to jutro widzisz już wszystkie góry, lasy, polany zaludnione trzodami, słyszysz ze wszystkich stron dzwonki zawieszono u szyi bydła. Zewsząd uderza cię granie fletów i skrzypiec, ze wszystkich szczytów rozlega się śpiew pasterzy i pasterek, a dzikie skały odpowiadają ich hukaniu.

W tej to porze trzeba poznać góry, a kto je tak pozna, temu trudno nie pokochać ich i później nie tęsknić za nimi. Tak ja przynajmniej sędzę z tego, czego sam doznaję.

Życie takie nie ustaje razem z dniem, długo przeciąga się w noc. Tej chwili szczególnie pilnuję i wtedy dopiero upojenie jest zupełne. Obieram sobie zazwyczaj miejsce dalekie od wsi, ustronne, wyniesione, półosłonięte drzewami i czekam, aż ucichnie gwar dziennej muzyki, ryk i dzwonki pasącego się bydła, aż zapanuje cisza nocy i okolicy. Wtedy rozpoczyna się muzyka nocna, odpowiedniejsza temu, jeżeli bydło ryknie zabłąkane i słyszysz w głosie jego trwogę, co zasiadła w dzikich miejscach; jeżeli śpiew się odezwie, to czujesz w nim serce, które szuka drugiego serca, a wśród tego stąd i zowąd wyrwa się huknięcie pasterki ostre, długie — obija się o skały, oblatuje echem całą okolicę i ginie gdzieś w przepaści oddalenia.

Wtedy to roztacza się wkoło mnie żywym przypomnieniem noc ukraińska ze swoimi ulyciami<sup>269</sup>, ze swoimi śpiewami. Tyle bowiem jest podobieństwa w śpiewie, szczególnie Góralek, w długim jego przeciąganiu, do śpiewu naszych dziewczek, ukraińskiego, tęsknego, wlokącego swój smutek w jakąś nieskończoność, zatrzymującego się na pewnych tonach, jak gdyby serce przysłuchiwało się samo sobie, i po chwili niknącego w nieschwyczonej nieskończoności. Nie ma tego uroku śpiew góralski; jest mniej rzewności, mniej słodyczy w jego dźwięku, ale bardzo go przypomina.

Jako próbkę tej muzyki i poezji umieszczam niektóre ich śpiewy. Może one przeniosą, chociaż jako tako, wyobraźnię czytającego w tę chwilę, która mnie tak upaja.

### I

Juhasy, juhasy, coście owce paśli,  
Zgubiłam wianeczek, wyście mi go naśli.  
Juhasy, juhasy, dyć się Boga bójcie,  
Zgubiłam wianeczek, dyć mi go powróćcie.  
Zgubiłam wianeczek w zielonej ubocy,  
Ten mi go powróci, co ma carne ocy,  
Dyć-em się taiła, taić się nie będę,  
Gotuj kołyseckę, ja pieluski będę;  
Gotuj kołyseckę z dzewa limbowego,  
A ja pielusecki z rąbka bielonego.

### II

Idzie woda, idzie, z daleka się sieje.  
Idzie mój Janicek, z daleka się śmieje.  
— Idzie woda, idzie, drobny piasek niesie,  
Cekaj mię, frairko, w smerckowanym lesie.  
— W potoku za laskiem siwe konie piją,  
Nie chodź tam, Janicku, bo cię tam zabiją.  
Bodajże ta woda, bodajże zmalą,  
Co bym Cię, Janicku, pierwszej uwidziała.

### III

Hej! tęskno mi, tęskno, sama nie wiem, cego,

<sup>269</sup>ulycia — letnie, nocne spotkania młodzieży wiejskiej na Ukrainie. [przypis edytorski]



Bez mego Janicka, dalekom od niego,  
Boli mię główecka, serduska nie cuję;  
Hej! nikt tego nie wie, za kim ja banuję.  
Bodaj ten cłek nie zył, bodaj nie wiekował,  
Co on to kochanie na świecie fundował.  
— Nie płac, frairecko, otsyj sobie ocka,  
Psyde ja do ciebie, jak się ściemnie nocka.

#### IV

Bodaj cię Bóg skarał, bodajes skamieniał,  
Jak będzies, Janicku, ode mnie uciekał.  
— Widziałaś ty, dziwce, ten kamień nad wodą.  
Hej! Jak on popłynie, ozenie się s tobą.  
— Widziałeś ty kiedy, zeby kamień pływał?  
Cemuś się zalecał, kiejć się zenić nie miał?  
Leciały gołębie, w źródle wodę piły,  
Bodaj cię, Janicku, moje łzy zabiły.

#### V

Bodaj ty, dziewcyno, maliniaku zjadła,  
Coś ty Janickowi do serduska wpadła.  
Chyba cię, dziewcyno, diabli malowali,  
Co do twoich licek taką krasę dali.  
— Ej! Dyc mnie malował sam Pan Jezus z nieba,  
Bo do moich licek takiej krasy tseba.

#### VI

Hej! Ładnaś, dziewcyno, ładnaś i do smaku,  
Nie zal mi póc z tobą z hory taj do światu.  
Ja pódę po wirsku, ty pódzies doliną,  
Jak się nie zendziemy, to se wezmę inną.

#### VII

Werbują, werbują i na siłę biorą;  
Hej! Nase frairki, gdzie się nam podzieją?  
Hej! Trawka zielona, kto ją będzie kosić?  
Jak pódę na wojnę, budę sablę nosić.  
Włosy moje, włosy, moje carne włosy,  
Nie będą otsąsać spopod buków rosy,  
Bodaj ten Nowy Sąc pioruni rozbili,  
Zeby nam tam bezeń chłopców nie gonili.  
Bodaj ten Nowy Sąc pioruni stsaskali,  
Zeby nam do niego chłopców nie bierali.  
Nowy Sąc, Nowy Sąc, hej! Okrągłe miasto:  
Do niego syroko, ale z niego ciasno.

Reszta są to albo ułamki śpiewów większych, albo śpiewki w duchu krakowiaków.

Hej! Syckoś ty mnie, mój Janicku, budził,  
Pókis wianecka u mnie nie wyludził.  
Wzięłaś wianeczek, weźze i mnie samę,  
Bo bez wianecka sierotą zostanę.

\*

Nie było mnie w doma, byłem za górami;  
Moja frairecka posła z zbójnikami.  
Albo się zwerbuję, albo pódę na zbój,  
Już ci ja, frairko, nigdy nie budę twój.

\*

Leciały gołębie, leciała ich para,  
Kiedy ja cię kocham, to drugiemu wara.

\*

Zasię, chłopcy, zasię,  
Kupiłem se Kasię;  
Dałem krajcar za nią,  
Nie patscie mi na nią.

\*

Choćbyś mnie ty, matko, w sksyni zamykała,  
To mię nie upatsyc, kiej ja będę chciała.

\*

W moim ogródecku majeronek bujny,  
Niech do mnie nie chodzi, tylko zbójnik sumny.

\*

Cemu ty, dziewczyno, nie chces na mnie patsyc,  
Jak ja cię nie wemzę, nie weźmie cię ślachcic.

Dziwczęta, dziwczęta, cobyście wiedziały,  
Co to za zaraza ten parobek stary.

\*

Wysoki zamecek.  
Wziąłeś mi wianeczek.  
— Wyzsa jesce skała,  
Samaś mi go dała.

\*

Ku potoku wartko idę,  
Carny gawron wodę pije.  
Pije, pije, pokrakuje,  
Moja miła popłakuje.

\*

Ja bym orał, ja bym siał,  
Ja bym ciebie, dziwcę, chciał;  
Kiejby mi cię chcieli dać,  
Umiałbym cię sanować.

\*

Hej! Nie ma to, jak juhasom,  
Nic nie robią, tylko pasą;  
Na groniki wybiegają,  
Za stszkami pozierają.

\*

Hej nie mas to, nie mas, jako pod halami,  
Naucą cię śpiewać dziwki za owcami.

\*

Choć ja pod halami, nie chcę Podhalana,  
Zdarłabym se nogi po same kolana.

\*

Dyc to pod halami syćko dobrze rodzi:  
Owiesek posiejjes, żytko się urodzi.

\*

Podhalskie dziwecki,  
Hej! Jako sarnecki,  
A z dołów wargule,  
Tylko skrobać grule.

Niektóre z wierszy umieszczonych powyżej mogą być całością skończoną na kształt krakowiaków, o innych mam przekonanie, że są urywkami należącymi do pieśni większych. Umieszczam je w nadziei, że ich całość później się odszuka. Jestem za tym, aby na polu poezji gminnej zbierać i składać jak najstaranniej wszystko, cokolwiek się nastroczy. Dokonać wyboru między nimi w tej chwili, w tym stanie, w jakim je dziś mamy, byłoby niewłaściwe i szkodliwe — bo ich wartość pokaże się dopiero obok ich całości, a dziś wszystkie prawie zasługiwałyby na odrzucenie. Lepiej zachować je, jak są, i starać się o więcej.

## MUZYKA I TANIEC GÓRALI

Muzyka, Taniec

Obraz Podhalan w ogólności, a w szczególności ich pasterstwa, nie byłby zupełny, gdybym nie powiedział czegoś o ich muzyce i tańcu. Muzyka i taniec są w ich życiu, są w chwilach pełnych uczucia, ruchu i wdzięku — są więc ważną częścią tego obrazu życia, nieobojętnym rysem jego oblicza dwustronnego: wewnętrznego i zewnętrznego.

Instrumentami muzycznymi najpowszechniejszymi między Góralami są: skrzypce, gęśl<sup>270</sup>, bas<sup>271</sup>, lira, czyli kobza<sup>272</sup>, i dudy, to jest dwie piszczałki oprawione w miech z koziej skóry. Ale popularne są także flety, piszczałki, fujarki i dudki rozmaitego rodzaju, na koniec trąby pasterskie, czyli ligawki<sup>273</sup>.

Skrzypce, basetla, gęśl stanowią muzykę więcej domową, konieczną, gdzie są tańce; można jednak czasem usłyszeć skrzypce i gęśl w głębi gór najustronniejszych. Kobza i dudy są najczęściej instrumentami śpiewaków żebrzących, muzyków błędnych. Najulubieńsze juhasom i górom są ligawki i cała rodzina piszczalek. Ligawka służy juhasowi głównie do porozumienia się z trzodą — jej to głos wyprowadza trzodę na pastwisko, skupia ją, ilekroć się zanadto rozproszy, i na nocleg do koszar zwołuje. Ligawka jest to drewniana trąba, długa do dwóch łokci, niekiedy więcej. Głos jej, donośny i dziki, przypada tylko do gór i lasów, wydaje się, jak gdyby z ich piersi był wydobyty, i dziwne robi wrażenie, a nawet bardzo miłe, kiedy się rozlegnie po gęszy lasów i dolin, kiedy się łamie na skalistych szczytach i ścianach.

Milsze są od niej piszczałki o łagodniejszym dźwięku. Są one rozmaitego kształtu. Zajął mnie szczególnie jeden rodzaj — jest to flet otwarty z obu końców i ma tylko dwie dziurki dla dwóch palców, mimo to ma głos dziwnie miły i rozmaity. Wygrywano na nim jak najdokładniej wszelki śpiew góralski.

Co się tyczy ich muzyki, skala jej nie jest rozległa. Śpiewy ich są posępne, wysilone, przeciągłe, wyobrażają niejako hukanie z jego pogłosem po górach. Jest w nich pewna jednotonność, dlatego uczenie się ich jest trudne. Udało mi się jeden zrozumieć i zdaje mi się, że już wszystkie umiem. Mimo to, słyszane między górami nie tylko że nie rażą, że nie męczą, przeciwnie — ożywiają, porywają, zachwycają.

Śpiew

Równie trudno dać wyobrażenie o tańcu góralskim. W niektórych częściach przypomina on taniec Rusinów, ale ma jedną figurę właściwą tylko Góralom, kiedy Góral, zamknięty krążącym kołem taneczników, wyczynia na środku rozmaite skoki, a zarazem ciska raz po raz siekierką w górę i chwyta ją w powietrzu ze zręcznością zadziwiającą. Nadaje to jakiś męski charakter tańcowi, przypomina wojenne tańce starożytnych.

Taniec

Muzyka tańca jest całkiem oryginalna, niepodobna do żadnej muzyki tego rodzaju. Jest niby jednotonna, ale tak różnaita, tak jakoś nieskończona, tak dzika w swoim tonowaniu, że mieszkający nawet od dawna między Góralami wygrać jej nie mogą. I rzadko trafia się ktoś, kto by tego w zupełności dokazał.

Nieraz, słuchając muzyki prostego ludu, żałowałem mocno, że nie będąc sam muzykiem, nie jestem zdolny zająć się zebraniem tych melodii, a zarazem pragnąłem, aby się znaleźli tacy, którzy by temu zatrudnieniu poświęcili część swoich trudów i zdolności. Oddaliby przez to wielką przysługę, mianowicie poetom i muzykom. Nieocenione skarby uczucia i prawdziwej sztuki leżą w muzyce naszego ludu. Nigdzie też może wielostronny jego charakter ogólny nie maluje się wybitniej w odcieniach swoich. Każda nasza okolica ma w swoich melodiach właściwe sobie piętno. Inny jest śpiew Litwina, inny Ukraińca, inny Mazura, inny Górala; inna skoczność kołomyjki, a inna kozaka lub krakowiaka. Smutek głębszy, melancholia niewysłowiona, lubo znajduje się na dnie śpiewu wszystkich prawie okolic, ale jak różnaita, jak malująca oblicze swojej ziemi i serce swoich mieszkańców. Widzisz w muzyce dumki ukraińskiej pola Ukrainy nieobejrzane, tęskne, a coś w nich głęboko rozrzewniającego. Widzisz w śpiewie Litwina, jednotonnym, dzikim, puszcze szumiące wiecznym wiatrem, rozlegające się rykiem dzikich zwierząt. Widzisz również w muzyce Górala jego góry ludne echami, życiem trzód, tchnące całą swobodą nieugłaskaną przyrody i mieszkańca.

<sup>270</sup>gęśl a. gęśle — ludowy instrument smyczkowy. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>bas a. basetla — instrument smyczkowy o niskiej skali tonów. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>kobza a. dudy góralskie — strunowy instrument ludowy. [przypis edytorski]

<sup>273</sup>ligawka — ludowy muzyczny instrument dęty. [przypis edytorski]

Muzyka ludu jest jednym z najzdrowszych źródeł naszej muzyki sztucznej, a muzyka ludów słowiańskich jest może pod tym względem najwyższa. Wiadomo, że geniusz Mozarta<sup>274</sup> niemal się zasilł melodiami słowiańskimi, przesiąkł nawet nimi — stąd ten urok dzieł jego, który mu daje taką wyższość nad największymi nowoczesnymi mistrzami.

Pan Wacław z Oleska<sup>275</sup> dał dobry przykład, umieszczając niektóre melodie w swoim zbiorze pieśni galicyjskich<sup>276</sup>, ale jest to dopiero próbka, bardzo mała w porównaniu z tym, co zostaje do zrobienia. Miejmy nadzieję, że się znajdą gorliwi i na tej drodze. Jedną tylko obawą powinna towarzyszyć tej pracy, to jest, aby zachować w tych melodiach charakter ich ludowy nietknięty. Sztuka nasza, zarażona martwością konwencjonalności, jest tak nieszczęśliwa, że wszystko, czego się dotknie, traci natychmiast swoją, że tak powiem, dziewiczość duchową, którą miało w życiu swoim wśród ludu, w piersiach ludu. Jest to niby to samo, a czujesz, że nie to samo — jak kobieta, którą znałeś niewinną, i widzisz po utracie niewinności. Sztuka nasza odbiera powszechnie tę niewinność utworom gminnym. Widzieliśmy to już nieraz w pieśniach ludu wygładzonych niby przez sztukę. Nie życzylibyśmy podobnego losu muzyce jego.

Muzyka, Lud, Sztuka

## NA SKALE TURNISKA. GÓRY JAKO POLE DLA POEZJI

Lubię bardzo te skały. Odróżniają one tę górę od wszystkich okolicznych, nadają jej pewną dzikość. Drzewa, rozsypane po nich, tworzą cień i ustronie przychylnie głębszym myślom.

Niedaleko mam grootę, której, według wiary miejscowej, duch strzeże. Głęboka w tym prawda. Cóż jest, czego by duch nie strzegł? Gdzie by na dnie duch nie mieszkał? Gdzie byśmy się mogli przedrzeć, co byśmy mogli osiąść, nie porozumiewszy się wprzód z opiekuńczym, panującym tam duchem? W duchu jest źródło i zagadka wszelkiego życia, wszelkiego istnienia. Całe stworzenie — widome i niewidome — jest, czym jest, przez Boga, przez ducha bożego. Człowiek jest człowiekiem przez ducha ludzkiego, przez część ducha bożego. Cóż nas upoważnia twierdzić, że skała także, że kamień także nie ma swojego ducha? Jest duch stworzenia, jest duch ludzkości, jest duch narodu, jest duch pojedynczego człowieka, jest duch w ogóle, musi być i w każdej cząstce ogółu. „Bóg jest w niebie, na ziemi i w każdym miejscu” — wraza nam Kościół tę prawdę od dzieciństwa naszego. Dzieci, wierne w dojrzałości swojej niewinności religijnej, kierują podług tej prawdy całe swoje życie. Lud prosty, część najbardziej dziecinna narodu, trzyma się jej jak najmocniej. Nie żartujmy z tej wiary, bo on zawsze na końcu wygra i zawstydzi naszą mądrość zmysłową, całkiem pelzającą po wierzchu rzeczy. Nie zabijajmy w nim tego uczucia. Biada nam, gdybyśmy potrafili je zabić. Chrystus powiedział o gorszycielach dzieci: „Kto by zgorszył jednego z tych, byłoby mu lepiej, żeby sobie uwiązał kamień młyński u szyi i rzucił się z nim w morze”<sup>277</sup>. Słowa te mogą się stosować do gorszycieli ludu, który przez prostotę, przez niewinność swoich wierzeń jest dzieckiem w obliczu Boga.

Duch, Lud, Wiara

Oto jest, co mnie tak przywiązuje do niego, co mnie pobudza, by stać się podobnym do tych, których „aniołowie są zawsze przed obliczem Bożym”, patrzą zawsze na prawdę. Oto jest, co mną kieruje w tej pracy. Jeżeli zbieram i podaję innym pieśni, opowieści, podania, wyobrażenia, nawet przesady i zabobony ludu, nie zbieram ich i nie podaję jako kamyczki mniej więcej przydatne do utworzenia jakiejś martwej mozaiki poetycznej — nie! Wziąłem je z łona życia, jako żyjące uczucie ludu, i jako rzecz żyjącą podaję. Chcę je zachować przy życiu dla życia ludu. Chcę je zachować także dla życia naszej sztuki.

Kiedy rzucę okiem na cały obszar tego kraju przede mną, kiedy się cofnę w jego wieki przeszłe, kiedy nade wszystko zapuszczę myśl w głębię jego życia, nie mogę wstrzymać się od żalu, że dotąd poezja nasza nie dotknęła tych okolic, nie położyła na nich tego uroku

<sup>274</sup>Mozart, *Wolfgang Amadeus* (1756–1791) — austriacki kompozytor i wirtuoz. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>Wacław z Oleska (1799–1849) — właśc. Wacław Zaleski, polski folklorysta, poeta, pisarz i działacz społeczny. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>*Zbiór pieśni galicyjskich* — chodzi o dzieło Wacława Zaleskiego (1799–1849) *Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego z muzyką instrumentowaną przez Karola Lipińskiego*. Zebrał i wydał Wacław z Oleska, opublikowane w 1833 r. [przypis edytorski]

<sup>277</sup>*Kto by zgorszył jednego z tych, byłoby mu lepiej, żeby sobie uwiązał kamień młyński u szyi i rzucił się z nim w morze* — cytat z Ewangelii św. Marka (Mk 9, 41) i św. Mateusza (Mt 18, 6). [przypis edytorski]

widomego, jaki np. w nowszych czasach rozlał Walter Scott<sup>278</sup> na góry swojej ojczyzny. Wiem, że to niełatwe, ale nie przez brak poetyczności tej ziemi. Jest ona może nawet większa niż w ludzie szkockim. Tylko trzeba oderwać nieco wierzchnią jej powłokę, dostać się do głębi, zgodzić swojego ducha z jej duchem, objąć swoim uczuciem najżywszym całe jej życie. A wtedy znajdziesz je wszędzie.

Schiller<sup>279</sup> w jednej ze swoich poezji<sup>280</sup> żali się na zamarcie, na bezdusność świata obecnego, tęskni za życiem duchowym Greków, oplakuje nimfy, driady, wywołuje bóstwa Greków. Żal jego słuszny, kiedy go zastosujemy do świata książkowego; nie ubolewałby za przeszłością, gdyby zszedł był do naszego ludu. Byłby tam znalazł ów świat ducha, którego świat grecki był tylko zamglonym, mętnym przecuciem. Byłby znalazł między naszym ludem i w świecie, który go otacza, życie i nimf, i najad, i driad, ale prawdziwsze, wyraźniejsze, bo objawione przez ducha chrześcijańskiego — nie domysły, nie odgadywania, nie wymysły ludzkie, ale pewność wewnętrzną, silną i oczywistą jak wiara, nieomylną jak światło wiary prawdziwej.

Tak jest! Wszystko żyje dla naszego ludu. Przytoczyłem tego niemało już świadectw, pozwalam sobie pomnożyć ich liczbę jeszcze kilkoma nowymi, które, jestem pewny, zajmą same przez się, a zarazem potwierdzą tę prawdę, że lud czuje życie i uczucie we wszystkim.

W mniemaniu Podhalan węże mają swojego króla. Odnacza się on między innymi wielkością, nadzwyczajną pięknnością kolorów i koroną na głowie, w kształcie złotego grzebienia. Zagrożony wydaje gwizd donośny, a wtedy wszystkie węże, do których ten gwizd doszedł, przybywają mu na pomoc.

Bydło, stworzenie niższe od człowieka, ma także swój język, rozmawia między sobą. Można je słyszeć w pewnych chwilach, a mianowicie w noc przed św. Jerzym<sup>281</sup>. I oto powiastka z tego powodu. Pewien gospodarz, wiedzący o tej tajemnicy, chciał podsłuchać swoje woły. Ukrył się więc w oborze i w rzeczy samej po chwili jeden wół westchnął, a drugi zapytał go o przyczynę westchnienia: „Jutro — rzekł mu pierwszy — czeka nas smutna i ciężka praca”. „Jaka praca?”. „Będziemy wieźli naszego gospodarza na cmentarz”. Wół powiedział prawdę — gospodarz, który to słyszał, tej nocy jeszcze umarł.

Oko moje w tej chwili zwraca się na górę niedaleką, zwaną Cyntyryz, czyli cmentarz, z czasów jakiejś kłeski niepamiętnej, podobno morowego powietrza. To miejsce dostarcza mi także zajmującą opowieść: Jest na tej górze pień ogromnej grubości, spod którego wychodził czasem duch pod postacią mnicha. W pierwszej chwili zjawienia się był on bardzo małeńki, ale zaledwo stanął na ziemi, rósł nagle i wkrótce przenosił wzrostem swoim najwyższego człowieka. Przybierał on różne postaci, ale najczęściej pokazywał się w sukni mniszey lub w bieli. Objawienie jego poprzedzała czasem wielka burza, czasem mocny zapach kwiatów. Nierzadko wychodził z wody, a kiedy miał odejść, wchodził do wody, rozpościęrał nad nią swoją odzież, malął stopniowo, dopóki całkiem nie zniknął. Dostyc było mówić o nim, aby się natychmiast pokazał. Nic nie mówił, nikomu nic złego nie robił. Zapytywany, odpowiadał jedynie skinieniem głowy lub ręki. Ostatni człowiek, który go spotkał, krzyknął na widok jego: „Wszelki duch Pana Boga chwali!”. Mnich odpowiedział: „I ja go chwale”, po czym natychmiast zniknął i już go odtąd nie widziano. Miał to być duch pokutującego mnicha, który kiedyś uciekł z klasztoru i został w tym miejscu przez zbójców zabity.

Niektóre tu miejsca są owiane tajemniczością straszną, a niezaprzeczoną. Jedno z nich znajduje się niedaleko drogi do Morskiego Oka, już w głębi gór. Jest to w lesie ustronnym, odwiecznym, ciemnym i z samego już wyglądu niemiłym, a jego własność jest taka, że budzi chęć nadzwyczajną do samobójstwa. W tych kilku ostatnich latach dwie osoby zastrzeliły się w tym miejscu; obie należały do warstwy wyższej społeczeństwa. Ten, który mi to opowiadał, jest człowiekiem wykształconym i dalekim od ślepej wiary w zabobony, a zaręczał mi, że przez ciekawość zwiedził to miejsce i wnet poczuł w sobie samym tę chęć

<sup>278</sup> Scott, Walter (1771–1832) — szkocki adwokat, powieściopisarz i poeta. [przypis edytorski]

<sup>279</sup> Schiller, Friedrich von (1759–1805) — niemiecki poeta, filozof, historyk i dramaturg, autor *Ody do radości*. [przypis edytorski]

<sup>280</sup> w jednej ze swoich poezji — zapewne chodzi o utwór *Bogowie Grecji* autorstwa Friedricha Schillera (1759–1805). [przypis edytorski]

<sup>281</sup> św. Jerzy (zm. 303) — święty Kościoła katolickiego, męczennik za wiarę. [przypis edytorski]

odebrania sobie życia w sposób tak silny i tak zarazem nęcący, że nie wie, na czym by się skończyło, gdyby nie był zrobił wielkiego wysiłku i nie oddalił się z lasu jak najrychlej.

Może to być dziwne dla niektórych, dla mnie nie jest bynajmniej. Dostyc być prawdziwym chrześcijaninem, aby sobie rozwiązać tę zagadkę, przynajmniej do pewnego punktu ogólniejszego. Mamy kościoły, miejsca, gdzie człowiek nabiera życia dobrego, siłę ku dobremu, dlatego że są poświęcone duchom chrystusowym, że są pod władzą ducha bożego wyłączną. Muszą być także miejsca, gdzie wyłącznie zły duch panuje. Nasz lud czuje to w pewnych mieszkaniach, a my możemy widzieć w pewnych miastach, w całych narodach uległych mniej albo więcej złemu lub dobremu duchowi. Z tą jedną różnicą, że działanie jego jest tutaj widome przez narzędzia widome, przez ludzi, a tam mniej widome, przez przedmioty bezwładne na pozór, przez drzewa, przez skały, niekiedy przez utwory sztuki, jak obrazy, posągi, książki, albo wcale niewidome, przez bezpośrednie działanie ducha na ducha, jakiego przykłady każdy z nas mieć może, skoro się zastanowi albo nad samym sobą, albo nad innymi.

Taka jest ziemia, taki jest lud, nietknięte prawie dotychczas przez naszych poetów. Wiele na tym traci nasza sztuka, nasza literatura. „Zaczynaj pierwszy pracę, do której innych pędzisz!” — może mi ktoś powiedzieć. I słusznie. Był to mój głos wewnętrzny, poszedłem za jego nakazem — zaczynam, ale wiem naprzód, że nie zdobędę się na więcej niż na próbkę niedoskonałą. Nie będzie to wina moich chęci, ale położenia całkiem wyjątkowego, przez które niepodobna mi wejść w życie rzeczywiste tego ludu tak blisko, na tak długo, żebym je mógł schwycić w całej prawdzie dotykanej, co jednak uważam za konieczne dla poety tych okolic. Pole to jest dla pisarzy, którzy będą mieli mniej niż ja przeszkód, a więcej przyjaznych okoliczności — na takich ono czeka. Bodajby jak najprędzej wystąpili.

# KILKA MYŚLI ROZJAŚNIAJĄCYCH POETYCZNĄ STRONĘ GÓRALI

Zbieram tu razem kilka myśli, które mi w tych czasach przysły, a rozjaśniły mi stronę poetyczną Górali. Uważam to za konieczne, jak jest konieczne w moim przekonaniu zapatrywać się na przejawy duchowe i umysłowe ludu z właściwego jemu stanowiska. Tylko w takim zapatrywaniu się można je pojąć, jak powinny być pojęte, można z nich całą korzyść wyciągnąć. Myśli te, chwytane dorywczo, nie mają widocznego między sobą ciągu i związku, ale wychodzą wszystkie z jednej głównej idei i w jeden punkt uderzają — i to stanowi ich związek ukryty. Czytelnik szukający istoty nie zatrzyma się na formie.

## I. Zabobony

Wielka jest ważność wszelkich podań ludu, jego nawet przesądów i zabobonów. Wszędzie tam na dnie jest głęboka prawda, iskra zadziwiającej wiedzy w przedmiotach niedocieczonych pracą rozumu. Ile razy miałem pokorę przyjąć je jako rzecz ważną i cierpliwie zbadać, tyle razy znalazłem w głębi prawdę świadczącą o jakiejś prawdzie religijnej, chrześcijańskiej.

Jest to korzyść prostoty wewnętrznej ludu. Niewiele wie, ale co wie, to dobrze, a nigdy nie powiada, że wie dobrze, co wie źle, albo że wie, czego nie wie w istocie. Pycha rozumu nie zaprowadza go na manowce fałszywych systematów, doktryn, budowania na okruszynie prawdy całego świata fałszu, podawania domysłu czy przypuszczenia za pewnik i tym podobnie — co w takiej ważnej części wchodzi do składu naszej cywilizacji. Czego lud nie wie, szczerze uznaje, że nie wie. Instynktem prawdy widzi natychmiast, co jest nad jego pojęcie w pewnej chwili, i nie sili się dociekać, a przez to unika zabrnienia w fałsz, z których czasem niepodobna się wycofać, jak się to nam przydarza. Nie stawia się w konieczności przekręcania przebiegłością rozumu prawdy w fałsz albo fałszu w prawdę.

Lud nie jest nieomylny; nic nad to prawdziwszego dla mnie. Ma przesady, ma zabobony naganne, szkodliwe i temu nie zaprzeczam. Ale nieraz przekonałem się, że potępiamy go z tej strony najczęściej dlatego, że nie umiemy jej zbadać.

Wiele on ma mniemań, które odrzucamy jako zabobony, a w których wina ludu ta tylko, że widzi głębiej, dalej niż my. Zadałem sobie w tym przedmiocie szczerą pracę, brałem nieraz zabobon po zabobonie, przesąd po przesądzie i najczęściej w zdumieniu korzyłem się przed czystością prawdy, którą w tych skorupach, na pozór niezgrabnych, odkrywałem.

Powiedzmy sobie i tę jeszcze prawdę, że zbyt ostro, zbyt jednostronnie powstajemy przeciw zabobonom. Bez wątpienia, obrzydliwe bywały czasem skutki przesądów, zabobonów ludu, ale w moich oczach daleko są obrzydlwsze i zgubniejsze skutki fałszywych systematów filozoficznych, teorii politycznych i doktryn religijnych. Mniej straszny dla mnie głupi, zabobonny człowiek z ludu jak przewrotny mędrzec, jak zepsuty człowiek cywilizacji. Wprawdzie przez zabobon ludu palono nieraz na stosach, topiono i spełniano tym podobne zbrodnie, ale policzmy te ofiary i ofiary fałszywych mędrków, przewrotnych reformatorów, a zobaczymy, gdzie ich więcej padło. Jeżeli wielka liczba po jednej stronie, to po drugiej nieporównanie większa. Przez jednych mogły cierpieć cząstki narodu, przez drugich całe narody giną. A giną w tym, co jest najżywotniejsze dla człowieka — tracą życie w prawdzie. Zobaczymy wtedy, przy głębszej bezstronności, tę smutną różnicę między prostotą ludu a cywilizacją, że w jednej znajdujemy pod fałszywą nawet powłoką najczęściej prawdę zbawienną, a w drugiej, przeciwnie — pod pozorami prawd najponętniejszych kryje się najczęściej fałsz najbardziej szkodliwy. Zło ludu prostego jest, można powiedzieć, złem dziecka, a nasze jest złem męża dojrzałego już i wytrawnego w złu.

Zawsze, dzięki Bogu, wysoko ceniłem tę dzieciinną prostotę, tę niewinność wewnętrzną ludu. Straciłem wiele, bardzo wiele na drodze obecnej cywilizacji, ale dotąd jeszcze przechował się we mnie ten instynkt pierwotnej prostoty ludu, ta struna jego sumienia, to zapamiętanie owej niewinności, owego dzieciństwa uczuć wewnętrznych, przez któ-

Lud, Wiedza, Prawda

Lud, Zabobony, Rozum,  
Prawda, Fałsz



re każdy człowiek przechodzi, co w życiu późniejszym puszcza tak niebacznie, czego tak niedbale strzeże przeciwko duchowi świata, co tak łatwo pozwala sobie wydrzeć, a przynajmniej zasypać późniejszemu życiu, późniejszemu zepsuciu, które nazywa postępem, udoskonaleniem się, a co jest takim postępem, takim udoskonaleniem się, taką dojrzałością, jak zgniłość dla niektórych owoców. Dobrze to, być może, a nawet konieczne dla niektórych owoców, ale nigdy nie jest dobre dla człowieka, dla owocu ducha bożego. Przez ową to resztkę ocaloną dochowałem najdroższą dla mnie rzecz: wspólność podstawy wewnętrznej z prostym ludem, miłość ku niemu, zdolność pojmowania go, oceniania, na koniec łatwiejszy wstęp do jego sfery moralnej. Wiele razy potrzebowałem zasilić się prawdziwym poświęceniem się na drogach przez puszcę naszej cywilizacji, która tak łatwo wzrok olśniewa, gdzie kamienieje uczucie i wietrzeje siła prawdziwej ofiary.

## II. Lud artysta

Pozwalamy sobie lekceważyć wiarę ludu w świat ducha. Pomiatamy utworami, w których lud przedstawia go sobie, uzmysławia. Nie widzimy w tym nic więcej, jak niezgrabną igraszkę fantazji nieujętej karbami naszej sztuki. Mylimy się, że już nie powiem — bluźnimy duchowi jego. Może być, że w tym przedstawieniu świata duchowego lud nie jest artystą podług naszych wyobrażeń, ale to pewne, że istotą utworów jego jest prawda najważniejsza, najbardziej niezaprzeczalna dla człowieka, który nie spadł niżej zwierzęcia, i pomimo nieokrzesań form daleko mniej skażona, przetworzona, sfalszowana, znieważona, niż w naszej sztuce, w naszych formach bardziej obrobionych z wierzchu. Lud nie zna się na formach, ale dziwnie zna się na duchu rzeczy. Może nie znaleźć formy odpowiedniej dla swoich pomysłów prawdziwych czy uczuć pięknych, ale też fałszowi nie daje formy ludzkiej prawdą, nie poświęca formie ducha prawdy.

Może być niedorzeczne wyobrażać sobie świat ducha, jak go niekiedy lud wyobraża, odziewać w takie formy, w jakie lud niekiedy go odziewa, ale jeszcze bardziej niedorzeczne jest zaprzeczanie istnieniu tego świata, wpływowi jego na świat zmysłowy i działaniu nań pod formami zmysłowymi. Jest to prawdziwa, nazywając rzecz najwłaściwiej, głupota cywilizacji nowoczesnej — wielka, niczym nieusprawiedliwiona, a gorsza w swoich skutkach, niż się nam zdaje. Lud prosty pod tym względem jest daleko wyższy, rozumniejszy, bardziej chrześcijański od tych, co go za tę wiarę potępiają. Oni tłumią, gaszą prawdę, na której stoi, przez którą żyje prawdziwie cała budowla prawdy chrześcijańskiej na ziemi, a lud ją uznaje i wprowadza w swoje życie, nieodpowiednio zapewne do jej wysokości, ale jak umie i może, a z dobrą wiarą.

Takie źródło i taki cel mają wszystkie jego opowieści, podania, wierzenia, a nawet przesydy i zabobony. Jest to jego sztuka, jego literatura. A ma tę wyższość nad naszą, że utwory jej nie są martwe, jak nasze posągi, obrazy, poematy, przeciwnie — żyją, działają, wiążą się z życiem ludu, dzielą je. Stanowią część żyjącą, działającą jego życia, jego sfery spraw ziemskich, zatrudnień wszelkich, spajają w sposób nieobojętny drabiną ze snu Jakubowego<sup>282</sup> świat niewidzialny ludu ze światem widzialnym.

Postawmy utwory naszych artystów, postawmy bohaterów naszych pieśni, poematów, dramatów obok tych utworzonych sposobem ludu przez lud. Jakże oni są niżsi pod względem życia. Byli kiedyś, to prawda, a najczęściej nie byli, i doskonale to wiemy naprzód. Dajmy jednak, że byli i żyli. Możemy ręczyć z całą siłą wiary pewnej siebie, że są i żyją gdzie indziej, jak na płótnie lub w okładkach książki, jeżeli to życiem nazwać można? Inaczej rzecz się ma z utworem ludu. Dla człowieka ludu był on, jest — nie może nie być, skoro raz był. Bowiernie uczucie, siła twórcza ludu sięga dalej jak do martwego wspomnienia, sięga do samego dna rzeczy, do ducha, z tej głębi wszystko czerpie, do niej wszystko odnosi, a tam tylko jest prawdziwe życie i prawdziwa nieśmiertelność. Weźmy np. Bolesława Śmiałego w tragedii *Wężyka*<sup>283</sup> — czym on jest obok tego Bolesława, który według podania ludu dotąd się błąka w tych górach, pokutuje, cierpi, nie wyszedł z życia narodu, przechodzi z nim jego koleje, pracuje dla niego, odrabia swoją część zła, które na naród sprowadził.

<sup>282</sup>*Drabina ze snu Jakubowego* — biblijna drabina widziana przez Jakuba we śnie, sięgająca do nieba, po której schodzili i wchodzili aniołowie; na jej szczycie Jakub ujrzał Boga. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>*Wężyk, Franciszek* (1785–1862) — polski dramaturg, powieściopisarz i poeta; autor tragedii *Bolesław Śmiały*, opublikowanej w 1822 r. [przypis edytorski]

Lud, Duch, Sztuka,  
Artysta, Prawda

Obraz świata

I takie wyobrażenie jest jedynie głębokie, prawdziwe, jedynie moralne, stawia wielką naukę w formie sztuki, jest w duchu religii prawdziwej. Nasi zaś bohaterowie są tylko mumie moralne, zabezpieczone przeciw zupełnemu strupieszeniu papierem, płótnem, kamieniem — na tak długo, jak długo trwa ich powicie.

To samo na polu malarstwa. Weźmy najpiękniejszą Madonnę Rafaela<sup>284</sup> i obraz czyniący cuda. Cóż mi po obrazie Rafaela obok obrazu cudownego. Jeden jest dla prostej uciechy zmysłowej, dla oczu, drugi daje mi zdrowie i ciała, i ducha, podnosi mnie w świat szczęścia najwyższego, w świat zbawienia. Tu prawdziwe życie, a tam blask tylko pięknej formy.

### III. Sumiennosc ludu w poezji

Jest jeszcze drugie źródło wyższości, jaką dostrzegam w sztuce ludu, zasługujące, abyśmy i my zbliżyli się ku niemu.

Nikt zapewne nie zaprzeczy, że kiedy czytamy jakiś nasz poemat, a tym bardziej romans, pierwsi nie wierzymy w wierną rzeczywistość osób i wypadków opisywanych. I gdybyśmy musieli szczerze odpowiedzieć, odpowiedzielibyśmy, że ten romans czy poemat to nic innego, tylko igraszka artysty, przystrojona pozorem celu i tonu mniej więcej poważnego, a uzmysłowiona dla igraszki czytelnika. Lud prosty wierzy w to, co tworzy. Nie igra ze swoim utworem, ze swoją sztuką, nie rozkoszuje się nią, ale skoro wchodzi na jej pole, to z potrzeby poważnej, dla celu poważnego. Przez to pokazuje z jednej strony więcej zdrowego rozsądku, więcej dobrej wiary, więcej poważnego umysłu niż w ogólności artyści ucywilizowani, a z drugiej dowodzi, że ma głębokie poczucie prawdziwego życia, które może być małe w objawianiu się, ale jest silne w swojej istocie.

Sumiennosc ta w literaturze ludu wywodzi się z jego natury, która nie ma potrzeb zbyt licznych, idzie z głębi ducha przepelnionego uczuciem religijnym, idzie także z jego położenia materialnego. Niedola jego ziemską trzyma go tak mocno w świecie rzeczywistości, w karbie konieczności najściślejszej, że każdy czyn, w którym objawia swoje uczucie, idzie sumiennie z jego uczucia. Jemu nie wolno nudzić się nudami dobrego bytu i w tych nudach, w przesycie zadowolenia materialnego, wymyślać sobie idealne nieszczęścia, trapić się marzeniami, kaleczyć się i cierpieć przez rozpustę moralną, jedynie dla urozmaicenia życia, dla drażnienia drętwiejących uczuć, dla karmienia nierządu, który już wszystko zużył, dla podsycenia żądz konających już po strawieniu wszelkiej swojej pastwy<sup>285</sup> — jak tego przykłady widzimy w sferze ucywilizowanej. Bóg zabezpieczył lud prosty przeciw temu samobójstwu najstraszniejszemu, bo duchowemu. Lud prosty, zwłaszcza nasz, nie domyśla się nawet, nie wyobraża sobie, niezdolny jest wyobrazić sobie stanu podobnego, a następnie niezdolny jest do podobnych chuci. Jeżeli usłyszysz jakąś opowieść ludu, bądź pewny, że jej autor nie dla igraszki ją wymyślił, ale zmuszony był ważną jakąś pobudką, bądź ogólną, bądź osobistą. Napotkasz pieśń miłosną? O, niezawodnie twórca jej rzeczywiście, szczerze był zakochany, możesz na to przysiąc. A czy przysięgłbyś sumiennie, że jakiś z naszych poetów kochał rzeczywiście, bo napisał wiersz miłosny, choćby nawet bardzo namiętny? Ja przynajmniej nie śmiałybym tego zrobić, o ile znam się cokolwiek na naszych poetach. Jeżeli pieśń ludu tęskni, skarży się, narzeka, boleje, cierpi, to był ktoś dotknięty istotnym nieszczęściem, przyciśnięty szczerym smutkiem, obarczony cierpieniem, a tak rzeczywiście i silnie, że musiał nadmiar stanu wewnętrznego wylać na zewnątrz w pieśni.

Człowiek ludu nie tworzy jej; kiedy w ogólnym skarbcu znajduje odpowiednią całością swojej potrzebie, chwytą ją i posługuje się nią jak własną. Nie znajdzie takiej? Wtedy sam tworzy. A ta samorodność tym łatwiejsza, że nie myśli o formie objawienia, nie zważają mu przepisy, wymagania sztuki obliczonej, wymierzonej, wyważonej nie miarą ducha twórczego, ale rozumem, który niezdolny jest wyjść poza karby materii. Śpiewakowi z łona ludu prostego wystarczy, kiedy mu sumienie jego i innych zaświadczy, że w tym, co wypowiedział, co wyśpiewał, jest wierne oddanie tego uczucia, jest prawda tak żyjąca w słowach jak w jego piersi, jak w piersi ogółu.

<sup>284</sup>Rafaël (1483–1520) — właśc. Raffaello Sanzio, włoski malarz i architekt. [przypis edytorski]

<sup>285</sup>pastwa (daw.) — pożywienie, pokarm. [przypis edytorski]

#### IV. Życie wyższe w poezji ludu

Jest jeszcze jeden rys, który cechuje sztukę poetycką ludu, a który szczególnie wybija się tu między Góralami.

Kiedy my musimy nasze pomysły przylepić do kawałka papieru lub płótna, wydłubywać w bryle kamienia, tłem utworów ludu jest cała rodzinna ziemia, cały kraj rodzinny, rodzinne niebo, a nawet i piekło, kiedy tego potrzeba — zgoła cały świat duchowy i widomy. Jak to jest olbrzymie w porównaniu do naszych robót! Chcesz zdarzenia w obrazie? Oto tym obrazem jest cała okolica, nie pędzłem skopiowana, ale namalowana, żyjąca tchnieniem wieków. Trzeba mu posągu dla wypadku lub człowieka, to całą górę w posąg zamienia. Jeżeli puści w obieg jakieś uczucie pod postacią pieśni, to wszystkie głosy ludu, wszystkie serca grają jej muzyką. Jeśli pieśń jest wesola, to cały lud staje w chór i płąsa, i klaszcze w dłonie. Jeśli smutna, to z tysiąca oczu łzy płyną. Nie dosyć mu na tym, nie dosyć mu ziemi, materii. Dla niego duch rzeczy jest wszystkim, sztuka jego wchodzi w świat ducha. Ktoś zasłużył sobie u niego na pamięć przychylną, więc mu się otwiera na wieki jasny świat wyższy i stamtąd opromienia sferę swoich braci blaskiem niebieskim, jak za życia świecił czynami cnotliwymi. Nie przestaje służyć jako duch tym, którym służył jako człowiek. Inny zarobił na pamięć przekłętą, więc jego miejsce w świecie ducha niższym, podziemnym. I lud widzi go w ogniach i mrokach zatracenia, w łańcuchach niewoli wiekowej, pod chłostą mąk wiecznych, w stanie grzechu przemienionego w karę.

Jednym słowem, ludowi koniecznie potrzeba, ażeby utwór przeznaczony dla niego, jakiegokolwiek ogromu jest forma, był na kształt świątyni, na kształt kościoła, na kształt kaplicy przydrożnej, bodajby wreszcie na kształt tego krzyża na samotnej mogile — byleby zawsze w nim trzymał najpierwsze miejsce i jego świat nadzmysłowy, jego Bóg, byleby był ożywiony, poświęcony duchem bożym. I ma takie utwory, miałby ich więcej i doskonalsze, gdyby nasi mężowie sztuki (tak biegli w odrabianiu, w wynajdowaniu form pięknych) mieli jeszcze taką miłość, taką cześć dla prawdy, jaką lud ma, gdyby się postawili w takiej zdolności otrzymywania natchnień prawdziwych, o jaką ludowi łatwo, i połączyli sztukę tworzenia formy z potęgą ożywiania jej tchnieniem świata wyższego. Ale nie abstrakcyjnego, tylko rzeczywistego dla ducha, jak ten materialny rzeczywisty jest dla zmysłów człowieka. Chodzi tylko o to, aby osiąść niewinność wiary, jaką lud posiada, a bez której pisarz religijny jest najobrzydliwszym dla mnie świętokradcą, a jego utwory religijne potworami, które więcej złego rozmnażają między ludźmi niż szczerze bluźnierstwo czy szczerza bezbożność. Niewinność tę wiary sam Chrystus określił, polecając ludziom życie w duchu i prawdzie. Chrześcijanin powinien to rozumieć, chrześcijanin-artysta powinien umieć zastosować to na swoim polu. Taki artysta zrozumie wszystko, co powiedziałem, potrafi korzystać z wzoru, który mu lud przedstawia.

#### MELSZTYN. ZAMCZYSKO

Jestem znowu w Mikołajowicach po dwudniowej podróży z Tatrów. Tym razem będę ja sobie przypominał po odwiedzinach w Melsztynie. Dziś dopiero zwiedziłem i dotknąłem z bliska szczątków tego zamku.

Przedzierałem się do nich z Zakliczyna. Z powodu moczarów, które zalegają wielką część niziny pomiędzy Zakliczynem a Dunajcem w kierunku Melsztyna, musiałem kołować na wieś Wesolów<sup>286</sup>. Za Wesolowem przepравиłem się przez Dunajec, zasiany po tej stronie kępami, i drogą ponad Dunajcem dojechałem do podnóża melsztyńskiej góry.

Z tego miejsca zaczyna się wędrowka piesza. Zboczem rozdołu, odcinającego z północnej strony melsztyński szczyt od innych, doszedłem do przerwy w szczątkach północnego muru. Znużony byłem spiekotą i stromym podejściem, chciałem więc przede wszystkim wypocząć, ale w takim miejscu, żeby mieć zarazem pewny widok. Po skruszonych więc murach, w których wyraźne jeszcze są ślady komnat, dostałem się na stromy stok góry, wiszący nad zatoką Dunajca. Z tego miejsca miałem przed oczami trzy niemal boki góry i całe półkole niziny za Dunajcem z okalającymi ją górami. W tym miejscu dzieło ludzkie zespolone jest z dziełem przedwiecznego Budownika w całym znaczeniu tego wyrazu. Mury zamku z prostopadłą ścianą góry zdają się tworzyć najściślejszą jedność, zniszczenie nawet dotyka na równi obu. Ziemia tu, jak matka dzieląca los dziecka,

<sup>286</sup> *Wesolów* — wieś w województwie małopolskim, w powiecie tarnowskim. [przypis edytorski]

popękała pod rodzinnymi gruzami. Cały bok góry pokryty potokami niebieskich ulew i ziemskich powodzi, naszpikowany powywracanymi drzewami, pogarbiony ogromnymi bryłami oddzierającej się co rok ziemi, tworzy dziką harmonię zniszczenia z osuwającym się Melsztynem.

Orzeźwiwszy się winem i dorodnymi poziomkami, które tu w wielkiej obfitości znalazłem, podziękowawszy za nie miejscowemu duchowi rozwalin, który je tak gościnnie ofiaruje wędrowcom, jakby przez wdzięczność za nawiedzenie jego dziedziny, udałem się grzbietem góry ku zachodniej wieży, najokazalszej i najlepiej zachowanej części tych rozwalin.

Wieża jest kwadratowa, obwiedziona wysokim, murowanym tarasem. Żadnego już na niej pokrycia, trzy ściany w zupełnej całości, czwarta znacznie u góry wyszczerbiona. W niektórych oknach zachowały się futryny z ciosowego kamienia. Wnętrze wieży zrujnowane, tylko na ścianach ślady sklepień, z których się piętra tworzyły. Podziemna dawniej część wieży, zawałona gruzem, zarasta bzem dzikim i innym zielskiem.

Kiedym ją oglądał i przy pięknym krzaku dzikiej róży układał wiązanekę na pamiątkę z jej kwiatów, dostrzegłem zbliżającego się ku mnie człowieka. Pozdrowiliśmy się wzajemnie.

— To wy zapewne tutaj mieszkacie? — zapytałem go, wskazując na chatkę opartą o mur północny.

— Nie, ale niedaleko, zaraz pod górą, we wsi Melsztyn.

— Zapewne wiele wiecie o tym zamku i zechcecie nam opowiedzieć.

— Jakże nie mam wiedzieć? — odpowiedział — Już to osiemdziesiąt lat z górą, jak żyję na tym świecie.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem i niedowierzaniem — na głowie żadnego prawie włosa siwego, zęby zdrowe, twarz pełna i czerstwa, postawa prosta, w każdym ruchu moc i żywość niezwykle ludziom podobnego wieku. On tymczasem dalej mówił:

— Ja tutaj urodziłem się i mieszkałem, nim poszedłem do wojska. Panowie Tarłowie<sup>287</sup>, panowie Lanckorońscy<sup>288</sup>, do których ten zamek należał, za mojej pamięci żyli. Co to był za mocny zamek! A jakie piękne i bogate pokoje! Nie raz, nie tysiąc razy chodziłem po nich. Dziś jeszcze mógłbym panom pokazać, gdzie co stało.

— Właśnie też was prosimy o to.

Starzec przychylił się chętnie do naszej prośby. Przede wszystkim poprowadził nas kilkanaście kroków wstecz, ku zachodowi, nad głęboką fosę, która odcinała posadę zamku od reszty góry coraz bardziej rozłożystej, i mówił:

— Z tej tylko strony można było do zamku wjechać. Przez tę fosę prowadził most zwodzony, a tutaj, gdzie stoimy, była wielka brama.

Zwróciliśmy się potem ku wschodowi.

— W tej wieży — mówił dalej — po prawej ręce, siedziała straż, co bramy pilnowała. Na pierwszym i drugim piętrze były piękne pokoje, a pod spodem, w ziemi, więzienie. Jeszcze niedawno można było do niego wchodzić. Dalej, gdzie panowie widzicie tę dziurę między drzewami, to była studnia, taka głęboka, że dno jej było równe z wodą Dunajca. Dunajec płynął wtedy pod samą górą, a od spodu studni szedł aż do niego podziemny kanał. Cała studnia wyłożona była ciosanym kamieniem. Można było dojść aż do jej wody, bo im wyżej, tym była szersza. Niedawno dopiero panowie powybiali z niej kamienie, bo były bardzo duże i ładne — przez to się i zasypała. Na prawo za studnią były stajnie, jedno w ziemi, a drugie na wierzchu, właśnie w tych samych murach, tylko że się już wszystko zawaliło. Zaraz od stajni, jak te ściany, zaczynały się pokoje. Pod spodem były więzienia, a kogo tam raz osadzono, już ten więcej światła nie zobaczył. Po prawej stronie tych pokoi była kaplica zamkowa. Cały zamek, ach, jaki był piękny, trudno opowiedzieć. Wysoki jak wieża, na trzy piętra, pod czerwoną dachówką, szkła w oknach były różnego koloru. Z tej strony, po lewej ręce, gdzie panowie widzicie ten kawałek muru nad tą chatką, taki mur szedł od bramy aż do pokojów. Nic tu nie stało, tylko w murze były dziury do strzelania. Te drzewa, jak są dzisiaj, tak i dawniej rosły, tylko że niektóre starsze poschły, a drugie, mniejsze wtedy, są dzisiaj już wielkie. Mówili tak starzy ludzie, ale tego za mojej pamięci

Zamek

<sup>287</sup> Tarłowie — polski ród magnacki, właściciele Melsztyna od 1601 do 1744 r. [przypis edytorski]

<sup>288</sup> Lanckorońscy — polski ród magnacki, właściciele Melsztyna w latach 1744–1886. [przypis edytorski]

już nie było, że jak panowie widzicie tę górę, gdzie zamek ten stoi, a góra bardzo wysoka, tak od zamku aż na drugi brzeg Dunajca stał most na słupach, precz, ponad polami, ponad lasem, aż tam na drugi brzeg rzeki, że można było jak z dachu spuścić się od zamku za rzekę...

— I przez co ten zamek opustoszał?

— Trzeba wiedzieć, moi panowie, że w tej stronie byli kiedyś konfederaci. Panowie zapewne tego nie pamiętają, ale ja byłem już wtedy dorosły. Otóż stali oni obozem koło Zakliczyna przez kilka tygodni. W zamku mieszkał wtedy pan Lanckoroński<sup>289</sup>. Pan to był dobry. Kiedy na przykład spotkał chłopów, co wódkę swojego dziedzica wieźli, a wiedział, że ciężko ich koniom, to odtykał czopy i wódkę na ziemię wypuszczał. Otóż miał on sługę, który nie wiem, przez co uciekł i przysłał do konfederatów. Pan Lanckoroński spodziewał się zapewne, że mu sprowadzi gości, dlatego wyjechał z zamku, bo był przeciw konfederatom. Jak raz wpadli konfederaci do zamku, wdarli się do piwnic, powypijali, co znaleźli, krzyczeli: „Niech żyje pan Lanckoroński!” i dalej butelkami ciskali w okna. Było to jeszcze pół biedy; konfederaci natłukli tylko butelki i okna i odjechali sobie, ale zaraz po nich wpadli kozacy i wszystko do góry nogami przewrócili. Od tego czasu nikt tu już nie mieszkał. Zamek coraz bardziej pustoszał. Pan Lanckoroński umarł, a późniejsi panowie brali kamień i dachówkę na stajnie, na gorzelnie, zwyczajnie na to, z czego są pieniądze.

Potarłem sobie tylko czoło, przygryzłem wargi na ten argument, który dzisiaj zbic trudno. Nagrodziłem uprzejmość Wojciecha Kareckiego<sup>290</sup> (tak się starzec nazywał) i kilkukrotnym rzutem oka pożegnawszy rozwaliny, odeszliśmy drogą, którą przyszlismy.

Żal, obudzony ostatnimi słowami opowiadacza, długo mi towarzyszył i na bolesne naprowadzał uwagi. Dla kilku groszy pomagać losowi niszczącemu, zacierać w zawody z nim ślady podobnych pomników! Tak żeśmy dalece zmaleli, stracili rodzinne uczucie? Wszakże i to prawda, że dla pewnych ludzi podobne mieszkanie jest smutne w tych wesołych czasach. Nie każdy godzien mieszkać, gdzie jego ojcowie mieszkali. Nie pozostaje więc nic, jak zgładzić do szczytu mówiące ich pamiątki. Od tych niczego się nie wymaga, nic się im nawet nie wyrzuca. Ale jest część narodu, na której leży obowiązek, jeżeli nie odbudowania zamków, nie zachowania ich gruzów, to przynajmniej zebrania i podania następcom wszystkiego, co pomniki podobne dostarczyć mogą. Węgry, na przykład, mają kronikę swoich zamków. Czyż i my mieć jej nie możemy? Nie jest to praca nad siły nasze, a korzyść z niej wielka. Jest w tym wielki interes poetów i pisarzy, którzy przyjęli na siebie obowiązek zachowania ludowi jego podań, jego pomników wszelkich, jego życia przeszłego; którzy się podjęli przenieść je w dziedzinę jego umysłów. Niezawodnie literatura nie jest cała w przeszłości, ale przeszłość jest jedną z bogatych jej kopalni. Są w przeszłości chwile, które nigdy przeminąć nie powinny. Jest blask, który pada na teraźniejszość jak promień ożywczy i którego nie godzi się lekceważyć. Są pomniki, z których dzisiaj nowe wyrastają, a więc godne troskliwego pielęgnowania. Są źródła życia, po zatamowaniu których literatura, jeżeli nie wysycha w swoim korycie, to znacznie opada. Dobrze to, żeśmy zdołali rozżarzyć jej ognisko, pilnujmy, aby nie przegasało, aby pałało coraz wyżej. To nie stanie się innym sposobem, tylko kiedy będziemy je podsycać wszelkiego rodzaju żywiołami, a tych pełne są piersi naszego ludu, naszych dziejów i w końcu naszej ziemi. Dlatego tak mnie porywa każda nasza ruina, dlatego, gdybym mógł, własnymi siłami uwieczniłbym każdą przynajmniej w tym stanie, w jakim się obecnie znajduje.

Słońce jeszcze nie zaszło, kiedyśmy dojechali do Panieńskiej Góry. Czas prześliczny zachęcił nas, by i ją dzisiaj odwiedzić. W ćwierć godziny byliśmy na szczycie. Powietrze nadzwyczaj rozjaśnione i słońce spuszczone ku zachodowi odkryły nam całą okolicę w blasku takim, żeśmy nie żalowali tego zboczenia z naszej drogi. Nakreśliłem już dawniej ten obraz, dziś go tylko widzę piękniejszym w świetle, które nań pada. Ale urok tego rodzaju nie da się ująć w słowa.

Poprzestałem więc tylko na tej rozkoszy, że z Panieńskiej Góry powitał miłe mi strony, po górach dziś mi najmiłsze, najprzyjaźniejsze.

<sup>289</sup>Lanckoroński, Maciej (1723–1789) — wojewoda braclawski. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>Karecki, Wojciech (1744–1841) — postać autentyczna. [przypis edytorski]

## PODRÓŻ DO DRUŻBAK<sup>291</sup>

W tych dniach zaznajomiłem się z częścią Węgier, dawniejszym Spiszem, o ile z drogi i w drodze zaznajomić się z jakąś okolicą można. Wszakże w jednym jej miejscu przeżyłem kilkanaście dni. Winiem to dwóm kobietom, które dla zdrowia swojego potrzebowały kąpeli wapiennych, które są w Drużbakach. Oprócz mnie było jeszcze dwóch mężczyzn. W takim towarzystwie puściliśmy się do Drużbak.

Podróż to jednodniowa z Łopusznej, droga bardzo ładna i w kilku miejscach mile mnie zajęła.

Granicę węgierską przekroczyliśmy we wsi Nowa Biała. Droga długo trzyma się Dunajca i w niektórych miejscach jest przesłiczna. Oprócz Niedzicy<sup>292</sup>, pod którą przejeżdża się, zachwyił mnie widok Czerwonego Klasztoru<sup>293</sup>. Leży on wśród ogromnych lasów z tej strony Dunajca, a tłem jego są Pieniny na drugim już brzegu. Jest to miejsce, gdzie Dunajec ujęty jest w skały jak kanał olbrzymi.

Przebyliśmy pasmo Tatrów Magurą<sup>294</sup>. Wysokość jej niepospolita; odznacza się szczególnie silnymi wiatrami — tak silnymi, że porywają ludzi i bydło. Są to chwilowe uderzenia, ale bardzo niebezpieczne.

Zatrzymaliśmy się w Podolińcu dla narady z tamtejszym lekarzem. Miasteczko Podoliniec jest miłe, słynie szkołami księży pijarów. Z tego to miejsca rozlewa się oświata na kraj góralski. Górale najchętniej oddają swoje dzieci do Podolińca. Poznałem jednego z księży pijarów, była to jedna z chwil miłych dla mnie w tej podróży. Był w Polsce i dobrze mówi po polsku, choć rodem z tamtych okolic. Nadto przypomniał mi moje dzieciństwo szkolne, czas spędzony w Międzyrzeczu Koreckim<sup>295</sup>, gdzie także pijarzy utrzymywali szkoły.

Na obiad stanęliśmy w Kieżmarku. Jest to jedno ze znaczniejszych miast w tej okolicy i w samej rzeczy wygląd jego odpowiada stopniowi, na jakim go stawiają. Ma wiele kamienic całkiem porządnym. Tu przygrywała nam do obiadu wędrowna muzyka Cyganów, którzy na Węgrzech słyną jako najbiedniejsi muzycy. Granie ich bardzo mi się podobało — nade wszystko, że wybierali nasze śpiewy, które dziś obiegają Europę. Tuż przy Kieżmarku leży zamek Tekielego<sup>296</sup>, którego Sobieski<sup>297</sup> pokonał. Jest on dziś pusty, ale dobrze zachowany. Nie widziałem jeszcze w tym rodzaju nic tak ogromnego. Dość spojrzeć nań, aby mieć wyobrażenie o potędze tego, który go zamieszkiwał. Ale najpiękniejszą rzeczą w Kieżmarku jest widok na Tatry, a mianowicie na Łomnicę i Krywań. Widziałem je stąd w całym ich ogromie, bo od Kieżmarku aż do nich cała przestrzeń jest prawie płaszczyną. Z tej strony można wejść aż na sam szczyt Łomnicy. Oddalenie i krótkość czasu swobodnego nie pozwoliły mi schwycić tego widoku, jak bym pragnął.

W dalszej drodze ku Drużbakom co mnie uderzyło, to ogromne wsie. Na Ukrainie tylko widywałem podobne. Są one przy tym porządne, pokazują dobry byt mieszkańców. Lud jest słowacki, dorodny, przystojny; i postawą, i strojem mało się różni od Górali podhalańskich. Uważa się także za lud góralski i zowie się Tatrzańcami.

W późną noc przybyliśmy do Drużbak i stanęliśmy w gościnie w głównej oberży na cały czas kąpeli naszych. Drużbaki, po niemiecku Rauschenbach, leżą w miejscu bardzo przyjemnym, pagórkowatym, w sąsiedztwie gór coraz wyższych i rozległych lasów. Wieś ta — a szczególnie dom, gdzieśmy mieszkali — przez swoje położenie na wzniesieniu ma rozległy i rozmaity widok, zamknięty wysokimi wzgórzami.

Kąpiele Drużbak<sup>298</sup> są dosyć znane; są to wody wapienne, używają ich w potrzebie

Szkoła, Dzieciństwo,  
Wspomnienia

Woda, Zdrowie

<sup>291</sup>Drużbaki — właśc. Drużbaki Wyżne miejscowość uzdrowiskowa w powiecie Lubowla na Słowacji. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>Niedzica — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

<sup>293</sup>Czerwony Klasztor — kompleks klasztorny na Słowacji w miejscowości Czerwony Klasztor nad Dunajcem. [przypis edytorski]

<sup>294</sup>Magura Spiska a. Pogórze Spiskie — mikroregion pomiędzy Doliną Białki na zachodzie a doliną Popradu na wschodzie, na pograniczu Polski i Słowacji. [przypis edytorski]

<sup>295</sup>Międzyrzecz Korecki a. Wielki Międzyrzecz — wieś na Ukrainie w rejonie korzeckim. [przypis edytorski]

<sup>296</sup>Thököly, Imre (1657–1705) — węgierski magnat, książę Siedmiogrodu, polityk, przywódca powstania przeciw Habsburgom. [przypis edytorski]

<sup>297</sup>Jan III Sobieski (1629–1696 w Wilanowie) — król Polski od 1674. [przypis edytorski]

wzmocnienia się. Dom nasz stał tuż przy sadzawkach, z których ta woda rozprowadzana jest po łazienkach. Jest ich kilka — dosyć obszerne i bijące źródłami. Mnie zajmowały najczęściej skamieniałe dokoła od wody trawy i rośliny; zajmowały mnie tym bardziej, że jeszcze w dzieciństwie słyszałem o takiej wodzie, która w kamień obraca wszystko, co w nią włożysz. O, jak nieraz pragnąłem dostać tej wody, aby utrwalić na zawsze kwiatek, który mi się podobał. Nie wiedziałem, że w tej operacji utraci największy swój wdzięk — barwę — i zostanie tylko kawałkiem wapna na kształt kwiatka. Dotknąłem teraz tego cudu i oto jeszcze jedno miłe złudzenie dzieciństwa uciekło przed rzeczywistością! Próbowałem pić tę wodę w mocnym pragnieniu, ale nie mogłem, tak znalazłem odrażającym smak jej słodkawą.

Kąpiele w czasie naszego pobytu były dość nieliczne. Zaludniły się raz szczególnie, ale szlachtą madziarską<sup>299</sup>, która tam sprawiła sobie łaźnię winem. Po raz to pierwszy widziałem tę szlachtę w jej naturze. Zdumiałem się nad jej podobieństwem do naszej — i to nie przez same tylko ogromne wąsy. Gdyby nie mowa obca, byłbym nieraz myślał, że jestem na naszym jarmarku, wśród mojej braci jarmarkującej<sup>300</sup>.

Oprócz wód wapiennych były w Drużbakach inne, ale wręcz im przeciwnie, bo zabijające. Od lat kilku zniknęły, zostały tylko po nich kotliny. Nie wiedząc o tym, naraziłem się raz na rzeczywiste niebezpieczeństwo. Miejsca te leżą nieco opodal od mieszkań. W jednej z moich przechadzek natrafiłem na dół, widzę w nim kilkoro dzieci z boku, przy nich zdechłe żaby i wróble. Zszedłem na spód, położyłem się przy jednej dziurze, poczułem jakiś zapach, dosyć nawet przyjemny. Przybliżyłem się ku dziurze, przytknąłem nos do niej i poznałem, że ten zapach stamtąd wychodził. Nie umiałem sobie zdać sprawy z tego, zastanawiały mnie tylko zdechłe żaby i wróble. Wróciwszy do domu, opowiadałem o moim odkryciu; przestraszyłem wszystkich. Dopiero teraz dowiaduję się, że te dziury są to otwory źródeł arsenikowych, a w pewnych porach dnia wybucha z nich tak silny wyziew, że zabija ptaki przelatujące blisko w tej chwili — co widziałem nieżywe, to zginęło tym sposobem. Kiedy jeszcze woda była w tym miejscu, jedna z kąpiących się zakonnica poszła tam nogi wymoczyć. Trafiała na porę wyziewu i padła trupem. Podziękowałem za ostrzeżenie, a zarazem miałem za złe tamtejszemu urzędowi, że nie obwaruje przystępu do podobnego miejsca.

Drużbaki będą mi jeszcze pamiętne z powodu burzy, którą tam widziałem. Nadeszła ona wieczorem, jak noc najczarniejsza, i całe niebo zaległa. Trwała godzin kilka. Mało podobnych burz widziałem, a i to na Ukrainie. Widok przerażający i zarazem okazały nie do opisanego. Użyłem go do woli, bo dom z jednej strony ma galerię krytą — tam się schowałem przed deszczem. Był to grzmot i błysk nieprzerwany, światło błyskawic tak silne, że jak w dzień widziałem góry najdalsze, drzewa na nich pojedyncze, wioski pod nimi, rozróżniałem kościół w wiosce. A wszystko wśród ulewy dawno niepamiętanej w tych stronach. Ogromne też szkody poniosła ta okolica. Wszystkie prawie zboża zostały wytłuczone i z ziemią zmieszane, wszystkie drogi poryte potokami. Widzieliśmy to sami, wracając po dniach kilku z Drużbak. Przedstawiano mi tę burzę jako słabą próbkę burzy w górach, która całe lasy wali, całe skały rozdziera swoim grzmotem i stacza w doliny.

Wyjechaliśmy z kąpiel ani słabsi, ani zdrowsi, jak przyjechaliśmy do nich. Mój czas przeszedł mi bardzo przyjemnie, a nade wszystko przybyło mi wyobrażenie o ziemi spiskiej i widok Łomnicy. Teraz jestem pewny, że ją widziałem.

## GÓRA KLUCZKI

Powracam z Kluczek, gdzie dopiero dzisiaj byłem po raz pierwszy, chociaż od dawna wybierałem się. Żałowałbym tej zwłoki — tyle pięknego ma to miejsce — gdyby mi jej nie wynagrodził z procentem dzień dzisiejszy, tyle w nim skorzystało moje uczucie głębsze. Wiem naprzód, że słowa pisane ani w części nie oddadzą tego, co bym pragnął oddać, ale... Tak jestem pełny tej chwili, tak mi potrzeba wylać moje uczucia w jakikolwiek sposób, tak wiele mi zależy, aby jakikolwiek ślad dotykalny został po niej, a przy tym noc

<sup>298</sup>kąpiele Drużbak — znajdują się tutaj znane źródła ciepłocowe (wapienne, szcawy alkaliczne i alkaliczno-żelaziste). [przypis edytorski]

<sup>299</sup>madziarski — węgierski. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>jarmarkować (daw.) — handlować na jarmarku. [przypis edytorski]

Szlachcic, Wino

Woda, Trucizna

Burza

Literat

miesięczna taka śliczna, taka cisza, taka swoboda w mojej pustelni, sen gdzieś jeszcze za górami — będę pisał.

Kluczki są jednym ze szczytów w paśmie północnym Łopusznej i najwznioślejszym w tej okolicy. Leży on w pasmie Łopusznej, około dwóch godzin drogi. Od kilku dni postanowiliśmy połączyć odwiedzenie tej góry z wiejską, rodzinną biesiadą na jej szczycie. Uskuteczniliśmy to dzisiaj. Towarzystwo nasze było liczne; cały dom zacnych gospodarzy — przy tym jeden ich krewny i jedna krewna — wyruszył na całodzienne koczowanie. A nade wszystko towarzystwo nasze było dobrane. Kobiety miłe, żywe i ładne, mężczyźni mili, żywi, dobrego serca, ukształconego umysłu. A ja?... Starłem się wynagrodzić, czego mi brakowało, miłością dla wszystkich i wdzięcznością za ich przychyłność dla mnie (niezasłużoną), a która mnie tylko rozrzewnia każdym swoim dowodem. Kobiety musiały jechać ze względu na dzieci i przewiezienie wszystkiego, co było konieczne do uczyty na Kluczkach. My, mężczyźni, woleliśmy iść pieszo. Dzień do takiej przechadzki niezły — pochmurno, ale za to nie cierpieliśmy z powodu upału, który w tej okolicy o tej porze bywa często nieznośny.

Droga nie bardzo wygodna, ale sposobna do jazdy wozem, a nade wszystko różnaita, miła nawet wdziękiem dzikim. Trzyma się najczęściej dolin i rozdołów, dlatego kręci się, brnie przez potoki, obchodzi szczyty leżące w jej kierunku, drapie się po stokach, znowu się spuszcza, odpoczywa niejako czasem w dolinie, którą znajdzie na wyżynach, i znowu wspina się pod górę. Myśmy się mniej pilnowali drogi, więcej nas zajmowało, co się z boku nastrocza. Zbaczaliśmy to w lasy, to na wzgórza. Czasem przez to przedłużaliśmy drogę, czasem prostowaliśmy. Minęliśmy wiele wzgórz, które nas coraz wyżej podnosiły. Zatrzymaliśmy się na Wyżniej, która mi się najczęściej w tym paśmie podoba. Przebrnęliśmy szczyt Cioski, powiadam: „przebrnęliśmy”, bo jest pokryty licznymi źródłkami i moczarami. Ostatni to szczyt przed Kluczkami i najwyższy po nim. Tu dopiero droga prawdziwie stroma po stoku Kluczek, niekiedy niebezpieczna dla wozu spuszczającego się z góry, zwłaszcza naładowanego. Tutaj Góral udaje się do swojego sposobu hamowania: uwiązuje z tyłu wozu ogromny konar albo i drzewo mniejsze z gałęzmi ponacinanymi i obróconymi końcem wyższym ku wozowi; gałęzie te, ryjąc w ziemi, zahaczając o kamienie, których tutejsze drogi są pełne. Tamują pęd wozu i ułatwiają koniom powolne schodzenie z góry. Przebyliśmy i tę drogę i oto jesteśmy na szczycie Kluczek.

Znaleźliśmy współtowarzyszki nasze krzątające się w szałasie około podwieczorku. Zostawiliśmy je z ich zatrudnieniem, a sami puściliśmy się na obejrzenie szczytu i widoków z niego dokoła.

Szczyt jest dosyć przestronny, w niektórych miejscach ocieniony drzewami, w największej części odkryty. Widok z niego na wszystkie strony przecudny — obszarem, który zajmuje, i bogactwem różnaitości. Można to pojąć, wyobraziwszy sobie wysokość, która nie ma równej w jednych promieniach na kilka mil, w innych na kilkanaście, a w innych Bóg wie jak daleko, gdzie granicą widnokregu jest granica siły ludzkiego oka. Taki kraj leżał przed nami, a raczej pod nami. Nie miałem jeszcze w moim życiu podobnego widoku. Brakowało tylko pogody zupełnej, jasnego powietrza, pożyty blasku słonecznego. Mimo to nie straciliśmy. W obrazie było więcej ruchu, więcej różnaitości życia.

Na południe mieliśmy Tatry. Grube chmury przewalały się po nich — to je całkiem zasłaniały, to odkrywały raz od spodu, drugi raz od wierzchu, to znowu niektóre szczyty, czasem pewne góry w całym ich ogromie. Nierzadko w niektórych miejscach blask słońca zaświecił. Ta walka chmur z pogodą, cienia ze światłem, ta ich gra ustawiczna na tych olbrzymich klawiszach była mi daleko miłsza jak nieruchomość, zadumanie gór pod jednotonnym światłem nieba wypogodzonego, powietrza drzemiącego. Nigdy też Tatry nie wydały mi się tak nęcące, nigdy tak wyniosłe. Wiele razy wystąpiły spod osłony obłoków...

Najbardziej ograniczony widok mieliśmy wzdłuż pasma wzgórz, które się przedłużały po prawej i lewej ręce. Najnowszy dla mnie leżał od północy. Cała ta przestrzeń, o ile bliższa oka, pokryta górami, lasami, dolinami, polami, przypominała mi morze, które w największym wzburzeniu swoim nagle znieruchomiło na wieki. Szeregi wzgórz wyobrażały mi fale jego. W oddaleniu coraz większym wszystko to się spłaszczało, przy-

Góra, Podróż

Droga

Przestrzeń



bierało pozór równiny, której granicą były dopiero Góry Świętokrzyskie<sup>301</sup>. Zwróciliśmy perspektywę<sup>302</sup> ku owej stronie i dostrzegliśmy Kraków. Świecił on jak biała plamka na ciemnym tle całej prawie tej przestrzeni. Nie wątpię, że z lepszą perspektywą, a może przy dniu zupełnie jasnym, bylibyśmy napotkali w niejednym miejscu naszą Wisłę — teraz odgadywaliśmy tylko jej bieg.

Żałowaliśmy tego chwilę, aleśmy zapominali o tym, czego widzieć nie możemy, dla tego, co leżało tuż pod naszym okiem. I nie leżało nieruchome. To stąd, to zowąd, od chwili do chwili, wymykały się obłoczki mgliste spomiędzy gór, z łona lasów. Jedne rozszerzają się, rozwieszają się po górach, inne zwijają się, staczają się na dół i oto wiatr powiał, a wszystkie te mgły wędrownie biorą jeden kierunek, dążą ku nam, przepływają pod naszymi nogami i nikną w dalszych górach, a na ich miejsce inne wchodzi.

Przez ten czas przygotowano podwieczorek i wezwano nas. Odbiliśmy tę biesiadę w szałasie przy ciepłym ognisku, bo niekiedy przykry chłód zawiewał, a jeszcze więcej przy ciepłym sercu, które się między sobą znały, rozumiały, kochały, nie miały nic do zatajenia przed sobą. Była więc swoboda, ochota, prawdziwa radość i wesołość. Było jeszcze dobre jedzenie i wino rzeźwiące. Zgoła nie zrobiliśmy krzywdy temu miejscu, które nieraz patrzy na ochotę uwijających się tam juhasów.

Po jedzeniu znalazłem sposobność zostać na chwilę sam. Jest to dla mnie konieczność po pewnym czasie, choćby wśród towarzystwa najmilszego, wśród zabawy najszczęśliwej. Oddzieliłem się niepostrzeżenie od moich współbiedniaków, z dala od szałasów usiadłem pod drzewem, ze spojrzeniem swobodnym na obraz namalowany duchem i siłą Najwyższego Twórcy. Sam teraz byłem. Swobodnie mogłem rozpatrzeć się, swobodnie zastanowić się nad tym, co widzę. Na com spojrzał, nowa myśl budziła się, każdy przedmiot był ostrogą dla myśli. Im dalej puszczałem oko, tym rzewniejsze, tym głębsze marzenia podnosiły się z duszy, prowadziły ją coraz, coraz dalej. W końcu oko ustało, tylko duch sam szedł i szedł po całym kraju. Zatrzymał się na ziemi rodzinnej, w miejscach dzieciństwa i młodości, obszedł towarzyszy niepowrotnej już drogi, pukał do przyjaciół, dotknął serc rodziny! A oniż to czują? Dlaczegoż by nie czuli? Ta przestrzeń materialna jest dla ciała — nie jest, nie może być przestrzenią dla ducha. Jestże duch słabszy od pioruna, powolniejszy od światła, mniej przenikliwy jak ciepło, jak elektryczność, mniej czuły jak magnetyzm? Nie! Duch jest wyższy nad to wszystko w tych wszystkich przymiotach; duch jest dzieckiem ducha bożego, jest jego obrazem i podobieństwem, ma cząstkę jego istoty, jego potęgi. Ale od niego zależy, aby go poczuć, ile razy zechce? Alboż nie ma ludzi, którzy nie czują ducha bożego? Gdzież jest człowiek, który by czuł go w każdej chwili? Ja sam ileż razy jestem w tej nieczułości? Mogę się dziwić, że mnie nie czują, kiedy jestem przy nich całym duchem? Szczęście to jednak wierzyć, że w tej chwili mój przyjaciel, mój brat, moja siostra zadumała się nade mną, lzy jej popłynęły na moje wspomnienie, pragnie mnie widzieć, wyrwa się do mnie, bo duch mój jest przy niej. Spostrzegłem obłok, który płynął dołem w moją stronę. Pragnąłem zobaczyć w nim posłańca z mojego kraju, odebrać jakąś wieść przez niego. Przepłynął obojętnie...

Niebo tymczasem zaczęło rozchmurzać się, powietrze się rozjaśniło, moje marzenia opadały powoli. Życie wracało do oka, okolica stanęła przede mną w nowym wdzięku i znowu widziałem tylko góry i lasy. Cały byłem w tym widoku, kiedy za mną głos niewieści zadzwonił. Obejrzałem się, spotkałem piękne oczy, zerwałem się spod mego drzewa, i... Żegnaj mi, piękny widoku! Bo człowiek jest królem tej przyrody całej, jest nad wszelką przyrodę. Ogrom Tatrów jest okazały, zdumiewający, ale czymże on jest obok wielkiego człowieka! Czymże jest kwiat najpiękniejszy obok kształtów pięknej kobiety! Mam ją obok siebie, z pięknym okiem, z sercem czystym, z duszą niepospolitą... I miałbym się w tej chwili zajmować widokiem, który bez człowieka jest tylko igraszką wzroku? A ja w tym jednym ciele widzę więcej wdzięków niż w najpiękniejszym kwiecie. Łechce mój wzrok barwa kwiatu, ale blask oka kobiety zapala serce miłością, porywa. Cóż, kiedy miłość otworzy ten kwiat zamknięty, jedno jej tchnienie, a Bóg wie, jakie by się skarby odkryły! Szkoda byłaby, piękny, żywy kwiecie, żebyś przeszedł ten świat nieotwarty, nierozwinięty! Wielka szkoda dla ludzi. Tyle miłości opromienia ciebie mimo

Duch, Dusza

Kobieta, Piękno, Miłość

<sup>301</sup> Góry Świętokrzyskie — niski łańcuch górski w płd.-wsch. Polsce. [przypis edytorski]

<sup>302</sup> perspektywa (daw.) — tu: luneta, lornetka. [przypis edytorski]

twej wiedzy, mimo twej woli, kiedy wszystkie twoje usiłowania są w tym, aby ją ukryć, aby ją stłumić. Cóż by to było, gdybyś jej dała całą swobodę!...

Wkrótce byliśmy wszyscy razem. Razem jeszcze obchodziliśmy górę i oglądali widoki. Zmierzchać już zaczęło, kiedyśmy się skierowali ku domowi. Powrót był nierównie miłszy niż podróż na górę. Wszyscy szliśmy pieszo, dzieci tylko wsadzono na bryczkę. Spuszczaliśmy się prawie ciągle z góry, nie czuliśmy więc żadnego znużenia. W połowie prawie drogi zaskoczyła nas już noc zupełna, ale księżyc czarodziejsko przyświecał. Góry oblane były jego światłem, skały je odbijały, błyszcząły przydrożne potoki jak lustra salo-  
nów, iskrzyły się zroszone łąki jak mleczna droga gwiazd niebieskich. A gdzie mieliśmy zarośle, tam krocie świętojanek<sup>303</sup> nam przyświecało — jedno nieruchome, w mroku gęstwiny, w kępkach trawy, inne skrzydlate, przemykały się przed nami, krążyły około nas jak latające gwiazdki. Nigdy nie zapomnę tego wieczora, tej przechadzki nocnej. Zakończyła ona godnie cały ten dzień, którego także nigdy nie zapomnę. Daj Boże więcej podobnych!

---

<sup>303</sup>świętojanka (gw.) — świetlik, robaczek świętojański. [przypis edytorski]

# WYPRAWA W GŁĄB TATRÓW

## LEŚNICZOSTWO<sup>304</sup> BUKOWIŃSKIE

Właśnie w tych dniach doniesiono nam, że śniegi od dwóch tygodni zginęły — ma się rozumieć w miejscach dostępniejszych, bliższych doliny. Postanowiliśmy nie zwlekać dłużej i wyprawic się w głąb Tatrów. Czekaliśmy tylko na ustalenie się pogody, która przez te ostatnich dni kilka często się zmieniała. Dziś ją znajdujemy pewną. Niebo wprowadzie chmurzy się, ale barometr idzie w górę. Nadto Górale miejscowi zaręczają, a na tym więcej można polegać jak na wskazówkach barometru.

Wyruszamy z Łopusznej o czwartej po południu. Towarzystwo samych mężczyzn — jest nas pięciu oprócz służącego. Odbywamy tę wędrowkę konno. Zaopatrzeni jesteście dobrze w perspektywy, w strzelby, a co najważniejsze — w żywność i wino. Każdy, obyczajem wojskowym rzymskim, dźwiga część tego zapasu w swojej torbie podróźnej. Zasób ten jest konieczny dla puszczającego się w góry. Prędzej puszczaj się bez broni niż bez żywności. Napad zbójców rzecz nadzwyczajna, ale głód bardzo rychło zajdzie drogę i schwyci cię za wnętrzności — skutek ruchu, powietrza i wody górskiej. Na karczmy nie rachuj, nie znajdziesz ich tak, jak w górach innych krajów; po części przez niedbalstwo krajowców, a w wielu miejscach z powodu niepokonanych przeszkód miejscowych. Latem drogi niepodobne do utrzymania, a zimą, i to ośmio- lub dziewięciomiesięczną, śniegi i mrozy, o jakich nie mamy wyobrażenia, skazują te miejsca na wieczną bezludność.

Mieliśmy przed sobą dwie drogi. Jedna, dalsza, przez Nowy Targ; jest ona bardzo wygodna dla powozów nawet, ale znacznie dalsza, a dla nas, wierzchowych, niekonieczna. Wzięliśmy więc drugą, mniejszą, ale najprostszą, przez wsie Nową Białą, Białkę<sup>305</sup> i Bukowinę<sup>306</sup>.

Okolo ósmej wieczorem stanęliśmy w leśniczostwie bukowińskim, zrobiwszy dwie mile drogi. Miejsca, które zamierzaliśmy widzieć, były przed nami jeszcze o trzy mile i więcej. Musielibyśmy nocować w górach, pod gołym niebem, na jakiejś polanie. Jakkolwiek nie mieliśmy wstępu do podobnego noclegu, rozważyliśmy jednak, że polany jeszcze niepokoszone, konie nasze nie miałyby żywności, a przy tym nie byliśmy zabezpieczeni przeciwko nocnemu chładowi, przeto woleliśmy spędzić noc w leśniczostwie.

Leśniczy<sup>307</sup>, znany moim towarzyszom, uprzejmy, ludzki, nie tylko że pierwszy poddał nam tę myśl, ale ofiarował się być naszym przewodnikiem, jako najbardziej świadomy tych miejsc przez swój urząd i kilkuletni tu pobyt.

Wszakże i tak dzisiejszy wieczór nie był dla mnie stracony. Leśniczostwo leży na samym już wejściu do Tatrów najwyższych, w miejscu bardzo wyniosłym, wesołym i pięknym. Pogoda, ustalająca się, spędziła z niebios i gór najmniejsze chmurki; pełny księżyc świecił całym blaskiem. Tatry stały tuż przede mną, w takiej bliskości, w jakiej nie widziałem ich jeszcze dotąd. Niedaleko szumiała Białka w głębokiej dolinie. Jednym słowem, wieczór ten przeszedł mi jak najmilej, dopóki sen nie nadszedł.

<sup>304</sup>leśniczostwo (daw.) — tu: leśniczówka. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>Białka — właśc. Białka Tatrzańska, wieś w województwie małopolskim, w powiecie tatrzańskim. [przypis edytorski]

<sup>306</sup>Bukowina — właśc. Bukowina Tatrzańska, wieś podhalańska w województwie małopolskim, w powiecie tatrzańskim. [przypis edytorski]

<sup>307</sup>leśniczy — prawdopodobnie chodzi o Franciszka Kleina, leśniczego bukowińskiego. [przypis edytorski]

## WOŁOSZYN<sup>308</sup>. ROZTOK<sup>309</sup> POTOK. SIKLAWA WODA<sup>310</sup>. WODOSPAD. PIĘCIOSTAWY JEZIORA. ŚWISTOWA GÓRA<sup>311</sup>. MORSKIE OKO

Ze wschodem słońca ruszyliśmy dalej drogą wygodną, przestronną, urządzoną i utrzymywaną kosztem właściciela tych okolic, p. Homolacza, która się poczyna od Nowego Targu, a przechodzi przez wsie Biały Dunajec<sup>312</sup> i Poronin<sup>313</sup>, leśnicostwo bukowińskie, aż do Morskiego Oka. Droga ta jest utrzymana, jak tylko być może najlepiej tam, gdzie jedna ulewa rozburza najmocniejsze kamienne dzieła.

Śliczny poranek spełnił przepowiednie wczorajszego wieczora. Pogoda na cały dzień pewna. Olbrzymia gromada nagich szczytów wydawała się jak skąpana w świetle i świeżości. Tylko groźniejsze od innych lodowce błyszczały wiecznym śniegiem.

Kto choć raz w życiu nie oddychał górskim, polskim powietrzem, kto go nie skosztował z przyprawą świeżości porannej, ten nigdy nie pojmie tej tajemniczej, błogosławionej władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, uczucia, na całą istotę człowieka. Zdaje się, że przyroda rozkochana we wdziękach Boga, weselsza tutaj niż gdzie indziej, swobodniejsza, udziela swojego szczęścia każdemu, co na równi z nią Boga czuć potrafi.

Jechałem w ciągłym zachwyceniu. Las świerkowy stale prawie towarzyszył naszej drodze. Niekiedy uchylał się, a wówczas witała nas z boku jakaś rozkoszna dolina, jakaś góra naga w swojej wysokości od stóp aż do szczytu. Czasem błysnęła Białka grająca wiecznym szumem, głuchym jak z przepaści. Tak minęliśmy Niebieską Dolinę<sup>314</sup>, polany: Głodową<sup>315</sup> i Klimkówkę<sup>316</sup>. Droga wciąż prawie spuszczała się ku dołowi. Naraz znaleźliśmy się na polanie zwanej Łysą<sup>317</sup> przy brzegu Białki, u stóp Wołoszyna. Dokoła jeżyły się Tatry, w niższej połowie świerkami ocienione, wyżej ciemne płaczącą się kosodrzewiną, a jeszcze wyżej nagie. Wstąpiłem tam do gmachu, do którego przez sen oddalenia tak długo tęskniłem!

Nagi Wołoszyn, zaledwie nędzną murawą i mchem przystrojony, z głową przyprószoną śniegiem, stał tu jak odźwierny.

Spojrzałem dokoła! Setne wąwozy rozbiegały się w różnych kierunkach, pomiędzy góry rozmaitego składu, rozmaitej formy i wysokości. Z każdego wybiegał potok i zapraszał do siebie, obiecywał przewodzić do tajemnic, których świadomość on sam tylko posiada. Ale lat potrzeba, żeby wszystko obejrzeć w tobie, olbrzymi grodzie przez samego Twórcę zbudowany! I poświęciłbym lata, przebłąkałbym lata wśród ciebie, gdyby to od mojej woli zależało!

Od Łysej Polany droga zwracała się nieznacznie ku zachodowi, wciąż nad Białką, wciąż pod skałami i lasami, gdzie jeszcze przed kilkoma laty było gniazdo zbójców. Przeszliśmy dolinę i potok Wołoszyn<sup>318</sup>, który jest jedną z wód zwanych cieplicami, bowiem w czasie najcięższej zimy nie zamarza. Około godziny dziesiątej zatrzymaliśmy się na posiłek. Kto się wybiera w góry, nie powinien zaniedbywać dobrego zapasu żywności. Trudno sobie wyobrazić, jak powietrze górskie i woda trawia dzielnie i budzą łaknienie. Miejsce, gdzieśmy popasali, była to mała równinka. Za Białką, na uboczu góry leżała polana Białowoda<sup>319</sup>. Na południe szła droga ku Morskiemu Oku, od zachodu mieliśmy Dolinę Roztok z potokiem o tej nazwie, który wypływa z Pięciu Stawów i wpada do Białki tuż przy naszych

<sup>308</sup> *Wołoszyn* — długi grzbiet w Tatrach, rozdzielający Dolinę Wąskmundzką od Doliny Roztoki. [przypis edytorski]

<sup>309</sup> *Roztok* — właśc. Roztoka, potok będący dopływem Białki, wypływający z Wielkiego Stawu w Dolinie Pięciu Stawów Polskich. [przypis edytorski]

<sup>310</sup> *Siklawa* a. *Wielka Siklawa* — wodospad w Tatrach Wysokich na potoku Roztoka. [przypis edytorski]

<sup>311</sup> *Świstowa Góra* — chodzi raczej o Świstową Czubę, zamykającą z jednej strony Świstówkę Roztocką (nie wielką dolinę, będącą boczną odnogą Doliny Roztoki). [przypis edytorski]

<sup>312</sup> *Biały Dunajec* — wieś w województwie małopolskim, w powiecie tatrzańskim. [przypis edytorski]

<sup>313</sup> *Poronin* — wieś w województwie małopolskim, w powiecie tatrzańskim. [przypis edytorski]

<sup>314</sup> *Niebieska Dolina* — dolinka w okolicy wsi Brzegi. [przypis edytorski]

<sup>315</sup> *Głodowa Polana* a. *Głodówka* — polana położona na Pogórzu Spisko-Gubałowskim. [przypis edytorski]

<sup>316</sup> *Klimkówka* — wieś w województwie małopolskim. [przypis edytorski]

<sup>317</sup> *Łysa Polana* — duża polana w Dolinie Białki, a zarazem niewielka osada, położona na terenie obecnego Tatrzańskiego Parku Narodowego. [przypis edytorski]

<sup>318</sup> *potok Wołoszyn* — właściwa nazwa to Potok Wąskmundzki. [przypis edytorski]

<sup>319</sup> *Białowoda* — właśc. Biała Woda, polana w Tatrach Wysokich. [przypis edytorski]

nogach. On właśnie miał nas prowadzić do swoich źródeł. Żadnej drogi w to miejsce — dolina wąska i głęboka na kilkaset sążni<sup>320</sup>, jej boki spadziste aż do samego potoku, łoża podnoszące się za każdym krokiem. Ścieżka, z początku zwłaszcza, nadzwyczaj stroma, bo ani się spostrzeżliśmy, że się znajdujemy na wysokości, na jakiej dotąd nie byłem — przy granicy już, która dzieli państwo świerków od państwa kosodrzewiny, w strefie wiecznych zjawisk najokropniejszej burzy letniej i zimowej. Około pół godziny drapaliśmy się pod górę wydającą się pagórkami kilkunastu kroków przy ogromie mas dokoła siedzących. Cała jej powierzchnia naszpikowana kamieniami, okryta grubą mchów powłoką, która żywi gęste krzewy borówek, najpiękniejszych truskawek i poziomek. Między szczelinami kamieni przyjmowały się jeszcze gęsto świerki. Z nagiego grzbietu, na któryśmy wyszli, pokazano nam na niezmiernej wysokości dwie dzikie kozy. Gołemu oku wydawały się one, na tle nagich głazów, jak dwie czerwone plamki; dopiero przy pomocy perspektywy rozpoznaliśmy, że się jedna pasła, a druga leżała. Nasz przewodnik z tego powodu opowiadał nam o polowaniu na to zwierzę. W tym np. miejscu, któreśmy przed oczyma mieli, strzelcy rozstawiają się w wiadomych sobie przesmykach, u podnóża góry lub na jej uboczach. Jeden idzie grzbietami i spuszcza ciągle kamienie. Kamień, niczym niezatrzymany z powodu nadzwyczajnej gór spadzistości, stacza się aż do dołu i płoszy kozy. Tak spłoszone uciekają i trafiają na strzelców. Patrząc na te góry, ledwo wierzyć można, żeby je kiedykolwiek ludzka stopa dotknęła. Strzelcy jednak biegają po nich jak po równinie, a to może dać wyobrażenie o nadzwyczajnej odwadze i zręczności Górali.

Polowanie

Jest jeszcze inny rodzaj polowania na kozy — pojedynczo. Strzelec, zaopatrzony w żywność na dni kilka, udaje się w góry, upatruje stanowisko, zazwyczaj w jakimś miejscu niedostępnym, przyczaja się w skalach i czeka na zwierzynę. Znając miejsca i obyczaje zwierza, najczęściej prędko go ujrzy. Zdarza się, że upragniona zdobycz jest gdzieś tam w przepaści pod jego nogami. Wtedy kładzie się na kamieniu, połową ciała wychylony nad przepaść, i w tej pozycji daje ognia do kozy. Do takich strzałów kul tylko używają.

Najprzykrzejsze, a nawet niebezpieczne położenie takiego strzelca, kiedy go w podobnym miejscu mgła zaskoczy. A mgły, zwłaszcza na Krywanii, są tak gęste, że człowiek wśród nich nog własnych widzieć nie może, i trwają czasem kilkadziesiąt godzin. Wtedy to przydaje się zapas żywności, bo nie pozostaje nic, jak tylko siedzieć w miejscu i czekać, aż się mgła usunie.

Odpocząwszy, spuściliśmy się znowu z góry ku wodom Roztoka i już odtąd wciąż pilnowaliśmy się jego tysiącznych wodospadów, podnosząc się coraz wyżej. Drogę tu mieliśmy cokolwiek wygodniejszą, chociaż głazy i drzewa postręcane przez wichry, deszcze i lawiny, także głębokie łożyska potoków, suche dzisiaj i zawałone niezmiernymi głazami, ale za pierwszą ulewą pełne i groźne jak potop, stawiały nam częste przeszkody. Za to kilkuset sążniowe ściany skaliste, obwieszane kosodrzewiną, liczne wody snujące się przez całą ich wysokość, opoki oblane wilgocią, błyszczące jak kryształ, i tysiąc innych obrazów, co krok rozmaitych, porywających samą swoją dzikością, śladami zniszczenia, wynagradzały nam wszelkie trudy.

Z miejsca, gdzieśmy wkraczali do strefy już kosodrzewiny, ujrzelśmy na koniec Siklawą Wodę. Jest to wodospad utworzony przez Roztok, a zdumiewający swoją wysokością i gwałtownością. Byliśmy od niego dalej jeszcze jak o godzinę drogi, a już nas głuchy jego szum doleciał i rwał oczy długi, kipiący bałwan, biały jak śnieg. Im więcej zbliżaliśmy się, tym szybciej chęci nasze leciały naprzód — ale nie nogi, bo przeprawa tym trudniejsza. Przeszliśmy po głazach huczący i zapieniony Roztok, aby odtąd iść prawym jego brzegiem. Przedarliśmy się przez gęstwy kosodrzewiny, odpoczywając po każdym kilkadziesiąciu krokach, tak stromo wciąż droga szła pod górę. Już sądziliśmy być u kresu — złudzenie! Do spodu Siklawej Wody niepodobna dojść, bo brzegi Roztoka utworzone tam ze szczyrych, prostopadłych opok; musimy piąć się wyżej. Krótka wprawdzie przeprawa, ale podobnie nużącej nie mieliśmy dotąd, bo po uboczach to skalistych, to omszonych, a zawsze mokrych i śliskich od wilgoci. Przebyliśmy wreszcie wszystko, dotarliśmy do śniegu wiecznie leżącego w cieniach skały jednolitej z opokami, po których przewala się Sikława Woda, i zgrzani, w półomdlali padliśmy nań dla ochłodzenia się. O sto może kroków od nas przewalał się, grzmiał wodospad i rosił nas swoimi mgłami. Przekrojony

Woda

<sup>320</sup>sążeń — dawna jednostka długości. [przypis edytorski]

przez sterczącą na wierzchu opokę, rzuca się on prostopadle dwoma pasmami kilkuna-stołokciowej szerokości. Jedno z nich w połowie spadu trafia na skałę wystającą, uderza w jej wyźłobienie i wytryskując z niego fontanną, z tymże pędem leci dalej. Rzut wody tak jest gwałtowny, że spadający z nią w to wyźłobienie kamień wylatuje z niego jak piłka na kilkanaście łokci w górę. Od spodu do wierzchu wodospadu można liczyć przy-najmniej 50 sążni. Lecząca woda, połamana, pokłębiona, wrząca, zdaje się być tylko pianą i brylantami. Rodzi się z niej wieczny deszczyk i oblewa pobliskie miejsca. W niektórych położeniach słońca zachwycający widok mają tu tworzyć liczne tęczce. Nam, będącym tu około godziny drugiej po południu, nie zdarzyło się nic podobnego widzieć. Dziwniej-sze jeszcze zjawisko ma wydawać zima. Ma to być przysionek z lodu, otaczający Sikla-wą Wodę. Niepodobna, jak mi mówili strzelcy i przewodnicy, wyobrazić sobie ogromu tej budowli, śmiałości tych kolumn i sklepień, piękności ozdób z lodu, rozsianych pod tysiącnymi kształtami — na pewno takie dzieło mgły, niewidocznej prawie, musi być nadzwyczajne.

Czas naglił, dziś jeszcze mieliśmy być przy Morskim Oku. Musiałem gwałt zadać oczom i upojonym uczuciom i pożegnać wodospad. Pięciostawy były teraz celem naszej podróży. Ta sama woda prowadziła mnie dalej, drogą równie trudzącą, po głazach i siatce kosodrzewiny. Sto kilkadziesiąt sążni przestrzeni pochyłej, a raczej zbocza, i to strome-go, po którym wśród zwaliska głazów szumi i huczy potok — także wodospad, ale nieco wolniejszy i węższy niż Sikława Woda — postawiły mnie w okolicy, do jakiej nic po-dobnego oczy moje dotąd nie widziały, a nawet wyobraźnia nigdy mi nie przedstawiła. Znalazłem się wśród pustyni skał, w całym znaczeniu tego wyrazu. Wylizyć mógłbym przedmioty, które zapelniały ten przestwór mil kilku. Pięć jezior — nad jednym z nich stałem. Gdzieniedzie nad wodą zarośle kosodrzewiny, kępa darniny, plamka mchu, kil-ka żółtych kwiatków jaskru, pliszka niby zabłąkana, poza tym pan tej całej dziedziny — kamień. Gdybym jednak był olbrzymem i chciał pustelnicze życie prowadzić, obrałbym bez wahania to miejsce na moją pieczarę, tyle znalazłem w nim uroku przy najdzikszej samotności.

Łańcuch gór podniebnych, gładkich, nagich, bez kosmyka trawy, w ogromne koło zamknięte zatoczony, jak kocioł. Dno jego ma trzy piętra. Najniższe zalane jest okrągłym jeziorem<sup>321</sup>, z którego wypływa potok tworzący Sikławą Wodę. Brzegi jeziora zazielenio-ne gdzieniedzie kosodrzewiną i trawą. Po lewej ręce, patrząc na południe, dwa mniejsze jeziorka<sup>322</sup>, jedno za drugim. Po prawej — trzecie<sup>323</sup>, także niewielkie, ale na podnie-sieniu już znaczniejszym, a czwarte<sup>324</sup> jeszcze wyższe. Wszystkie zaś związane wąskimi strumykami ze środkowym, najobszerniejszym. Kamienny, samotny szłaś nad jeziorem najwyższym, cisza grobowa tego olbrzymiego ustronia, echo Sikławej Wody krążące nie-przerwanym szumem po szczytach zamykających dolinę — oto kilka rysów głównych tego miejsca.

Upał i czystość wody nie do wypowiedzenia zachęciły mnie do kąpieli w jeziorze, nad którym znalazłem się. Chciałem też niby ochrzcić się jako dopuszczony już do tajemnic Tatrów. Kąpiel moja bardzo krótko trwała z powodu nadzwyczajnie zimnej wody.

Rozpatrzywszy się w okolicy Pięciu Stawów, bo na ich obejście nie mieliśmy czasu, i zjadłszy obiad, ruszyliśmy ku Morskiemu Oku. Była czwarta po południu. Kierunek nasz był na wschód. Najbliższe przejście<sup>325</sup> mieliśmy przez górę Mnichem<sup>326</sup> zwaną. U jej to podnóża, po stronie przeciwnej leży, Morskie Oko. Ale podobna przeprawa nie była dla nas wszystkich, samo wejście na owe skały nagie, prostopadle, już niejednemu z nas odejmowało ochotę doświadczyć siły swojej głowy i zręczności nóg. Postanowiliśmy więc okrążyć ten szczyt i to zboczenie nie odbyło się bez trudu i niebezpieczeństw.

Z początku doliną Pięciu Stawów szło nam jako tako. Nie było tam innych przeszkód, jak ogromne kotliny zawałone kamieniami, które niegdyś były niezawodnie jeziorami, jak

Góry, Droga

<sup>321</sup>okrągłe jezioro — zapewne chodzi o Wielki Staw. [przypis edytorski]

<sup>322</sup>dwa mniejsze jeziorka — zapewne chodzi o Mały Staw i Przedni Staw. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>trzecie — zapewne chodzi o Czarny Staw. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>czwarte — zapewne chodzi o Zadni Staw. [przypis edytorski]

<sup>325</sup>najbliższe przejście — chodzi zapewne o drogę przez Szpiglasową Przełęcz i Dolinę za Mnichem. [przypis edytorski]

<sup>326</sup>Mnich — skalny szczyt w polskich Tatrach Wysokich, na południowy zachód od Morskiego Oka. [przypis edytorski]

dziś Pięciostawy, ale w tej chwili zupełnie są wyschłe. Dopiero stanąwszy na uboczu gór wiszących nad Roztokiem, poznaliśmy, co to jest przeprawa przez podobne góry i zawrót głowy. Można to sobie wyobrazić w przybliżeniu, przedstawivszy sobie górę tak wysoką, że dolina Roztok, długa przynajmniej półtorej mili<sup>327</sup>, zdaje się nie mieć więcej jak kilkaset sążni, a przy tym górę gładką, prostopadłą niemal, i ścieżkę, równoległą do dna przepaści, po śliskich trawach, zaledwie poznaną śladami kóz i strzelców. Dla mnie była to chwila przypomnienia sobie rozkoszy niebezpieczeństw. Jest to jedno z tych miejsc, które mniej śmiali przebywają tym sposobem, że im zawiązują oczy i postępują, prowadzeni przez dwóch Górali, z których jeden idzie przodem, a drugi z tyłu.

Co do mnie, mogę pochlubić się, że sami Górale oddawali sprawiedliwość śmiałości i zręczności, jakie okazywałem podczas tej przeprawy. Byłem zawsze na przodzie i w znacznym oddaleniu od reszty towarzystwa. Ileż razy, chcąc wypocząć, nie mogłem inaczej, tylko oparłszy się o górę, której bokiem szedłem — takiej prostopadłości są te ściany — a wtedy pod nogami miałem przepaść, nad którą pode mną tylko orły krążyły.

Po takiej przeprawie dotarliśmy wreszcie do grzbietu Świstowej Góry. Z tej wysokości, w ogromnej pod nami głębi dojrzelśmy Morskie Oko. Wtedy poznaliśmy, jak znacznie wyżej leżą Pięciostawy.

Okolo szóstej stanęliśmy nad Morskim Okiem.

To miejsce, ze względu na jego przystępność z powodu wygodnej drogi (nie tej, którą myśmy szli), jest jednym z tych w Tatrach, które bardzo wielu zwiedza i podziwia, a nie jeden opisuje. Morskie Oko nie zrobiło na mnie wrażenia, jakiego się spodziewałem, niezawodnie dlatego, że już widział Pięciostawy. Mimo to zasługuje na to, co o nim mówią. Ma swoją piękność niepospolitą, a sobie tylko właściwą. Jest to wielka masa wody zamknięta w jeziorze okrągłym, którego powierzchnia zajmuje 70 morgów<sup>328</sup>, o brzegach tak rozległych, że człowieka stojącego na brzegu przeciwnym dojrzeć nie można. A w co na pierwszy rzut oka trudno uwierzyć, o tyle mniejsze wydaje się z powodu olbrzymich wysokości, które je dokoła otaczają. I my padliśmy ofiarą tego złudzenia, ale dwie próby sprostowały nasz sąd o nim. W nadziei, że się pędkiem dostaniemy na brzeg przeciwny, wsiedliśmy na stojący tam statek (rodzaj promu) i w pięć wioseł silnie pędziliśmy. Po pół godzinie okazało się z oddalenia brzegów, żeśmy jeszcze w połowie nie byli. Później strzelaliśmy kulami, ale te przy wszystkich swoich podskokach nie osiągały nigdy ani połowy jeziora.

Głębia Morskiego Oka jest niezmierną. Może nie jest bezzasadne twierdzenie, że jezioro to łączy się z morzem, że woda jego z morza przychodzi. Bądź co bądź, głębokość jeziora w pewnej odległości od brzegów dotąd nie jest docieczona.

Na środku Morskiego Oka jest wir wielki.

Ryby dają się tu widzieć, czasem nieznanego rodzaju. Opowiadał mi człowiek wiarygodny i miał na to świadków, że w roku zeszłym ukazała się im niedaleko brzegu ryba z głową nad wodę podniesioną, do kociej podobną. Górale także powiadają, że przed laty kilkunastu jakaś ryba, nieznaną im, porywała pijące owce, a szczególnie czarne. Pasterze zasadzili się ze strzelbą, dali do niej ognia, skoro się pokazała, i odtąd już jej nie widzieli.

Przezroczystość wody Morskiego Oka jest rzeczywiście więcej niż szklana. Przypomina to, co wiemy o przezroczystości wody północnych stron oceanu. Na dnie kilkunastostosazniowej głębokości widzisz najdrobniejsze prawie przedmioty — jak za szkłem.

Dwoma głównie przedmiotami godnymi widzenia odznacza się okolica Morskiego Oka. Pierwszym jest jezioro zwane Czarny Staw<sup>329</sup>. Leży na południowy wschód od Morskiego Oka, w obrębie tychże samych szczytów nadbrzeżnych, ale na podniesieniu wyższym mniej więcej o sto sążni. Jest to jakby ustęp w skałach Morskiego Oka, wodą wypełniony. Woda ta wylewa się potokiem w rodzaju wodospadu i spływa do Morskiego Oka.

<sup>327</sup> długa przynajmniej półtorej mili — w rzeczywistości trasa ta jest prawie o połowę krótsza. [przypis edytorski]

<sup>328</sup> morg a. morga (daw.) — dawna miara powierzchni; w rzeczywistości Morskie Oko jest nieco mniejsze. [przypis edytorski]

<sup>329</sup> Czarny Staw — właśc. Czarny Staw pod Rysami a. Czarny Staw nad Morskim Okiem, tatrzańskie jezioro w kotle polodowcowym w Dolinie Rybiego Potoku. [przypis edytorski]

Od południa znowu stoi góra skalista, Mnichem zwana. Ma ona w samej rzeczy podobieństwo do siedzącego zakonnika z odrzuconym kapturem, a dłuższe wpatrzenie się pozwala dokładnie rozpoznać twarz, brodę i inne części ludzkiej postawy.

Niewiele wód zewnętrznych zasila Morskie Oko. Oprócz wodospadu z Czarnego Stawu i potoku, który się spuszcza po przepaścistej skale ze strony zachodniej, innych wód nie dostrzegłem. Zdaje się, że główny zapas wody tego jeziora na dnie jego być musi, gdyż odpływ wody tworzącej Białkę<sup>330</sup> każe się domyślać obfitego jej przyływu.

Zajmującym także szczegółem tego miejsca jest echo — zwłaszcza wystrzału z ręcznej broni. Trwa ono minut kilka, jak grzmot największy, obchodzi dokoła jezioro i w chwili, kiedy głucho w jednym punkcie, odzywa się w drugim z tym większą siłą.

Gasnący dzień nakazywał pożegnać rozkoszną tę okolicę. Słoneczna luna błąkała się jeszcze po szczytach nadbrzeżnych, ale w dolinie Morskiego Oka zmrok już szarzał. Strzeliliśmy kilka razy na odjezdnym. Pożegnawszy się przez echo z okolicznymi górami, wsiedliśmy na konie czekające nas przy Morskim Oku i wróciliśmy do leśniczostwa tą samą drogą, która nas aż do Roztoku przyprowadziła.

Taka podróż nie może zaspokoić, rozdrażni tylko, w połowie odsłoni wdzięki gór. Pragnąłem ją powtórzyć, inaczej się stało — musiałem poprzestać na 13 sierpnia.

## KOŚCIELISKO. ŹRÓDŁO CZARNEGO DUNAJCA. SMERCZYN STAW, GÓRA ORNAK<sup>331</sup>

Jeszcze w maju puszczałem się był na zwiedzenie Doliny Kościeliskiej. Zdawało się, że w tym przynajmniej miejscu, jako leżącym wśród gór niższych i dostępniejszych, będę mógł złagodzić niecierpliwą dostania się do wnętrza Tatrów. Ale mój zamiar nie miał powodzenia: śnieg, deszcz i mgła witały mnie na przemian w Kościelisku. Zaledwie wyniosłem z owego czasu wspomnienie niższej części doliny i kilku szczytów, błyskających na przemian między chmurami. A tymczasem to miejsce uchodzi za jedno z najbardziej uroczych w Tatrach, z czym i ja się zgodziłem, o ile z pierwszego i krótkiego rzutu oka osądzić mogłem. Postanowiłem przeto zrobić powtórny wyprawę.

Droga z Nowego Targu do Kościeliska idzie przez wsie Szaflary, Biały Dunajec, Poronin i Zakopane, zawsze ponad wodą Białego Dunajca. Później rzuca się pod same góry w bujne świerkowe lasy i styka się z rzeką Czarnym Dunajcem przy samym jej wypływie z Kościeliskiej Doliny<sup>332</sup>. Droga ta, trzymilowa z górą, ubarwiona jest miłą różnobarwnością, szczególnie od Poronina. Dunajec szumił nam wciąż po ogromnych płytach, co mu dno wyścielały. Góry po obu stronach i łąki rozdołu, którym droga idzie, jaśniały świeżą zielonością jakby wśród wiosny. Po lasach gwizdała wilga i drozd uczył się pieśni słowika — jednym słowem, przebyliśmy tę drogę bez najmniejszej nudy. Naraz gościniec zbiegł na odkrytą dolinę i skręcił ku południowi. Spojrzałem przed siebie, na tę i na tamtą stronę pasma wysokich gór, świerkami okrytych. Tylko w jednym miejscu przerwa aż do dna doliny, na kilka sążni szeroka, po jednej i po drugiej stronie dwie ogromne skały, jak dwie kolumny w bramie<sup>333</sup>, a pomiędzy nich Czarny Dunajec<sup>334</sup> wypadł — to wjazd w Kościeliską Dolinę! Minąwszy wspomnianą bramę, ujrzelśmy się w rozkosznej, płaskiej dolinie<sup>335</sup> owalnego kształtu. Pokrywał ją kobierzec najświeższej darni, ocieniały dokoła góry i lasy, zdobne takim wdziękiem, że się zdawały być ulubieńszymi nad inne dziełem przyrody. Po prawej ręce szumił pod górami Dunajec. Gdzieniedzie pomiędzy gór lesistych wystawały nagie szczyty — jak wieże nad okazałym grodem. Droga wyprostowana, wysadzona drzewami, szła środkiem płaszczyzny i niknęła w wąwozie, który się zamykał dalekimi górami. Ta mała dolina to przedsiónek Kościeliska! Gdzie ona zwę-

Podróż, Droga, Rzeka

<sup>330</sup>odpływ wody tworzącej Białkę — w rzeczywistości tutaj wypływa Rybi Potok, Białka powstaje dopiero z połączenia Białej Wody z Rybim Potokiem. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>Ornak — masyw i szczyt w Tatrach Zachodnich. [przypis edytorski]

<sup>332</sup>rzeką Czarnym Dunajcem przy samym jej wypływie z Kościeliskiej Doliny — w rzeczywistości Czarny Dunajec powstaje z połączenia Potoku Kościeliskiego (Kirowej Wody), wypływającego z hali pod Pyszną, z Potokiem Chochołowskim (Siwą Wodą), płynącym spod Wołowca. [przypis edytorski]

<sup>333</sup>dwie kolumny w bramie — chodzi o tzw. Bramę Kantaka. [przypis edytorski]

<sup>334</sup>Czarny Dunajec — w rzeczywistości Potok Kościeliski. [przypis edytorski]

<sup>335</sup>płaska dolina — chodzi o polanę Kira Miętusia. [przypis edytorski]



za się<sup>336</sup>, tam się zaczyna właściwa Dolina Kościeliska. Hamernia i budowy należące do niej zapewniają początek doliny<sup>337</sup>. Jest tu także, oprócz wygodnej murowanej oberży, kilka domków, które gościnny tego miejsca właściciel, zmarły przed kilku laty Homolacz, przeznaczył jedynie dla ciekawych podróżujących.

Wieczorem 21 sierpnia przyjechaliśmy do Kościeliska, dlatego zwiedzanie jego rozpoczęliśmy dopiero nazajutrz. Nim przystąpię do ważniejszych szczegółów, powinienem dać wyobrażenie całej doliny. Długość jej ma wynosić półtorej mili. Dno tak wąskie, zwłaszcza w części najniższej, że między potokiem, który je przebiega, a górami bocznymi droga zaledwie się przeciska. Góry tworzące Kościeliską Dolinę są jedyne w swoim składzie, jedne z najpiękniejszych w rodzinie Tatrów. Pomiedzy nimi, po lewej ręce idąc w głąb doliny, są: Giewont, który oddziela Kościelisko od Zakopanego, i niższe szczyty: Miętuska<sup>338</sup>, Uplaz<sup>339</sup> itd. Po prawej Tomanowo<sup>340</sup>, Smytnia<sup>341</sup> itd. Ornak lub Pyszna<sup>342</sup>, ze śniegami na wierzchu, zamyka półkolistymi piersiami Dolinę Kościeliską od południa i odcina ją od Węgier. Zresztą każdy tu szczyt najmniejszy, jak i w całych Tatrach, ma swoją nazwę, ale tych i dowiedzieć się, i wyliczyć je trudno. Boki gór po większej części bardzo strome, w niższej strefie mają wiele różności — tu pięknym lasem porośłe, tu ze stromych skał nagich obwieszane drzewami, to rosnącymi, to powalonymi przez coroczne ulewy i wichry w rozmaitych położeniach, dalej usłane kosodrzewiną, a najwyżej nagie.

Ciekawy jest początek nazwy tej doliny. Podczas jakichś wojen w Polsce wojska nieprzyjacielskie zapędziły się aż w te strony. Górale udali, że się cofają przed większą liczbą, i tym ruchem wprowadzili nieprzyjaciół pomiędzy góry, po czym przeciąwszy im w ciasnym miejscach odwrót głazami i drzewami, spuszczanymi ze szczytów, co do jednego ich znieśli. Od mnóstwa nieprzyjacielskich kości ta dolina przewana została Kościelisko. Właściwie owa porażka miała mieć miejsce w dolinie leżącej pod Giewontem, przy drodze z Zakopanego do Kościeliska, a zwanej dziś Biały Potok<sup>343</sup>; zdają się potwierdzać tę wieść rozrzucone po niej kości ludzkie nie do zliczenia. Tę klęskę, według jednej opowieści, mieli ponieść Szwedzi, według innej — Tatarzy.

Nazajutrz przy pięknej i pewnej pogodzie, z zapasem żywności i wina, puściliśmy się na całodniową przechadzkę po dolinie.

Pierwsze stanowisko jest zaraz niedaleko hamerni przy źródłach Czarnego Dunajca<sup>344</sup>. Jedno z nich leży na małej płaszczynie pod Uplazem, w kształcie okrągłego zwierciadła, spokojne także jak powierzchnia zwierciadła, chociaż woda jego rozlewa się na dwie strony nadzwyczaj obficie i gwałtownie. O kilkaset kroków dalej bije drugie źródło, obfitsze, ciekawsze — już to przez położenie swoje, już przez podanie przywiązane do niego. Później obszerniej o nim powiem.

W południowej ścianie Uplazu znajduje się pieczara zbójców<sup>345</sup>. Aby dostać się do niej, trzeba okrążyć tę górę od północy, przebyć jej grzbiet i dopiero spuścić się cokolwiek na dół. Cała ta droga idzie gęstym lasem i tylko drzewa, poznaczone siekierą, są przewodnikiem. Pieczara wykuta jest ręką ludzką<sup>346</sup> w kształcie długiego korytarza. W ścianach ma otwory zastępujące okna, wewnątrz kamienne ławy, a na samym końcu źródło. Przed kilku laty znaleziono przy tym źródle kości ludzkie, nad podziw wielkie. Według opowieści góralskich miały to być szczątki sławnego przed laty zbójcy z Węgier,

<sup>336</sup>Gdzie ona zwęża się — tzw. Brama Kraszewskiego. [przypis edytorski]

<sup>337</sup>początek doliny — to znaczy Stare Kościelisko. [przypis edytorski]

<sup>338</sup>Miętusek — dawniej Miętuskie Góry, obecnie nazywane Czerwonymi Wierchami. [przypis edytorski]

<sup>339</sup>Uplaz — prawdopodobnie chodzi o Halę Uplaziąską. [przypis edytorski]

<sup>340</sup>Tomanowo — prawdopodobnie Tomanowa Polska albo Kominy Tylkowe (Kominiarski Wierch). [przypis edytorski]

<sup>341</sup>Smytnia — prawdopodobnie chodzi o Halę Smytnią. [przypis edytorski]

<sup>342</sup>Pyszna — prawdopodobnie chodzi o szczyty Błyszcz i Kamienista; cały ten opis wskazuje, że autor identyfikuje całkowicie Pyszną z Ornakiem, co nie jest do końca prawdą. [przypis edytorski]

<sup>343</sup>Biały Potok — właśc. Dolina Białego Potoku, stanowiąca zachodnią odnogę Doliny Jaworowej w słowackich Tatrach Wysokich. [przypis edytorski]

<sup>344</sup>źródła Czarnego Dunajca — jedno nazwano później Źródłem Goszczyńskiego. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>pieczara zbójców — chodzi zapewne o tzw. Okna Zbójnickie Niżne w skałach Organów. [przypis edytorski]

<sup>346</sup>Pieczara wykuta jest ręką ludzką — w rzeczywistości jest to naturalna grotta. [przypis edytorski]

Janoszyka<sup>347</sup>. Dostęp do pieczary bardzo stromy i zasłonięty gęstwiną drzew, ale widok z niej ogarnia całą dolinę i wszystkie góry południowe.

Wchodząc w głąb doliny, nad potokiem Pyszna<sup>348</sup> napotyka się ogromną skałę, którą lud zowie Sową<sup>349</sup>, dla jej podobieństwa z tym ptakiem.

Jeszcze dalej masz nad szczytami lasu wyraźny ze skał zamek, opatrzony wszystkimi prawie częściami murowanej warowni.

Odtąd dolina zmienia postać, rozszerza się i podnosi. Góry stoją rozłożyciej, parowy łagodniej są wyłobione i pokrewne gałęzie rozpuszczają po bokach. W tym już położeniu, na wysokim przedstopniu Pysznej, leży Smerczyn Staw. Obszerne to dosyć jezioro o ustronnym wdziałku. Otacza je przyroda żyjąca, ale szpeci dostęp, najeżony pniami zrąbanego lasu. Sama też woda nie ma czystości wód górskich, a brzegi bagniste utrudniają zbliżenie się do niej.

Całą tę drogę urozmaicają górnicze banie<sup>350</sup>, czyli miejsca, skąd się ruda żelazna bierze — dzisiaj zaniedbane, od czasu kiedy się odkryły obfitsze. Trafiliśmy także na dawne kopalnie srebra, które przed kilkunastu laty czy więcej woda zalała. Piękne bardzo maszyny mają się dotąd znajdować w głębiach wody.

Cokolwiek napotkaliśmy dotąd, było pod pewnym względem ciekawe, zajmujące, często piękne, ale my śpieszyliśmy do uciechy wyższej, do obejrzenia tego wszystkiego jednym rzutem oka, do skupienia tych wszystkich wrażeń w jednym uczuciu ogólnym, pełnym — śpieszyliśmy na szczyt Ornaku<sup>351</sup>. Obejrzawszy przeto mimochodem niejednym przedmiotem zajmujący, obok tego natrudziwszy się niemało i po niejednym spoczynku pod górą, dosięgliśmy nareszcie zamierzonego celu, upragnionego punktu.

Weszliśmy na Ornak<sup>352</sup> w tym właśnie miejscu, gdzie się stykały podstawami swoimi dwa jego szczyty — zachodni i wschodni — a na które, mówiąc nawiasem, nie mieliśmy ani chęci, ani nadziei dostać się dzisiaj, lubo z pozoru nie zdawały się być bardzo wysokie. Ale my wiedzieliśmy z doświadczenia, jak w górach ten pozór myli i ile kosztuje czasu i trudu podobna omyłka. Zaniechaliśmy tego tym chętniej, że wspomniany grzbiet góry (albo siodło, jak go tu zowią) pokazywałby nam ze swojej wysokości wszystko prawie, co z większej moglibyśmy widzieć.

Było to tylko trochę po południu. Powietrze było jasne, spokojne, skwarne; pragnienie dokuczało, ale przede wszystkim musieliśmy pokrzepić ciało wypoczynkiem. Skorzystaliśmy z tej konieczności i przez ten czas obejrzelśmy ogół okolicy.

Niepospolity to punkt, gdzieśmy się znajdowali. W tym właśnie miejscu przechodzi graniczna linia między Galicją a Węgry<sup>353</sup>. Kilka kroków, bo tak jest wąska płaszczyna tego grzbietu, rozdziela dwa narody, dwa klimaty. Od północy Dolina Kościeliska, uroczą różnorodnością i całym wdziałkiem wiosennej prawie świeżości; od południa także dolina, do Węgier już należąca, tej samej prawie długości, tegoż samego kształtu prawie, ale bez tych różnorodności, którymi pierwsza odznacza się — ani tych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin pobocznych, raczej jeden wąwóz długi, głęboki, jednotonnym lasem zarosły. Dolinę Kościeliską ubarwia młoda wiosna, w węgierskiej ślady dogorywającego lata. Po pierwszej błękitniejszej, żółciej, rumienia się najdorodniejsze, najwonniejsze kwiaty, w drugiej zaledwie gdzieś żółty jaskier. Tam porywa, odświeża oczy zieloność jak po ciepłych wiosennych deszczach, tu zwiędła już trawa i mech płowieją. Cały widok na Galicję rozmaitszy i ma więcej życia, na Węgry może rozleglejszy, ale bardziej pusty — tyle lasów, tyle płaszczyny bezludnej, przedgórza tak oddalone, że tylko rozległością swoją zastępuje inne powaby. Mimo to wszystko rozpatrywaliśmy się w nim nie bez za-

Góry, Przeźrzeń

<sup>347</sup>Janoszyk a. Janosik — legendarny tatrzański rozbójnik, bohater podań ludowych i licznych tekstów popkultury. [przypis edytorski]

<sup>348</sup>Pyszna — w rzeczywistości chodzi o Potok Kościeliski, autor w tej części dziennika popełnia liczne pomyłki, dotyczące geografii Tatr Zachodnich. [przypis edytorski]

<sup>349</sup>Sowa — skała ta znajduje się na prawo, idąc w głąb doliny, przed polaną o nazwie Pisana. [przypis edytorski]

<sup>350</sup>bania (daw.) — tu: kopalnia. [przypis edytorski]

<sup>351</sup>śpieszyliśmy na szczyt Ornaku — sądząc z opisu, raczej do Przełęczy Pysznińskiej, znajdującej się pomiędzy Kamienistą i Blyszczem w Tatrach Zachodnich. [przypis edytorski]

<sup>352</sup>Weszliśmy na Ornak — w rzeczywistości na Przełęcz Pysznińską; autor raczej nie był na Ornaku. [przypis edytorski]

<sup>353</sup>graniczna linia między Galicją a Węgry — rozstrzygający dowód, że Goszczyński nie był na Ornaku, bowiem granica ta nie przebiegała nigdy przez ten grzbiet. [przypis edytorski]

interesowania. Ochłodziliśmy się wodą z węgierskiego potoku, podjedliśmy i zesliśmy na powrót z góry.

Pod samym Ornakiem leży piękna polana z porządną bacówką. Owce właśnie zesły z gór na południowy spoczynek do koszar. Ujrzelśmy kilku pasterzy krzątających się około bacówki, wesliśmy do niej, aby napić się żętycy i kupić sery. Żętyca tu daleko lepsza i zdrowsza niż na przedgórzach leżących z tamtej strony nowotarskiej doliny, a przyczyna tego w bardziej balsamicznej paszy. Z pół godziny przepędziliśmy na rozmowie z pasterzami. Z wielu względów trzeba kochać i podziwiać tych ludzi. Co to za uroda w budowie! Co za życie i zręczność w każdym ruchu! Jaki rozum otwarty, jaki dowcip przytomny w rozmowie! Ogólny strój tamtejszych pasterzy jest następujący: koszula krótka, po pas tylko, usmażona w maśle, jedna na całe lato — to jest na cały czas, przez który trzody w górach się pasą. Spodnie sukienne białe, obcisłe, z czerwonym szwem na nogawicach i wyszywaniem na brzuchu, z węgierska. Ciżmy krótkie, przysnurowane rzemieniami do wysokości połowy łydek. Szeroki pas skórzany, za pasem z lewego boku nóż duży w pochwie skórzanej, przez plecy torba ze szpagatu, ładnie zrobiona, w kolorowe zygzaki, z ogromnymi u wierzchniej części frędzlami. Koszula pod szyją spięta wielką, mosiężną spinką, czasem w kształcie medalu, czasem obrazka z licznymi łańcuszkami dosyć długimi. Rękawy koszuli sfaldowane na ramionach, a fałdy te zbiera w kształcie guzika jakaś robótka z różnobarwnych paciorków. Na głowie kapelusik z wąskimi brzegami, okrągłym wierzchem, obwiązany amarantową wstążką i ozdobiony zieloną gałązką jakiegokolwiek drzewa. W ręku siekierka na długiej lasce, zwana wałaszka lub ciupaga, a w ustach mosiężna fajeczka na kilkucalowym cybuszku. Wszystkie te mosiężne ozdoby, jak spinki i także mosiężne fajki, wyrabiane są we wsi Zęb Suchy, niedaleko Kościeliska.

Między innymi rzeczami gadali nam juhasi o zbójcach. Zwykle gnieźdzą się oni na Węgrzech, a na tę stronę gór czasami tylko dochodzą. Właśnie przed kilkoma dniami juhasi, którzy nam to opowiadali, mieli u siebie w odwiedzinach czterech takich zbójców. Opisywali nam ich dosyć szczegółowo. Są oni uzbrojeni od stóp aż do głowy. Każdy z nich — oprócz siekierki, noża i pistoletów — ma jeszcze ze trzy rusznice<sup>354</sup>. Juhasom nie robią wiele złego, wybierają tylko z trzody kilka baranów, rzną je natychmiast, pieką, najadają się, resztę zabierają ze sobą i w końcu, przymówiwszy się o sery, odchodzą spokojnie. A Górale spokojnie ich puszczają. Z tego pokazuje się, że nie z Góralami wojnę prowadzą.

Około piątej po południu stanęliśmy z powrotem przy źródle Czarnego Dunajca, o którym już wyżej napomknąłem. W tej chwili nim głównie się zająłem. Wybucho ono wielkimi bałwanami, z wielkim szumem, z otworu pieczary znajdującej się u podnóża Uplazu. Naga, skalista ściana, dosyć wysoka, podnosi się dokoła otworu. Jest ona gościnną księgą dla zwiedzających Dolinę Kościeliską. Miękki jej kamień okryty jest napisami rozmaitego kształtu, rozmaitej mowy, rozmaitej treści, imionami i nazwiskami osób wszelkiej płci, wieku, stanu i narodowości. Jakiegokolwiek są one wagi, mnie zajmowało głównie źródło i pieczara<sup>355</sup>, z której biło. Zaostrzały moją ciekawość rozliczne o nich wieści. Jedni powiadali, że zwiedzano ją z pochodniami, że po długiej, trudnej i chłodnej podziemnej wędrówce dotarto nareszcie do ogromnej sali, ozdobnej kolumnami i sztukateriami<sup>356</sup> z kamienia tak jasnego, że przy blasku pochodni sala świeciła niby diamentowa; że pośrodku sali leży małe jezioro, właściwe źródło Dunajca. Odrąciwszy dodatki o podziemnych mostkach na podziemnym Dunajcu, wierzyłem w salę i zdobiące ją stalaktyty<sup>357</sup>. Inni utrzymywali, że tę salę wykuli górnicy, dobywający niegdyś w tym miejscu srebro — w tym podaniu nie mogłem dostrzec poetycznej strony. Niektórzy twierdzili, że tym podziemiem trzy dni i trzy noce iść trzeba, aby dojść do źródła, i że nawet w końcu tej wędrówki można się było zobaczyć na szczycie jakiejś góry — na to bym się nie odważył. Inni na koniec zapewniali, że szperanie po pieczarze oburzało ducha mającego tam swoje siedlisko, który w gniewie spuszczał na dolinę chmury i ulewę. Tym się nie trwożyłem i postanowiłem w ciemnym siedlisku ducha rozniecić ziemskie światło. Dziś jeszcze zamierzałem tego dopełnić. Opatrzony więc w potrzebne zapasy, czyli

Lud, Strój

Droga, Woda, Ciemność,  
Strach, Niebezpieczeństwo

<sup>354</sup>rusznica — dawna długolufowa broń palna. [przypis edytorski]

<sup>355</sup>pieczara — chodzi o Jaskinię pod Pisaną. [przypis edytorski]

<sup>356</sup>sztukateria — dekoracja ścienna, wykonana ze stiuku. [przypis edytorski]

<sup>357</sup>stalaktyt — rodzaj nacieku skalnego. [przypis edytorski]

świeczki woskowe, zapalki chemiczne, pulares<sup>358</sup> itp., wzięłem się natychmiast do dzieła. Zapaliłem świeczkę i wszedłem w groźny, bez przesady mówiąc, otwór. Kształt jego z początku foremny, sklepienie okrągło-wklęsłe, wysokość dorodnego człowieka — pod tym więc względem było mi wygodnie, ale niższa część ciała miała wiele do zniesienia. Woda nadzwyczajnie chłodna i gwałtowna, lubo z początku sięgała mało co wyżej nad kolana, parła mnie wciąż na powrót ku żyjącemu światu. Przy tym dno tak jest nierówne i śliskie, że co chwila byłem w obawie przed upadkiem i całkowitym skąpaniem się. W takiej walce z pędem wody nieraz już pochyliłem się i zamoczyłem po szyję prawie. Trzymałem się jednak, jak mogłem; chodziło mi najwięcej o światło, bez którego czułem, że byłoby mi źle w miejscu ciemnym, nieznanym i zalanym wodą rwącą. Mimo to, chociaż z trudem, postępowałem naprzód. Szum wody coraz bardziej głucho rozlegał się w podziemiu, ale dotąd szedłem w prostej linii i miałem jeszcze za towarzysza trochę blasku dziennego, zacierającego w otwór. Naraz pośliznąłem się, upadłem i świeca mi zgasła. Chciałem skorzystać z zapalek, na nic się nie przydały. Powietrze w podziemiu nasiąkłe wilgocią, a przy tym wietrzyk mały, skutek zapewne nadzwyczajnego pędu wody, zgasły mi każdy siarniczek<sup>359</sup>, tak że w końcu nie pozostawało mi, jak wycofać się. Zapaliwszy na nowo świecę przed otworem, puściłem się weni po raz wtóry, ostrożniejszy już i pewniejszy drogi, bom ją dwa razy przeszedł i poznał. Prędko dosięgłem kresu poprzedniej wyprawy. Świecę zasłaniałem, jak mogłem, wszakże jej światło coraz bardziej mdało. W zakręcie podziemia straciłem z oczu jego otwór, grube ciemności otoczyły mnie dokoła. Bałwany wody za każdym krokiem silniej uderzały i huczały głośniej. Stałem na chwilę — huk podziemny, daleki, mocniejszy od szumu tłukącej mnie po nogach fali, mieszanina tysiąca najsprzeczniejszych tonów, muzyka dzika, przeraźliwa, jakiej w życiu moim nie słyszałem, niby echo oddalonego piekła, ogłuszyły mnie naprawdę. Mimowolnie uległem groźnemu wrażeniu. Zdało mi się w tej chwili, że się otwierają tajniki ciemnego, duchowego świata, że postacie jego nieżywe zaczną przesuwać się przed okiem, jak poczęły już przelatywać po myślach. Spodziewałem się co chwila, że trup jakiś przepłynie koło mnie na falach, że jakiś potwór, nieznamy dotąd światu, objawi mi się przy konającym blasku mojej świeczki. Uwierzyłem na chwilę w nietykalność miejsc podobnych i tajemnic podañ ludowych. Szedłem jednak. Wkrótce pęd wody zwalnia, trafiam nogą na tram<sup>360</sup> kilkulokciowy, przyglądam się mu — obrobiony widocznie ręką ludzką. Co on tu robił, tego nie potrafię wytłumaczyć. Opierając się ręką o ścianę, trafiłem na wyźłobienie i znalazłem w nim kawałki szkła potłuczonego; musiał tu więc być człowiek. I oto ujrzałem się w próżnej przestrzeni, mającej obwodu kilkanaście kroków, ale ze sklepieniem tak niskim, że ledwie wyprostować się mogłem. Główny nurt szedł bokiem tego ustępu, woda zaś pokrywająca jego dno była spokojna i płytsza. Zboczyłem kilka kroków, wylazłem na kamień, aby zdrętwiałe od chłodu nogi przyszły cokolwiek do siebie. Ale świeca moja coraz widoczniej groziła zgaśnięciem. Nie zważając na to, powracam znowu na dawną drogę i przemykam się do korytarza, skąd bije nurt najmocniejszy. Wtem podmuch niespodziewanego wiatru gasi mi powtórnie światło. Jedna była droga dla mnie — ta, którą przyszedłem. Łatwo więc, chociaż po omacku, trafiłem na nią, trzymając się przy tym fali najgwałtowniejszej, i wróciłem na świat z przedsięwzięciem ponowienia wyprawy nazajutrz.

Ty razem puściłem się z latarnią. Wrażenie podziemnej zgrozy słabiej już na mnie działało. Większa świeca, dobrze szkłem osłonięta, pomogła mi jaśniej widzieć podziemie. Rozpatrywałem dłużej jaskinię, w której wczoraj odpoczywałem. Było to proste dzieło przyrody, ozdobione tylko kroplami zgęstniałej wilgoci. Posunąłem się dalej. Z początku zdawało mi się, że jaskinia rozgałęzia się w kilka uliczek. Obejrzałem każdą; niektóre nie miały długości więcej jak kilka łokci, inne obiegały tylko jakiś gład i łączyły się z głównym przejściem. Po tym jednym obiecywałem sobie piękne odkrycia, cieszyłem się naprzód radością, której doznam, stanąwszy w owej sali, która w podobnym miejscu musiałaby przedstawiać coś osobliwego. Ale sklepienie, wycięte pod kątem, coraz się bardziej zniżało i zwężało. Chyliłem się, dopóki tylko mogłem, przysiadłem, mimo poznałem wkrótce,

<sup>358</sup>pulares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

<sup>359</sup>siarniczek (daw.) — zapalka. [przypis edytorski]

<sup>360</sup>tram — dolna belka wiązania dachowego. [przypis edytorski]

że dalej nikt by posunąć się nie potrafił. Woda wybuchała wprawdzie z równą obfitością jak gwałtownością, ale już tylko ze szczeliny, i to tak ciasnej, żeby się przez nią żaden człowiek nie przecisnął, choćby miał odwagę pod wodą nurkować.

Tu zakończyłem podziemną moją podróż<sup>361</sup> i zaspokoilem ciekawość. Jakkolwiek nie trafiłem w niej na przedmioty nadzwyczajne, chcę jednak wierzyć, że śmielszy czy wytrwalszy, czy szczęśliwszy ode mnie potrafi głębiej się zapuścić i odkryć te dziwa, o których podanie zapewnia. Co do mnie, z tego, com dokonał, i z chwili przepędzonej w podziemiu źródła, pozostały tak żywe, tak miłe wspomnienia, że jeszcze chętnie bym powtórzył tę wyprawę i mam nadzieję, że bym wrócił nie bez zdobyczy — jeżeli nie dla oka, to dla uczuć i myśli. W niezwykłych tylko położeniach budzi się wewnętrzne życie człowieka.

## WIDOK Z CZORSZTYNA

Słońce spuszcza się z południa, niebo w pół wypogodzone. Przejrzysta śrężoga<sup>362</sup> obwiewa dolinę lekką zasłoną. Wierzchołek Babiej Góry dymi, jak przygasły wulkan, słupem obłoków rozplywających się nad jej czołem niczym pióra bujnej kity. Powódź chmur, wałąc od zachodu, pnie się jak do szturmów po niższych stopniach Tatrów ku najwyższym szczytom. Jedne znikają w białawych olbrzymich kłębach, inne, zalane na chwilę, wybijają się na wierzch. Podarte chmury spływają po nagich bokach olbrzymiej, skalistej twierdzy, ale nadchodzą nowe posiłki — szczyty, zwycięskie przed chwilą, toną w nawale następnej. Wkrótce chmurna chorągiew nawałnicy powiała, rozwinięta na najwyższych wieżach grodu niezmiernego. Wszystkie jego szczyty zniknęły w powodzi obłoków, a tryumfująca niepogoda zaległa, jak obozem, cały plac boju i w najniższych lasach rozbiła swoje namioty. W tym czasie dolina przypatruje się ze spokojnym obliczem całej tej walce. Blask żadnej błyskawicy nie razi jej spojrzenia, żaden grzmot nie dochodzi jej słuchu, chyba cień przelotnej chmurki przemknie niekiedy po jej oświetlonej płaszczyźnie. I owszem, przy tym ciemnym tle dalekiej burzy żywiej jaśnieje zieleń polan i złoto pół dojrzałym już zbożem okrytych. Zresztą wszystko spokojne, bezpieczne. Prostym gościńcem snują się grupy pracujących, roją się nimi zagrody wiejskie, ożywione nimi pola. Ale nad wszelki wdzięk tego obrazu najbardziej uroczy jest widok wód doliny. Nic nie zdoła wyobrazić tego blasku, co odznaczał Białkę w namiętym jej pędzie ku Dunajcowi przez ciągłą pochyłość, więcej niż milową, i spod zasłon śrężogi srebrem jej strzelał.

O, jak ja wam zazdrozczę w tej chwili, góry, lasy, co z wyżyn waszych patrzycie zawsze na tę krainę. Dla was żadne jej zjawisko nie jest stracone. O, jak pragnę niemal zamienić się w cokolwiek równie jak wy trwałego, byle mi pozostawiono to uczucie, które mnie dzisiaj ożywia, to szczęście, którego w tej chwili doznaję.

Zazdrościłem drzewom, skałom, a dla gruzów Czorsztyna powziąłem tym większe uszanowanie. Z uwielbieniem myślałem o jego założycielach<sup>363</sup>. W natchnieniu wyższym musiał być ów człowiek, co pierwszy odgadł to miejsce i pierwszy na tych skałach zakreślił posadę Czorsztyna; wzniosła musiała być dusza, co tu pierwsza zamieszkała! Czemuż tego o współczesnych powiedzieć nie mogę? A nie mogę, kiedy spojrzawszy dokoła siebie, widzę, jakby na urągowisko przeszłości tego miejsca, rozsądzone po gruzach niedźwiedzie z drzewa. Ma to być pomysł dzisiejszego ich właściciela<sup>364</sup>.

## SZLACHTA SADECKA

Niedźwiedzie drewniane czorsztyńskiego zamczyska zatrzymały moją myśl na szlachcie sądeckiej. Nie mogę jej pominąć w milczeniu. Stanowi ona ważną część ludności miejscowej, nie tyle przez swoją ilość, co przez jakość. Nic o niej nie powiedzieć — byłoby to zostawić w obrazie miejsce niezamalowane. Zasługuje ona na wzmiankę tym bardziej, że ma w rzeczy samej niektóre cechy sobie tylko właściwe, a odróżniające ją od szlachty

<sup>361</sup> *Tu zakończyłem podziemną moją podróż* — komora, do której dotarł autor, została nazwana Komorą Goszczyńskiego. [przypis edytorski]

<sup>362</sup> *śrężoga* (daw.) — mgła. [przypis edytorski]

<sup>363</sup> *jego założyciele* — nieznane są początki zamku w Czorsztynie; pierwsza wzmianka o nim z 1246 r. wskazuje jako właściciela Piotra Wýdżę, szlachcica z ziemi krakowskiej, kasztelana sądeckiego i krzyżowca. [przypis edytorski]

<sup>364</sup> *dzisiejszy ich właściciel* — chodzi o Jana Maksymiliana Drohojowskiego (1778–1851), członka Stanów Galicyjskich. [przypis edytorski]

innych obwodów galicyjskich — stanowi wybitny odcień w całości zwanej szlachtą. Rys ten nie będzie może najpowabniejszy, ale jest konieczny.

Nie cenię lekko, nie sędzę lekko naszych braci, nie uważam ich za gorszych między innymi, nie podzielał tonu, w jakim bardziej cywilizowana niby szlachta galicyjska przemawia o szlachcie sądeckiej. Szlachta sądecka ma swoją słabą stronę, bo jest szlachtą tak pijącą, że i galicyjska na więcej by się nie zdobyła.

Wszystko to uszłoby za mniejsze grzechy w oczach ludzi wyrozumiałych, dałoby się złagodzić to tym, to owym, gdyby szlachta sądecka pilnowała się drogi ojców dobrej w rzeczach główniejszych dla człowieka, gdyby okazywała się bardziej braterska w pozycji z bliższymi sobie w swojej sferze wiejskiej, gdyby mocniej usiłowała trzymać w tym kółku ton jedności, zgody, obyczajów prostych, ale czystych, właściwszych człowiekowi jak zwierzęciu, miłości rozlewającej się raczej na zewnątrz niż ściągającej wszystko ku sobie i w sobie wszystko pochłaniającej; gdyby mniej zapominała, że jest ważną gałęzią społeczności chrześcijańskiej, nie pogańskiej, że ma ważne obowiązki i powinności do pełnienia, że jeżeli są biedy, na które musi czasem skarżyć, to wszystkie płyną z jednego, głównego źródła dla każdego człowieka — z niego samego, ile razy nie robi, co Pan Bóg przykazuje; gdyby jasno zobaczyła to prawo konieczne — złe rośnie w gorsze, a gorsze w jeszcze gorsze; gdyby... Ale tyle jest owych „gdyby” do polecenia, że muszę się zatrzymać i zostawić resztę rozwadze tego, komu na tym zależy. Najlepiej będzie, kiedy każdy sam przed sobą mnie zastąpi. Zdaję chętnie tę pracę na moich braci, nawet nie-Sądeczian. Może już i tak zanadto rozgadałem się i wpadam w podejrzenie, że chcę uczyć mędrszych ode mnie. Uchowaj mnie Boże od tego. Co powiedziałem, to głównie między innymi dlatego, że czuję, o ile ta ziemia, te góry byłyby piękniejsze, gdyby ludzie stali się piękniejsi i swoją pracą dopełnili dzieła bożego w tej stronie.

## ŚWIAT ZWIERZĘCY W GÓRACH

Surowość zimy i klimatu sprawia, że ludność zwierzęca<sup>365</sup> w górach nie jest ani tak liczna, ani tak rozmaita jak w innych okolicach naszego kraju. Ptaki i zwierzęta silniejszej tylko organizacji mogą być stałymi mieszkańcami tej strony. Słowik tu rzadki, za to pełno olbrzymich orłów, sępów i puchaczy. Mniejsze rody są wędrowne — do takich należą kwiczoły, które podczas lata chmarami przelatują się po górach. Wiadomo, że ulubionym ich pokarmem jest jałowiec, a ten krzew znajduje się tu w znacznej ilości. Nie są jednak puste i głuche pod tym względem góry. Można w ich lasach słyszeć wszystkie głosy ptaków znajome nam gdzie indziej. W porze zwłaszcza letniej i ptactwo zdaje się wysyłać tutaj ciekawych swoich wędrowców.

Zwierzęta, Ptak

Ze zwierząt celuje tu nad wszystkie koza skalna. Jest to najwłaściwszy mieszkaniec gór i wielka ich ozdoba. Bez nich nie byłoby strzelectwa góralskiego, a góry straciłyby wielką część swojego życia. Sarny także są dosyć powszechne. Do ogromniejszych i dzikszych należy niedźwiedź, który tu nie jest rzadki. Wiele także wilków i lisów.

Wody górskie swoją bystrością nadzwyczajną, swoimi wezbraniami, nie sprzyjają takiej obfitości ryb, jaką znajdujemy w wodach równin. Mają za to rodzaje właściwe sobie — między tymi celują pstrągi i lososie. Od dawna sławne były i są dotąd lososie dunajeckie, do tej sławy Dunajec dotąd ma prawo. Nie wiem, czy lososie znajdują się w innych wodach karpackich. To pewne, że ich połów najznaczniejszy jest w Dunajcu, a co więcej, że co do smaku przyznawano im pierwszeństwo.

Mieszkańcy utrzymują, że losoś przybywa z morza Wisłą<sup>366</sup>. Dlaczego Dunajec tak mu ulubiony nad inne rzeki łączące się z Wisłą, o to mniejsza. Ciekawszy jest instynkt tej ryby, który ją prowadzi zawsze przeciw pędowi wody. Jest w niej jakaś miłość walki, stąd też obdarzona jest niepospolitą sprężystością — jest ona prawdziwie zadziwiająca. Napotyka się czasem lososia w potoku głębokich już gór, gdzie nie może dojść inaczej, tylko kaskadami, a więc skokami z dołu w górę, nieraz kilkulokciowymi. Zdaje się, że je przebywa w czasie wezbrań, kiedy woda obfitsza, walczy więc z wysokością i pędem spadającej wody. Miejsca, gdzie znajdują się lososie, mają niekiedy zaledwie kilka kroków przestrzeni pokrytej wodą, którą zatrzymuje naturalna przeszkoda ze skały, a są tak

<sup>365</sup> *ludność zwierzęca* — poetyckie określenie fauny, dla odróżnienia jej od flory. [przypis edytorski]

<sup>366</sup> *Mieszkańcy utrzymują, że losoś przybywa z morza Wisłą* — to prawdziwa informacja. [przypis edytorski]

plytkie, że rybak ręką bierze lososia. Taki połów jest prawdziwą walką człowieka z rybą, potrzeba niemałej siły, aby ją pokonać. Połów ten bywa czasem niebezpieczny. Zdarzało się, że losos złapany i włożony za pazuchę, obwijał się wkoło piersi i ścisnął tak silnie człowieka, że gdyby nie prędko ratunek obecnych, byłby go udusił. Podhalanie uważają pstrągi za młode lososie.

Wierzenia, Zabobony

Nie mogłem skierować mojej większej uwagi do tej sfery stworzenia w górach, żałuję tego bardzo. Jest to godne głębszego zbadania i pewno znajdzie się, kto mnie w tym dopełni. Ja poprzestaję na tym słowie ogólnym. Nie mogę wszakże pominąć w milczeniu plagi tutejszych lasów. Są to czerwone robaczki, ledwo dojrzone, z rodzaju robaków toczących drzewa. Ale ich działanie jest na wielką skalę. Od razu zajmują linię milowej długości i tak się posuwają, a ślad ich przejścia widzisz tylko po czarnych, uschłych lasach. Jest to rodzaj choroby, rodzaj zarazy lasów, w której może leży rozwiązanie zagadki morów<sup>367</sup> tępiących ludzki rodzaj.

Las, Choroba

## Z TURNISK. GŁĘBIA TATRÓW

W tych dniach wypada mi znowu droga w Tarnowskie. Może tu nieprędko wrócę, a może i nie wrócę. Nie tracę więc ani jednego dnia, ani jednej chwili. Oglądam, czegom jeszcze nie widział, odwiedzam, com już poznał, zwracam na wszystkie strony oko, ucho i uwagę. Dusza moja nie zamyka się, wciąż daje się lub przyjmuje. Gromadzę w jej skarbcu wszystko, co mi się nastrocza, a co się da opisać, zapisuję. Pragnę zatrzymać, utrwalić tę chwilę tak ważną dla mnie, pragnąłbym podzielić się ze wszystkimi wszystkim, co jej winien jestem, pragnąłbym zdobyć się na jakąś pamiątkę po niej, po tych miejscach, po życiu, którem tu przepędził, na owoce z tyłu uczuć, wzruszeń, natchnień, przez które tu przeszedłem, które tu odebrałem. Zacząłem już to dzieło<sup>368</sup>, pracowałem nad nim cokolwiek. Mam ideę główną, mam główną osnowę, zbieram szczegóły. A im dalej zapuszczam się w pracę, tym więcej odkrywam bogactw, tym bardziej blask mnie ich olśniewa. Do niektórych dotarłem, inne dopiero przeczuwam. Leżą przed okiem ducha jak te skarby w powieściach góralskich — trzeba warunków tajemniczych, trzeba jakiejś władzy tajemniczej, ażeby je posiadać. Nade wszystko czuję, że mi potrzeba tego życia widomego i niewidomego, które tu panuje; tym życiem chcę się cały przejąć, przesiąknąć. W tym kierunku zwracam wszystkie moje zatrudnienia przez te dni kilka, pozostających do wyjazdu. Mój trud nie jest bezpłodny, mam to przekonanie. Wiele rzeczy wyjaśniłem sobie jako pisarz, natrafiłem na wiele prawd sztuki. Zostaną one dla mnie prawidłami, karami mojej drogi pisarskiej. Polegam na nich tym śmieiej, że nie biorę ich z książek, natężeniem zimnego rozumu — podało mi je życie otaczające mnie tutaj, przyjąłem je ożywiony, rozgrzany uczuciem, miłością, i odtąd coraz mi ich więcej przybywa. Ująłem już w słowa, co mogłem ująć. Ale to na później. Jest to mój skarb wewnętrzny, dla mnie najcenniejszy. Zwracam się do tego, co może być dla wszystkich.

Dusza, Poezja, Literat

Jeden żal nienagrodzony przyjdzie mi stąd wynieść — ten, że tak mało poznałem głębię Tatrów. Dziś niepodobna już myśleć o jej zwiedzeniu. Podróż ta wymaga tyle pomocy, że jest nad moje środki. Pora spóźniona otacza ją także trudnościami coraz większymi. Lada dzień mogą spaść śniegi i zasypać wszystkie przejścia w głębi gór, może już nawet spadły. Nie pozostaje mi, jak myślał pobłąkać się po nich. Leżę więc na mojej skale i położywszy oko na zewnętrznym murze Tatrów, jak kotwicę na dnie morza, przebiegam myślą, jak lekkim czółenkiem, dziwy ich wnętrza.

W istocie opowiadają mi dziwy o tych miejscach. Wszystko, co widziałem, nie daje wyobrażenia o tym, co najgłębsze Tatry zamykają w sobie. Tak mnie zapewniają i wierzę temu łatwo, sądząc z tego, co słyszę. Ten północny bok Tatrów, widziany z Galicji, i południowy, od strony Węgier, jest tylko ogrodzeniem Tatrów najwłaściwszych. Można je stąd odgadywać jedynie po niektórych lodowatych szczytach, wyższych nad inne, ale większa ich liczba ukryta jest przed spojrzzeniami z zewnątrz. Prawdziwe lodowce korzenią się i rosną dopiero w głębi Tatrów. I tam dopiero jest istotna dziedzina wiecznej zimy i wiecznego mrozu. Tam jeziora nieodmarzające nigdy, doliny milowe, usłane wiecznym lodem i otoczone ścianami z wiecznego lodu. Tam zobaczysz nad potokiem most z wyzie-

<sup>367</sup>mór (daw.) — choroba zakaźna, zaraza. [przypis edytorski]

<sup>368</sup>to dzieło — chodzi zapewne o nieukończony poemat *Kościelisko*. [przypis edytorski]

wów w lód zamienionych, zawieszony na przerażającej głębokości. A cisza taka, że kiedy pod ciepłem słońca lód się rozgrzeje i ścieka kroplami w tę przepaść, słyszysz pluśnięcie każdej kropli, co spada. Najdziwniejszą sprzeczność pośród tej martwoty mają tworzyć lasy, leżące gdzieniegdzie między lodowcami. Są one zwykle w dolinach nadzwyczajnej głębokości, a cień ich gęsty nie różni się od czarnej nocy. Rzecz szczególna, że w tych lasach przechowują się zwierzęta, które same tylko gwizdaniem swoim ożywiają tę ciszę jakby podziemną. Niektórzy myślą, że to są bobaki<sup>369</sup>. Przystępy do tych lasów są niepokonanych prawie trudności dla nie-Górali i nie-strzelców. Staje ci nieraz na drodze skała z przepaściami po obu stronach, a grzbietem tak ostrym, że nie ma dosyć miejsca na stopę ludzką, i nie można jej przebyć inaczej, tylko przesuając się po niej okrakiem. Wyobraź sobie nadto, że taki grzbiet ciągnie się przez kilkadziesiąt sążni.

Góry, Zwierzę

Kilka rysów podobnych pozwala widzieć, choć w małej cząsteczce, czym jest wnętrze Tatrów i że do zwiedzenia jego nie dosyć mieć chęć i odwagę. Oprócz koniecznej wprawy potrzeba jeszcze przygotować się na mrozy, burze, mgły jak noc ciemne, lawiny nieuniknione oraz inne przykrości i niebezpieczeństwa przywiązane do miejsc podobnych. Wszakże powiem prawdę, że nie zważałbym na to wszystko, gdyby mi nie zawadzały trudności innego rodzaju<sup>370</sup>, a mniej łatwe do pokonania.

## ZAMCZYSKO CZORSZTYŃSKIE

Nad spodziewanie moje wracam jeszcze w góry. Witam je z gruzów Czorsztyna. Mój nocleg niedaleki, mam czasu dosyć. Obracam go na bliższe poznanie się z gruzami. Chcę dłużej cokolwiek pomówić z nimi o ich przeszłości.

Zamek, Ruiny

Jedno z miejsc najbardziej interesujących w dziejach Polski, pomnik czasów Kazimierza Wielkiego<sup>371</sup>, mieszkanie Czarnego Zawiszy<sup>372</sup>, a dzisiaj rozsypujący się kościotrup — Czorsztyń! Dwie godziny przepłynęły koło mnie i gruzów jego, nim żeśmy się z naszym smutkiem obopólnym rozmówili ze sobą. Jak o przyjacielu, którego widocznej zgubie zapobiec nie zdołamy, smutne o nim moje myśli. Jeszcze przed kilkadziesiątu laty stał cały. Znałem człowieka, który biesiadował w jego salach. Dzisiaj rozwalinami tylko przyręca, dzikim powabem owego ciała, któremu śmierć łaskawa zostawia niekiedy na dni kilka ciepło i barwę życia. Słońce zakryte chmurami nie urąga wesołym blaskiem rozwieszonemu tutaj całunowi zniszczenia. Mżący deszczyk wisi pełnymi kroplami na trawach i drzewkach, utulonych między zwaliskami. Czasem polne ptaszyny, osłonięte resztkami gzymsów, porozumieją się się urwanym szczebiotaniem niby krótkim psalmem pośmiertnym, a wiatr wędrowny obejdzie wnętrze pustki, dorzuci kamyk na mogiłę gruzów, zawyje westchnieniem i polecą dalej. A ja droższej dopełnię powinności, w obrazie zwłok wielkich złożę im cześć pogrzebową.

Wyniosła i stroma góra, panująca z jednej strony nad szczytami nowotarskiej doliny, z przeciwnej zaczynająca pasmo wzgórz zakończone skałami Pienin — oto osada Czorsztyna. Sam gmach stoi na południowym jej boku, podnoszącym się od płaskiego błonia prostopadle, nago, jak mur z jednolitej, różowej skały. Ściana zamku z tej strony jest jakby dalszym wyprowadzeniem skały. Żaden śmiertelnik nie mógłby tędy ani wyjść, ani się spuścić. Sam widok kilkadziesiąciosążniowej przepaści głowę zawraca, a jednak trudno nie patrzeć. Dno głębiny wyściela piękne, zielone błonie. Po nim rozrzucona wieś tejże co i zamek nazwy. Po nim snuje się widoczny w oddali Dunajec, a na jego drugim brzegu Węgry ze swoimi górami w świeże lasy ubranymi i z pięknym, nienaruszonym zamkiem, Niedzicą, ale już nie tak śmiało, nie tak okazałe zbudowanym jak Czorsztyń. Wschodnia część góry, o kilkaset kroków od zamku, najeżona jest ostrymi, nagimi wzgórzami z wapiennego kamienia, które okrywają zarośla z jałowców i świerków. Łączy się z nimi szereg wapiennych także opok, obiegających jednym prawie ciągiem górę zamkową

<sup>369</sup>*bobak* — właśc. świstak (bobak jest z nim spokrewniony), gryzoń żyjący w wysokich górach. [przypis edytorski]

<sup>370</sup>*trudności innego rodzaju* — autor ma zapewne na myśli swoją niełatwą sytuację materialną i podejrzaną w oczach ówczesnych władz status polityczny. [przypis edytorski]

<sup>371</sup>*Kazimierz Wielki a. Kazimierz III Wielki* (1310–1370) — ostatni król Polski z dynastii Piastów, założyciel warowni w Czorsztynie. [przypis edytorski]

<sup>372</sup>*Zawisza Czarny* (ok. 1370–1428) — polski rycerz, starosta spiski, jeden z właścicieli zamku w Czorsztynie. [przypis edytorski]



ze strony północnej i zachodniej, aż do samej wody Dunajca. Gdzie indziej trudno coś podobnego widzieć — ów szereg nagich, wysokich, przepaścistych opok tworzy linię tak warowną, samorodną, że sam jej widok nasuwa mimowolnie myśl o czarodziejstwie, wspierającym założycieli Czorsztyna. Niższe skały miejsca dopełnione są murem. Pomiędzy górą zamku a wspomnianymi skałami jest głęboki rozdół; część jego, obwarowana murem poprowadzonym od wschodniej i zachodniej ściany zamku aż do owego pasma wapiennych wzgórz, tworzyła dziedziniec zamkowy.

Z dzisiejszego stanu gruzów trudno mieć dokładne wyobrażenie o szczegółach wewnętrzznego rozrządzenia budowli. W zachodniej ścianie zamku wyraźny wprawdzie ślad zamurowanej bramy, ale wjazd do niej tak stromy, że nie można nawet pojąć, jak by tam zwodzony most przystawał. Podobniejsze do prawdy, że wjazd główny był od zachodu, jak o tym zdają się świadczyć wspomniany dziedziniec, szczątki rozwalonej bramy i dostęp łatwiejszy.

Sam zamek tak zbudowany, że nie dosyć było przełamać zewnętrzne obwarowanie i dostać się na dziedziniec kilkadziesiąt kroków od ścian zamku. Po górze stromej jest wał najbardziej spadzisty, który musiał być w swoim czasie niemałą obroną. Zdaje się, że do wnętrza zamku dwa wejścia prowadziły. Jednego z nich można widzieć pozostałość w otworze narożnej od zachodu wieży i szczątkach muru przed nim, który zbiega na dół i mógł osłaniać wejście. Drugie zaś w drugim końcu tejże ściany musiało być ukryte, co wnosząc z pokoju leżącego w tym miejscu pod górą, opartego jedną ścianą, a raczej składającego część linii zachodniego muru. Dochodzi on wysokością ścian swoich podnóża ściany zamkowej, a stoi tak oddzielnie od reszty pokojów wyższych, że można z dużym prawdopodobieństwem uważać go za warowną osłonę ukrytego wejścia. Nie powinienem także przemilczeć, że w kierunku jednej jego ściany, równoległe do północnej ściany pokojów, ciągnie się zrównany prawie z ziemią ślad muru aż do wspomnianej wieży zachodniej. Może więc być, że pokój, o którym mówiłem, był częścią dolnych mieszkań, przypartych jedną ścianą do boku góry, a dachem do podnóża wyższego piętra.

Wnętrza pokojów na szczycie góry stojących tak są zasypane gruzami, ich ściany po większej części tak zniszczone, że trudno dziś dociec ich liczby i układu, a tym bardziej wysokości całego gmachu. Wszakże w niektórych miejscach można widzieć podstawę ścian ze szczerzej skały i ślady kucia w niej. Może to być podziemna część zamku, a może i więzienie, ale osiadłe sklepienia zapełniły je gruzami do znacznej wysokości.

Spodziewam się, że tym rysem dałem jakiegokolwiek wyobrażenia Czorsztyna, a raczej gruzów jego. Na obraz dokładniejszy potrzeba więcej czasu i pomocy pędzla malarskiego. Warto, by zajął się ktoś tą pracą i rysunkiem, chociaż topograficznym, zachował plan tych rozwalin zajmujących. Niejeden artysta byłby szczerze wdzięczny za taką pracę i mógłby z niej piękny użytek zrobić.

Dla dopełnienia obrazu muszę powiedzieć, że pod Czorsztynem schodzą się dwie drogi ku nowotarskiej dolinie: jedna od Krościenka okrąża północną i zachodnią część czorsztyńskiej góry, druga południową jej stronę — ta idzie z Węgier ponad Dunajcem. Niższa połowa góry ma kilka źródeł. U podnóża biegnie potok, który do Dunajca wpada, przecinając drogę z Krościenka. Od północy góruje nad Czorsztynem las świerkowy, przyległy do krościenkiej drogi, czasem przez łotrów osadzony. Przez ten to las objawiły mi się Tatry tak uroczo po raz pierwszy.

Gdzie indziej dałem wyobrażenie widoku nowotarskiej doliny i Węgier z Czorsztyna. Widok na inne strony zasłonięty jest wyniosłym grzbietem góry, której posada zamku jest niejako przylądkiem.

Dzieje Czorsztyna bogate są w materiały do dzieła poetycznego. Nazwa jego występuje głośniejsze za Kazimierzem Wielkim. Długo jest w posiadaniu Zawiszy Czarnego i jego następców. Zdobywany był nieraz przez łotrów góralskich i służył im za warowny przystulek. Między tymi wypadkami zanotowany jest w kronikach Napierski<sup>373</sup> — bandyta. Duch poety może wiele zobaczyć w takiej przeszłości i wiele z niej wydobyć.

<sup>373</sup>Kostka-Napierski, Aleksander (1617–1651) — polski oficer, uczestnik wojny trzydziestoletniej i przywódca powstania chłopskiego na Podhalu w 1651 r. [przypis edytorski]

## NA WYŻNIEJ. WPŁYW TAJEMNICZY GÓR

Nic już prawdziwszego dla mnie, jak twierdzenie Górali, że ich atmosfera ma wyższość nad atmosferą równin. Przekonałem się o tym z własnego doświadczenia. Trzy razy przejechałem się w równiny i za każdym razem doświadczyłem tego samego. Z początku przez dni kilkanaście ruch życia góralskiego, większa swoboda myśli, w ciele lekkość, pewna czerstwość, jędrność wszelkich władz, zdolność do wszystkiego w stopniu wyższym. Powoli stawałem się ociężały, zasępioń, traciłem sprężystość energii wewnętrznej, tak że po pewnym czasie czułem dotykając w sobie zmianę niekorzystną. Powracam w góry, zaledwie dni kilka pożyję ich powietrzem, ich życiem, a stan zdrowia, rzeźwości i swobody znowu mi powraca. Myśli się rozjaśniają, czucie głębiej się otwiera, wszystkie władze grają silniej, czystiej i harmonijniej.

Nie ja jeden to czuję, powtarzam. Doświadczam tylko na sobie tego, czego tylu innych doświadczyło, o czym inni mnie zapewniali.

Jest w tym dziwna jakaś tajemnica, dziwna a niezaprzeczona. Wszystkie ludy ją czuły uczuciem najgłębszym, bo religijnym, wszystkie religie świadczyły o niej i korzystały z niej. Wyżyny były zawsze miejscami wybranymi do modłów, do obrzędów religijnych, do wiązania ziemi z niebem. Na wyżynach płonęły święte ognie magów, jeżyły się kamienie druidów<sup>374</sup>, wznosiły się świątynie naszych bożyszcz słowiańskich. Na Horebie<sup>375</sup>, na Synaju<sup>376</sup> rozmawiał z Bogiem Mojżesz<sup>377</sup>, przyjął prawdę bożą dla swojego ludu, niebieski ogień, który miał przez wieki ożywiać i oświecać lud wybrany. Z wierzchołka Syjonu<sup>378</sup> cały ten lud wchodził przez wieki w bliższy związek ze swoim Bogiem.

Góry Galilei<sup>379</sup> były kolebką naszej religii chrześcijańskiej. W góry Galilei rzucił Bóg nieśmiertelne ziarno swojego słowa dla świata — tam ono przyjęło się, ożyło ciałem, wzrosło i doszło do swojej dojrzałości niebieskiej. Na Taborze<sup>380</sup> Chrystus pokazał się po raz pierwszy swoim uczniom w chwale, w istocie swojej nadziemskiej. W wyższe miejsca udawał się, ile razy w trudach boskiej swojej misji potrzebował zasilić ducha swojego powietrzem niebios. Z Kalwarii<sup>381</sup> podał światu wzór najwyższej ofiary; na Górze Oliwnej<sup>382</sup> widziały go oczy śmiertelne jako Boga tryumfującego nad światem!

Cóż to jest, o góry, ta dziwna potęga przywiązana do was? Owa tajemnica, która was uświęca najświętszymi chwilami życia ludzkości? Skąd to jest? Dlaczego to jest? Jakkolwiek są tego przyczyny, nie są one materialne — tak ogromne skutki dla ducha ludzkiego nie mogą iść z przyczyn niższych, materialnych. Wasze wybudzenie nad resztę ziemi, rozleglejszy widok z waszych szczytów, rozrzedzone bardziej powietrze na nich, są to warunki zmysłowe, zbyt liche. Mogą one zabawiać oczy, ulżyć płucom, pobudzać, lechtać ciało wrażeniami zmysłowymi, ale nie pojmuję, jak by mogły za pomocą jedynie tych środków działać na ducha ludzkiego, podsycać jego uczucie religijne, czynić go zdolniejszym do życia nadziemskiego, do ofiar nadziemskich, do większej miłości Boga i ludzi! O, nie, tajemnica ta musi się kryć w owej waszej części, której zmysłami dotknąć nie możemy, w jakimś uczuciu zapełniającym wasze piersi niezbadane narzędziami zmysłowymi, jak piersi człowieka w pierwiastku jego życia, a co ogniami podziemnymi, wybuchami jakichś tchnień nieznanych, niedocieczonych w swojej pierwszej przyczynie, potęgą jakichś wysileni tajemniczych, podnoszą was nad poziom, jak natchnienia wielkiego ducha podnoszą człowieka w czynach wyższych nad poziom ludzkości. Może coś być w was, co ma związek z nadzmysłową istotą człowieka, niezależny, różny od wpływów fizycznych, a zarazem silniejszy, bliższy i ściślejszy.

<sup>374</sup> *druoid* — kapłan celtycki. [przypis edytorski]

<sup>375</sup> *Horeb* — jedna z gór na półwyspie Synaj, na której według *Biblii* Bóg objawił się Mojżeszowi. [przypis edytorski]

<sup>376</sup> *Synaj* — półwysep w Egipcie. [przypis edytorski]

<sup>377</sup> *Mojżesz* — postać biblijna, przywódca Izraelitów i święty prorok, żyjący prawdopodobnie w XIII wieku p.n.e. [przypis edytorski]

<sup>378</sup> *Syjon* — wzgórze w Jerozolimie. [przypis edytorski]

<sup>379</sup> *Galilea* — historyczna kraina w płn. Izraelu i w Palestynie. [przypis edytorski]

<sup>380</sup> *Tabor* — góra w Galilei. [przypis edytorski]

<sup>381</sup> *Kalwaria* — wzgórze w Jerozolimie, na którym ukrzyżowano Chrystusa. [przypis edytorski]

<sup>382</sup> *Góra Oliwna* — wzgórze położone we wschodniej Jerozolimie. [przypis edytorski]

Góry

Góry, Religia, Wiara

Tajemnica, Duch, Dusza

Siebie naprzód badam z tej strony. Jestże dla mnie wszystkim ten widok, który mam dookoła z tej wyniosłości? Unosi mnie ciągle jej wysokość? Bynajmniej, oko moje nasycę się prędko widokiem i wpada w zubożenie. Ledwo chwil kilka zajmuję się wysokością, wkrótce zapominam o tym, a za to budzi się inny stan wewnątrz, zaczynam czuć się lżejszy, swobodniejszy. Zadolenie wewnętrzne podnosi się we mnie, napęnia mnie całego — widzę to po moich myślach świeżych, silnych, rozległych i lotnych, po zdolności widzenia ich, chwytania i przedstawiania. Dotykam tego w moim uczuciu więcej roztopionym, więcej rozlewającym się, pełniej gorejącym, silniej bijącym ku górze, ku światom wyższym, ku wzniosłości niematerialnej. Widzę w sobie płomień niemający nic wspólnego z materią, niezależny od otaczającej mnie sfery materialnej. W końcu postrzegam, że stoję duchem w obliczu nieba, że jestem w modlitwie. Cóż to jest, o góry, owa władza, którą wprowadzacie człowieka w stan podobny? Zapytanie trudne do rozstrzygnięcia, a jedno z tych, które pytający sam w sobie rozstrzygnąć musi. Ufajmy, że będzie kiedyś rozstrzygnięte.

## MGŁA PORANNA W GÓRACH

Minęło lato. Góry śniegiem się odziewają, przedgórza występują w dzikszych coraz barwach. Polany opustoszały, ogłuchły echa pieśni pasterskich, słońce z każdym dniem widoczniej się nuży, z każdym dniem wcześniej na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze z mgłami, rozdrażnia sny moje, krótkie jak sny rozkochanego. Budzę się w ciemnościach; gwiazdy iskrzą, lśni się obfita rosa. Korzystam z ostatnich resztek lata, chcę sobie przypomnieć letni poranek, puszcza się w góry. Zatrzymałem się na szczycie Wielkiej Góry nad Łopuszną.

Cała dolina leżała cichym snem pod moimi nogami. Księżyc spuszczał się bezchmurnym niebem do zachodu. Pogoda była dla mnie tym bardziej urocza, że się zdawała być uśmiechem piękne sny marzącego. Księżyc tym milej, tym tęskniej świecił, że tylko mnie samemu świecić się zdawał. Tatry stały uroczyste, jak gdyby nad milczącą modlitwą dumy.

I oto ze szczytu Babiej Góry wybuchnął kłęb lekkiemu tumanu i stoczył się do jej podnóża. Wschód mocniej płonąć się począł. Jutrzenka ucieka w głąbie nieba. Na kilku białych szczytach pokazały się płatki różowego blasku, a od zachodu mgły się podnoszą. Z początku bieleją w postaci kilku chmurków błędnych, powoli idą ku sobie, spotykają się, łączą, gęstnieją, toczą się białym wałem cicho, uroczyste, coraz szerzej osłaniają dolinę. Już dosięgły mojego stanowiska, już je oblały dokoła. Rozlewają się dalej, już dosięgły Pienin i oto cała dolina zniknęła. Lasy i wody, wsie i pola, wzgórze i błonia — wszystko, co księżyc tak pięknie przed chwilą oświecał, w tej chwili zgasło pod mgły morzem. Prawdziwe to morze. Kłęby tumanu burzą się jak poruszone fale, przewalają się przez siebie nawzajem. Cała masa jednym ruchem zdaje się kołysać, cichnie, a jednostajna, siwa barwa rozlewa się po powierzchni tego ogromu. Tatry, Pieniny, Babia Góra zostały teraz brzegami morza, z którego łona podnoszą się gdzieś tam, jak ciemne wyspy, wyższe wzgórze lasami porośłe.

Wzmagający się blask świtu rozjaśnia coraz mocniej część wschodnią mglistego morza i zaczyna rozścielać po niej pajęczynę z barw płomiennych, igrających. Na koniec pokazało się słońce. Tu muszę złożyć w pokorze mój pędzel malarski. Nie czuję się zdolny wyobrazić, jak słup jego pałający, niezmierny w swej długości, rzucił się wzdłuż mgieł aż ku mojemu oku, jakimi barwami po ruchomym tle ich igrał, jakiego uroku był ten most tęczy między mną a słońcem, jakim blaskiem zajaśniało wszystko między ziemią a niebem!

W miarę jak słońce podnosiło się, odbłask jego na powierzchni tumanów zmniejszał się i ciemniał. Powiał wreszcie wiatr, zawichrzył mgłami, podniósł niektóre do wysokości mojego stanowiska... Widowisko skończone! Zszedłem na dół, ale w zachwyceniu i poczuciu, że mi się objawiło owo *Morze Karpackie*, które, według podań, zalewało niegdyś dzisiejszą nowotarską dolinę.

Jesień, Góry

Artysta, Piękno

## POBYT U PROBOSZCZA WE FRYDMANIE<sup>383</sup>

Brakowało mi przypatrzeć się z bliska życiu księży w tej okolicy, zbieg okoliczności zaspokoił mnie i pod tym względem. Jestem wdzięczny tej konieczności. Kilkanaście dni przeżyłem w domu plebana wiejskiego<sup>384</sup>, przez kilkanaście dni dach jego osłaniał mnie przed nieprzyjemnościami wszelkiego rodzaju, przez kilkanaście dni jadłem chleb jego, a co najważniejsze — zbliżyłem się do człowieka jednego z tych, co cię ogrzewają ciepłem swojej miłości prostej, szczerzej, czystej. Poznałem kapłana, o którym każde wspomnienie sprowadza się do tego życzenia: dałby Bóg, aby wszyscy księża byli przynajmniej tacy jak ten!

Widok półmartwy, jak Tatry, może zrobić silne, dobre wrażenie na człowieku, ale człowiek-chrześcijanin bez porównania silniej pobudza, zasila we mnie miłość Boga i bliźnich. Jeżeli nie mogę mówić o nim tak obszernie, jak o zmysłowych pięknościach okolicy, winienem mu wspomnienie bratnie, oznakę, że go umiał poczuć, docenić, że uczucia moje dla niego nie są z liczby tych, co przechodzą z czasem bez śladu. Licha byłaby to odpłata za miłość żyjącą, gdyby została tylko w martwym słowie na papierze. Ale z mojej strony nie jest ona taka, chowam ją w mojej duszy i daję żyjącą.

Kilkanaście dni przeżyliśmy prawie sam na sam, a takie życie wielką jest próbą wartości obopólnej dwóch ludzi. Trudno, ażeby w podobnym stosunku nie poznali się wzajemnie na sobie. Pragnąłbym, aby zacny pleban wyniósł z owego czasu takie dla mnie uczucia, jakimi mnie ku sobie natchnął. Poznałem w nim sługę Kościoła, jakich mało w życiu moim napotkałem. Pełen cnót chrześcijańskich obok wyższego ukształcenia, miły, zniewalający, a mimo to zachowujący wysoką godność swojego stanu w życiu powszednim, światowym, był prawdziwym ofiarnikiem wskazującym drogę jedynie prawdziwą, ile razy pełnił swoją służbę tajemniczą przy ołtarzu. Słyszałem go na tym urzędzie przemawiającego do ludu. Kazania jego były w języku słowackim, bo od tej wsi poczyna się już kraina Słowakami osiadła, a słowa jego były napiętnowane tą samą ewangeliczną prostotą, miłością, łagodnością, których przykład dał w swoim życiu!

Ale słowa niezdolne są oddać wewnętrznej wartości człowieka ani uczuć dla człowieka, który nas istotnie zobowiązuje. Poprzestanę więc na tym, co powiedziałem, a zajmę się więcej zewnętrzną stroną mojego pobytu we Frydmanie.

Między innymi znalazłem w tym probostwie bibliotekę tak liczną i tak dobraną, że nikt by nie domyślał się podobnej w domku plebana ustronnej góralskiej wioski. Zamykała ona około 2000 tomów najcenniejszych pisarzy wszelkich narodowości — tak oryginalnych, jak w tłumaczeniu, najczęściej niemieckim. Rozumie się samo przez się, że dzieła treści religijnej stanowiły znakomitą jej część. O ich wartości nie mogę nic powiedzieć, bo wszystkie prawie są w języku łacińskim, który mało umiem. Za to przeczytałem wiele sztuk Shakespeare'a<sup>385</sup>, przełożonych przez Schlegla<sup>386</sup>.

Zacny proboszcz ułatwił mi także zwiedzenie zamku w Niedzicy. Leży on naprzeciw Czorsztyna, rozdziela je tylko Dunajec. Jest on dziś własnością hrabiego Palocsaya<sup>387</sup>. Właściciel jego, a dziedzic wsi teje nazwy oraz Frydmana, często w nim przemieszkuje, stąd budowla cała utrzymana jest w dobrym stanie wewnątrz i na zewnątrz. Wewnętrzne jej urządzenie jest już więcej w smaku nowoczesnym. Między innymi ozdobami ma bibliotekę niewielką, ale złożoną z dzieł wyborowych, świadczącą o wyższym wykształceniu właściciela.

Wokoło zamku rozsypuje się wieś Niedzica. Na wejściu do niej zwrócił moją uwagę słup z tablicą, na której wypisany jest zakaz palenia fajki na ulicach wsi. Przepis ten jest powszechny we wszystkich wsiach węgierskich i ściśle przestrzegany przez obawę przed pożarem. Jest on obwarowany sztrofami<sup>388</sup> pieniężnymi, a dla chłopów karą cielesną.

<sup>383</sup>Frydman — wieś w województwie małopolskim, w powiecie nowotarskim. [przypis edytorski]

<sup>384</sup>pleban wiejski — chodzi o ks. Jana Ewangelistę Nalepkę, który w latach 1828–1853 był proboszczem we Frydmanie. [przypis edytorski]

<sup>385</sup>Shakespeare, William (1564–1616) — angielski poeta, dramaturg i aktor. [przypis edytorski]

<sup>386</sup>Schlegel, August Wilhelm von (1767–1845) — niemiecki pisarz, językoznawca, filolog i tłumacz. [przypis edytorski]

<sup>387</sup>hrabia Palocsay — chodzi o hrabiego Andrzeja Horvatha Palocsaya, który odnowił zamek w Niedzicy. [przypis edytorski]

<sup>388</sup>sztrofa (z niem.) — kara. [przypis edytorski]

Stąd nieraz można widzieć na wjeździe do wsi tablicę, na której malowidło przedstawia w wyższej swojej części fajkę, w niższej chłopca rozciągniętego na ziemi, a nad nim hajduka z kijem lub batem. Madziarski ten hieroglif chłopcy dobrze rozumieją; wiedzą, że znaczy plagi za palenie fajki na ulicy, choćby *transito*<sup>389</sup>.

Zresztą podobna tablica, zdobiąca każdą wieś, wyobraża doskonale ducha prawodawstwa madziarszczyzny szlacheckiej w jej stosunku do chłopów, zwłaszcza plemienia słowiańskiego.

Więcej niż mieszkanie, niż biblioteka hrabiego Palocsaya, zastanowiła mnie jego piwnica. Jest to w istocie przedmiot godny widzenia. Wyobraźmy sobie dwa czy trzy piętra pieczar, tak długich, że światła postawionego w jednym końcu nie dojrzysz z drugiego, rozgałęzionych na wiele innych, równoległych do siebie. A wszystko to zastawione krociami beczek, ku<sup>390</sup> rozmaitego kalibru, napełnionych winem rozmaitego smaku, wieku, pochodzących z różnych krajów — oto masz piwnicę węgierskiego magnata. Miejsce to obudziło we mnie głębsze a smutne myśli. Dotknąłem się jego złego ducha. Znam cię, pomyślałem sobie, w dziejach mojego kraju. Ty to panowałeś na sejmikach, sejmach, trybunałach, elekcjach. Tobie to w wielkiej części winniśmy tę rozpustę wolności. Z takich to pieczar jak z otworów piekielnych buchało to powietrze gorsze od morowego, które owiewało naszego ducha i wiodło go krętymi ścieżkami pijackimi, aż dopóki nie zapadł w przepaść razem z ciałem! I straszny obraz przeszłości roztoczył się przed moją duszą w ciemnych kolorach piekielnych, pokryła go w końcu krwawa barwa teraźniejszości. Odetchnąłem swobodniej, wyszedłszy z piwnicy. Rozjaśniłem się w domu ekonoma, przy dwóch jego córkach — bardzo miłych dziewczętach, z którymi i tę jeszcze miałem przyjemność, żeśmy mogli rozmawiać. Chociaż mówiły tylko po słowacku, rozumiały mnie, a ja je tym bardziej. Słowacki język w ustach dziewczyny jest bardzo miły, miałem sposobność przekonać się o tym, bo często towarzyszyłem dwóm dziewczątkom na rydzobranie, które tu jest bardzo obfite. Były to jedne z chwil najprzyjemniejszych mojego pobytu we Frydmanie i winienem za nie wdzięczność łagodności i słodczy owych ładnych Słowaczek. Są one wyższe nad wszelką pochwałę, jaką im dać mogę, dlatego wstrzymam się od niej.

Z ich powodu mieliśmy rozmowę z proboszczem na temat kobiet. Od niego dowiedziałem się kilku szczegółów, nowych dla mnie, o obyczajach kobiet węgierskich. Według jego opowiadania, księża mają wielki przystęp do kobiet, zwłaszcza w większych miastach węgierskich. Wyraźnie mnie zapewniał, że księża grają tam tę rolę, jaką gdzie indziej grają wojskowi.

Ten przedmiot nastęrczył nam z kolei rozmowę o beźżeństwie księży. Mój proboszcz miał zdrowe widzenie tej rzeczy. Jego zdaniem żenienie się lub beźżeństwo powinno być zostawione woli każdego — jedno i drugie ma swoje korzyści i niedogodności. Co się tyczy jego osobiście, miał postanowienie pozostać w beźżeństwie, gdyby żenienie się było nawet dozwolone.

I w rzeczy samej dla niego było to właściwe, o ile poznałem jego charakter. Przy wyjątkowych swoich przymiotach, przez stan swój duchowny zaprawił się już do życia bardziej cichego, samotnego, stał się lękliwy wobec życia czynniejszego, burzliwszego. Przenosi on dzisiaj nad wszystko spokój rozmyślenia. Była to jego wada, ale ja poczuwałem się do tym większej wdzięczności, że oto dla mnie wychodził z tej ciszy. Z tym uczuciem pożegnałem go i zawsze z tym mniemaniem zostanę.

## ZBÓJNICY W GÓRACH. PIEŚNI I OPOWIEŚCI NA TEJ OSNOWIE

W tym obrazie Podhala koniecznym jest rys zbójectwa w górach, jest to jeden z najważniejszych rysów obrazu.

Zbójectwo stanowi jeden z celnych żywiołów tutejszej poezji śpiewanej, co się pokaże w przytoczonych poniżej pieśniach. Gra ważną rolę na scenie góralskiej krainy i góralskiego życia, a przez to rzuca pewne światło na charakter mieszkańców. Istnienie zbójectwa

<sup>389</sup>*transito* (łac.) — dosłownie: przechodzę; oznacza przechodzenie lub przejazd bez zatrzymania się. [przypis edytorski]

<sup>390</sup>*kufa* — tu: duża, drewniana beczka. [przypis edytorski]

w górach jest prawdą niezaprzeczoną, jest czynem dotykającym, nie można go więc lekceważyć w badaniu ludu góralskiego, a tym mniej pominąć, przeciwnie — zbliżyć się ku niemu potrzeba i pilnie mu się przypatrzeć, byle z właściwego stanowiska.

Wprawdzie zbójctwo nie jest dzisiaj tym, czym było przed laty; czas je znacznie przytłumił, a najwięcej sprężysta czujność rządu, silniejsza policja w górach. Mimo to zbójctwo nie zniknęło, nie wywietrzało, że tak powiem, z ducha góralskiego. Jakkolwiek główna jego siła zapadła już w przeszłość i błyska z niej urokiem przyćmionym znacznie, nieraz jeszcze znajduje swój odbłask w obecnych czasach. Góral z pewną tajoną chlubą wywołuje pamięć głośnych zbójców, daje im swoją sympatię, a niekiedy puszcza się w ich ślady. Ważną jest rzeczą z tego stanowiska patrzeć na zbójctwo w górach. Inaczej pojęcie jego i sąd o nim będą fałszywe, a to sfałszuje sąd ogólny o Góralach.

Zapatrywanie się Górali na zbójctwo znacznie różni się od naszego. W oczach Górala nie jest ono rzeczą tak obrzydliwą i hańbiącą jak dla nas. Zbójnik dla Górala nie jest takim zbrodniarzem, jak by według prawa być powinien. Wiem to z doświadczenia, dotknąłem tej strony Górali; przyświadczają mi czyny. Prawda, że zbójcy dzisiejsi nie są to zbójcy okrutni, krwawi, straszni, jak byli dawniejsi, jak przynajmniej wyobrażamy ich sobie wszystkich z opowieści o niektórych, z niektórych wydarzeń, ale ta okoliczność najmniej wpływa na pobłażanie Górali dla tego rzemiosła.

Góral może się obawia swego zbójcy, ale się nim nie brzydzi. W jego obawie jest więcej poszanowania jak wstrętu. Można by powiedzieć, że zbójctwo między Góralami jest uważane za rodzaj rycerskiej szkoły, przez którą Góral nie wzdraga się przechodzić. Nie tylko nie wzdraga się, ale nawet jest rwany pędem wewnętrznym, gdyby się nie znajdował w warunkach wręcz temu przeciwnych. Tak dawniej było konieczną potrzebą moralną dla Ukraińca przejechać część swojego życia na Zaporozżu<sup>391</sup>. Sam napotykałem bardzo zacnych pod innym względem Górali, którzy, poświęciwszy temu przejściu lat kilka, wrócili znowu między swoich i są dziś najporządniejszymi gospodarzami — i nic przez to nie tracą na szacunku swoich krajowców.

Przytoczę tu wypadek współczesny opowiadany mi na miejscu, który dokładnie wyobraża, jakiej istoty i jakiej jest mocy ten pęd ku zbójctwu. Bohater tej historii jest to postać zupełnie upośledzona przez naturę: mały, pękaty, z nogami koślawymi, z ogromną głową, brzydką twarzą, ale silnie zbudowany i niestary. Owoż ten człowiek zapragnął także sławy zbójnika i nie taił się z tym przed swoimi, że postanowił pójść w góry na zbój. Śledzono go więc, głównie przez ciekawość, co to będzie. Ubrał się tedy i uzbroił się we wszystkie przybory zbójcy: w rękę wałaszka, przez plecy dwie strzelby, za pasem nóż i pistolety, a w torbie żywności na dni kilka. Tak zaopatrzony poszedł w góry nieopodal swojej wsi, w ustronie dzikie, gdzie nikt prawie nie przechodził. Łatwo wyszukał miejsce, jakiego mu było potrzeba — skały i powalone drzewa. Siada więc za nimi jak w zasadzce, przyczają się, szpieguje okiem i uchem na wszystkie strony, postrzega niby przechodzącego, mierzy z rusznicy, wystrzelił niby, wypada z zasadzki, macha na wszystkie strony wałaszka, wraca pędem na swoje miejsce, znowu przysiąda, podskakuje, niby strzela, niby rąbie — to goni, to ucieka, dopóki nie poczuł znużenia i głodu. To samo powtarza przez całe trzy dni, po czym wraca do wsi z twarzą zadowoloną, z postawą hardą, w przekonaniu, że ma prawo do imienia i sławy zbójnika.

I jak tu się oprzeć pokusie podobnej sławy? Zbójnik jest rodzaj ideału dla Górala. Odznacza się on zwykle okazałą postawą, niepospolitą siłą, zadziwiającą zręcznością w rzucaniu toporkiem, szybkością w biegu, gibkością w tańcu i tym podobnymi zaletami fizycznymi. Jest on jeszcze ideałem jako człowiek odważny wobec wszelkich niebezpieczeństw, obojętny na śmierć, wróg jakiegokolwiek uległości. Jest to wszystko w charakterze Górala, a zbójnik najpełniej to objawia. Może Góral potępiać go za to?

Nieraz rekrutacja<sup>392</sup> napędza do zbójctwa. Ale jest to przyczyna podrzędna, równie jak niższe namiętności: zemsta i chciwość. Zastanawiam się nad powodami i dostrzegam wiele ważniejszych i głębszych. Leżą one w naturze człowieka i w charakterze Górali, a po części w ich położeniu.

<sup>391</sup>Zaporozże — historyczna nazwa krainy nad dolnym Dnieprem, siedziby Kozaków Zaporoskich [przypis edytorski]

<sup>392</sup>rekrutacja — tu: pobór do wojska. [przypis edytorski]

Napomknąłem już raz, że ludy pasterskie odznaczają się głównie skłonnością ku temu życiu. Dlaczego? Nie wiem, ale tak jest. Duch naszych Górali wydaje mi się być w pewnym pokrewieństwie z arabskim. Nie mogą mieć farysów<sup>393</sup>, poprzestają na zbójnikach. Położenie ich nie pozwala im zamienić się w hordę Beduinów<sup>394</sup>, ale z drugiej strony to ono czyni niekiedy Górala zbójem. Dziwne jest w tym względzie pobłażanie mieszkańców, a nawet rodzaj opieki. Zbójnicy przychodzą np. do bacy i każą sobie dać tyle owiec, tyle serów itd. Baca nie stawia oporu, składa żadaną żywność, jak by się składało kontrybucję, a jeszcze właściwiej — jak by się płaciło podatek. Widzi on wprawdzie swoją szkodę, ale ją uważa niejako za konieczną, a może nawet w duchu usprawiedliwia to postępowanie, przypominając sobie, że kiedyś on sam żył podobnie. Bo i dziś takie bandy tworzą się często z samych juhasów, a doprowadza ich do tego potrzeba nocnej biesiady. Sami ubodzy, uczują kosztem zamożniejszych.

Teraz możemy przypatrzeć się bliżej i szczegółowiej życiu zbójników w powieściach i pieśniach.

Najgłośniejszym bohaterem zbójstwa w Tatrach jest tak zwany Janoszyk. Żył on w końcu przeszłego wieku. Tysiące opowieści krąży o nim dotąd. Te opowieści przystrajają go we wszystko, czego tylko potrzeba, aby zbójstwo podnieść do ideału. Janoszyk jest ideałem zbójcy najukochańszym, na jaki tylko wyobraźnia Górali zdobyć się może. Skupiają się w nim wszystkie przymioty zbójcy, wszystkie zalety i cnoty człowieka. Olbrzymi wzrost, uroda, rozum, siła nadludzka, zręczność niezrównana, odwaga bezprzykładna, dobroć, szlachetność — wszystko to łączyło się w Janoszyku. Był on jeszcze człowiekiem nadzwyczajnym przez związek ze światem nadmysłowym, przez władzę nadprzyrodzoną — nad duchami i przyrodą — niczym nieograniczoną.

Obok tego wszystkiego był bardzo pobożny, co go nieraz ocaliło, jak np. w następującym zdarzeniu: Janoszyk spotyka raz biednego studenta z Podolińca, wchodzi z nim w rozmowę i do tego rzecz doprowadza, że student zaciąga się do jego bandy. Ale po jakim czasie zdradza Janoszyka, porozumiewa się ze zwierchnością i przyrzeka zabić go. Wkrótce znajduje sposobność spełnić przyrzeczenie. Było to o wschodzie słońca, kiedy Janoszyk zwykle się modlił, i to klęcząc. Zdradca zakrada się z tyłu i strzela do niego, ale chybia. Janoszyk, jakby nie słyszał, nie przerywa modlitwy, nie zmienia postawy. Pada drugi strzał i znowu chybia. Janoszyk wciąż się modli, jest właśnie przy końcu modlitwy, kiedy zdradca trzeci raz dał do niego ognia — i tym razem bez skutku, a sam począł uciekać. Janoszyk powstał, bo skończył zwykłą modlitwę, puścił się za uciekającym, dopędził go i zabił. Pobożność go ocaliła.

Sławę Janoszyka dzieli jego siekierka. Była ona także nadzwyczajna. Nie potrzebował mieć jej ciągle przy sobie, bo sama leciała na jego gwizdnięcie, choćby z miejsc najdalszych. Gra ona szczególną rolę w ostatnich chwilach Janoszyka. Kochanka, co go wydała zdradziecko w ręce zwierchności, wiedziała o tej własności tajemniczej jego wałaszki, miała więc przezorność zamknąć ją naprzód w dziewięciu skrzyniach z dziewięcioma zamkami. Janoszyk, schwytany, gwizdnął na swoją broń doświadczoną. Wałaszka, wierniejsza od kobiety, jak tylko usłyszała gwizdnięcie Janoszyka, zerwała się na pomoc jemu i zaczęła się wyrąbywać z zamknięcia. Przerąbała osiem skrzyń, ale dziewiątej nie mogła, bo taka siła jest w liczbie dziewięć.

Koniec Janoszyka okrywa niepewność. Według jednych podać został powieszony, inne naznaczają mu śmierć naturalną. W Dolinie Kościeliskiej pokazywano mi z dala jaskinię<sup>395</sup>, w której znaleziono szkielet olbrzymiej wielkości i uważano go za śmiertelne szczątki Janoszyka.

Miał on być rodem ze Spisza. W Drużbakach, w domu kąpieli mineralnych, widziałem obraz rytowany, przedstawiający Janoszyka uczującego z czterema towarzyszami. Jeden z nich gra na kobzie, drugi wyprawia napowietrzne skoki z siekierką, sam Janoszyk z dwoma drugimi pije. Malarz przedstawił ich tam w stroju prawdziwym zbójców, ozdobionym wyszywaniem, w ogromnych kołpakach z gałązkami u góry — strój haj-

<sup>393</sup>farys — muzułmański jeździec, zawodowy wojownik. [przypis edytorski]

<sup>394</sup>Beduin — arabski koczownik; członek plemienia koczowniczego o tej nazwie. [przypis edytorski]

<sup>395</sup>jaskinia — chodzi zapewne o Okna Zbójnickie, dwie jaskinie wapienne po wschodniej stronie Doliny Kościeliskiej w Tatrach Zachodnich. [przypis edytorski]

duków i huzarów. Pod każdym wypisane było jego nazwisko. Żałuję, że im ich sobie nie ponotowałem.

Jest to godne zastanowienia, że każdy z głośniejszych zbójców odznacza się szczególną siłą życia wewnętrznego. Ich przewidywania, a raczej przecucia, dochodzą niekiedy do stopnia nad pojęcie zwyczajne. Z tego powodu przytoczę opowieść prawdziwą, wypadek współczesny, chociaż należy do miejsc innych, bo scena odbywa się w Górach Kołomyjskich<sup>396</sup>, pomiędzy tamtejszymi zbójcami, głośnymi pod nazwą opryszków, w ojczyźnie tak zwanych Huculów<sup>397</sup>.

Pan G., dzierżawca wsi K., ściągnął na siebie nienawiść jednego z hersztów, który z tejże wsi był rodem. Pan G. wie o tym, że bandyta dybie na jego życie. Ażeby uwolnić się od trwogi, bierze się na ten sposób: porozumiewa się z dwoma chłopami, objaja ich różgami dla pozorów, ażeby uciekli niby wskutek tego pobicia, a następnie dla pomszczenia się weszli do bandy wspomnianego bandyty i upatrzawszy porę, zabili go, zwłaszcza że rząd nałożył już cenę na jego głowę. Stało się wszystko, jak ułożono. Dwaj pobici uciekli, znaleźli wiarę u bandyty, zostali przyjęci do bandy i przez całe pół roku tak dobrze udawali, takie dawali dowody odwagi i poświęcenia w wyprawach zbójceckich, że zyskali zupełną ufność towarzyszy i herszta. Pół roku tak przeszło, kiedy bandyta postanowił ostatecznie zrobić napad na dom pana G. i zabić swojego wroga. W tym celu podsuwa się pod wieś K., ale z chwilowej konieczności tak wypadło, że musiał rozesłać w różne strony swoich opryszków. Dwóch tylko zostało przy nim, jako jeszcze mniej doświadczonych — byli to właśnie owi dwaj nastający na jego życie. Herszt był znakomitym wróżbitą, zaczął więc wróżyć sobie, rzucając fasolkę. Dwaj towarzysze siedzieli opodal trochę, przypatrując się wróżbie. Na pierwsze rzucenie zmarszczył się, po drugim zawołał: „Źle!”, po trzecim porwał się niespokojny, przyzywał do siebie obu i zawołał: „Chłopcy! Tu stoi, że tej nocy jeden z nas zginie. Co to jest? Albo nas napadną, albo może który z was zdradza mnie?”. Dwaj struchleli, ukryli to jednak. Herszt tłumaczył im położenie fasolek i zapewniał, że jeden z trzech koniecznie tej nocy zginie. Po tym wszystkim pragnie zapewnić się jeszcze lepiej o prawdziwości wróżby, wraca do fasolek, rzuca je na nowo. Ale kiedy podczas tej czynności stał odwrócony tyłem, dwaj nasadzeni, lękając się, aby nie odkrył zdrady, skorzystali z tej chwili, cofnęli się szybko na parę kroków, dali razem ognia i położyli go na miejscu trupem.

Podstęp, Zabobony

Pieśni osnute na zbójnictwie są w bardzo wielkiej liczbie. Świadczą one, jak powiedziałem, o pewnym upodobaniu Górali w tym rodzaju życia, o silnym pociągu wewnętrznym do niego. Mało wpadło mi w rękę, ale i to więcej rozjaśni ten przedmiot, niż wszystko, co bym ja mógł powiedzieć. Niektóre z tych pieśni są mniej lub więcej zupełne. Wielka część ma jedynie wartość urywków, jednak je zachowuję, bo wszystko razem jest upoetyzowaniem zbójceckiego zawodu — od uznania dla niego aż do śmierci na szubienicy.

Poezja, Śpiew, Lud

Zbójnicy są zazwyczaj gładoszami<sup>398</sup> góralskimi. Urodziwi ciałem, zdobią się jeszcze strojem, który można nazwać nawet wyszukany. Pielęgnują szczególnie włosy, nie strzygą ich i noszą albo rozpuszczone, albo przeplatane wstążkami.

Uroda, Próżność

Darmo wy mnie, darmo do szkoły daicie.  
Ze mnie zbójnik budzie — darmo nakładzicie.

W poniższych ułomkach pogrywa struna miłostek.

Pije zbójnik, pije na drugiej dziedzinie;  
Jego frairecka mało nie zaginie.  
Pije zbójnik, pije za ten talar bity;

<sup>396</sup> *Góry Kołomyjskie* — najwyższe pasmo górskie w Beskidach Wschodnich. [przypis edytorski]

<sup>397</sup> *Huculi* — grupa etniczna pochodzenia rusińskiego i wołoskiego, zamieszkująca ukraińską i rumuńską część Karpat Wschodnich. [przypis edytorski]

<sup>398</sup> *gładosz a. gładysz* — człowiek bardzo dbający o swą powierzchowność. [przypis edytorski]



Nie płac, frairecko, napijes się i ty,  
Aby twoje ocka za mną nie hladziły,  
Jak mnie będą wisać na jawor zielony.

Z powodu zbójstwa góry do niedawnego jeszcze czasu były w stanie obłączenia, pod prawem zwanym *Standrecht*<sup>399</sup>. Sąd i kary były jak najszybsze i jak najsurowsze. Najmniejsza kradzież karana była szubienicą. Miejscowe władze cywilne wymierzały sprawiedliwość, miały prawo życia i śmierci. Wyrok wykonywano najdłużej w 24 godziny. Może być, że ta surowość przyczyniła się do przytłumienia zbójstwa; to pewne, że podnosiła pogardę śmierci do takiego stopnia, że ledwo wiarę dać temu można. Ślad jej znajdziemy w niektórych pieśniach, jak np. w tym wierszyku:

Prawo

Hej, coze temu padnie,  
Hej, co owiecki kradnie?  
Hej, coze by mu padło?  
Hej, strycek na garło.

Jest to fraszka na stryczek. Wracamy do tonu miłostek:

Hej, w polu ja, w polu, hej nie na zbojecce.  
Powiedzcie, powiedzcie mojej frairecce.  
Zbójnicku, zbójnicku, mas frairkę ładną,  
Dajze pozór na nią, bo ci ją ukradną.  
Powiadali ludzie, ze mnie zbójnik budzie.  
Jak budzie, to budzie, samym wirchem pódzie.  
Nie budę ja gazdą, nie budę rolnikiem,  
Jeno budę chodził zbójnickim chodnikiem.  
Hej, a jak mnie złapią, to ja budę wisiał;  
Na wiersku jedlicki budę się kołysał.  
Nie bój się, frairko, choć ja na zbój pódę,  
Jeno pros u Boga, to ja twoim budę.  
— Jaworu, jaworu syrokiego liścia,  
Dajze, Panie Boże, zbójnikowi szczęścia.

Dwa ostatnie wiersze są w ustach kochanki modlącej się. Ale te są często niewierne, na co narzeka wiersz następny:

Idzie zbójnik zza Liptowa,  
Ciece mu krew zza rękawa,  
Zza rękawa i z główecki,  
Syćko pse zdradę dzieweckci.

Liptów<sup>400</sup> to miasto na Węgrzech, stołeczne komitatu<sup>401</sup> liptowskiego, który przytyka do południowo-zachodniej strony Tatrów.

Zobaczmy teraz zbójników weselących się.

Tańcowali zbójnicy  
W murowanej piwnicy;  
Kazali se pięknie grać  
I na nóżki pozierać.

Hej, pije se zbójnik, turackami płaci.  
Wezmą go do nieba aniołowie swaci. —

<sup>399</sup> *Standrecht* (niem.) — sąd doraźny, działający w przyspieszonym trybie. [przypis edytorski]

<sup>400</sup> *Liptów* — właśc. Liptowski Mikołusz nad Wągiem, obecnie na Słowacji. [przypis edytorski]

<sup>401</sup> *komitat* — dawna węgierska jednostka administracyjna. [przypis edytorski]

Aniołowie święci wezmą go do nieba zapewne dlatego, że płaci, mogąc pić darmo (stopień świętości dla zbójnika). „Turaczek” to drobna moneta.<sup>402</sup>

Daj palenki, Zydu, dobry chłopcy psydą.  
Jak nie das palenki, to cię trapić budą.

Kacmarecko nasa, nie zagasaj ognia,  
Psydą swarne chłopcy, budą tańczyć do dnia.

Pódziemy, pódziemy na pana jednego,  
Budziemy się dzielić pieniaskami jego.

Następne są różnej myśli i różnego tonu, ale każdy dorzuca jakiś rys do naszego obrazu:

Jawory, jawory, gdzie macie konory?  
Zbójnickowie ścięli, na fujarki wzięli.  
Redykał się Janik z gronika na gronik.  
Az się psyredykał zbójnikom na chodnik.

„Redykać” się znaczy „przemykać się”. „Gronik” to wierzchołek, a „chodnik” — ścieżka w górach dzikich.

Janicku, zbójnicku, zbójcecki hetmanie,  
Gdzieś podział pieniaski, com ja zbijał na nie.

Widać, że zbójnicy tytułują czasem swoich dowódców hetmanami.

Janosik, Janosik, gdzieś podział pałasik?  
W Kosycach na bramie, tam wisi na ścianie.

Musiał umknąć z więzienia. Na ścianie bramy, na ścianie więzienia. Często słowo „brama” używane jest u nich w znaczeniu „turma”<sup>403</sup>. Może dawniej używanie to było powszechniejsze. W *Biblii* widzimy nieraz miejsce więzienia oznaczone wyrazem bramy. Znacząca ona także miejsce warowne. Koszyce<sup>404</sup> to miasto na Węgrzech.

Rym „Janosik” i „pałasik” jest jak należy w wymawianiu Górali, którzy często głoskę „a” zamieniając na „o”, wymawiając „pałasik”.

Hej, z Plesiwskiej bramy pozierały pany,  
Jako się Janosik wałaskami broni.

Nie mogę wiedzieć, o jakim miejscu jest tu mowa.

Powiadali, powiadali,  
Ze zbójnika porąbali;  
Rozrąbali bucka w lesie,  
A zbójnicka wiater niesie.

Udali<sup>405</sup> mię, udali,  
Cob ich ciorci zabrali.  
Udali mię zbójnikiem,

<sup>402</sup>Aniołowie święci wezmą go do nieba zapewne dlatego, że płaci, mogąc pić darmo (stopień świętości dla zbójnika). „Turaczek” to drobna moneta. — tutaj i w tekście poniżej znajduje się wiele uwag, które w zamysle autora zapewne miały być jego przypisami do piosenek góralskich. [przypis edytorski]

<sup>403</sup>turma (daw.) — więzienie, wieża więzienna. [przypis edytorski]

<sup>404</sup>Koszyce — historyczne miasto węgierskie, obecnie znajdujące się na Słowacji. [przypis edytorski]

<sup>405</sup>udali — tu: pomówili. [przypis edytorski]

Ze ja chodził chodnikiem.

Zamecku, zamecku, nowomurowany,  
Hej, siedział ja w tobie rocek okowany.  
Siedział ja na zamku psez rok i psez tydzień,  
Nigdy ja nie wiedział, kiedy noc, kiedy dzień.

Piosenkę następną można uważać za całość.

Mali chłopcy, mali,  
Kiej się na zbój brali;  
Jesce nie porośli,  
Kiedy na zbój pośli;  
Jesce nie zbijali,  
Kiej ich połapali;  
Dyc ich połapali  
W zakopieńskiej hali.

W górach Zakopanego.  
Czas wreszcie zobaczyć zbójcę w całej jego dzikiej srogości — takiego zobaczymy  
w pieśni, którą tu kładę:

MAŻ ZBÓJCA  
Hańciu moja, pódź do domu,  
Wydam ja cię, nie wiem komu;  
Wydam ja cię Janickowi,  
Hej, walnemu zbójnickowi.

Janku, Janku, tęgiś zbójnik,  
Wies po wirchach każdy chodnik.  
We dnie idzies, w nocy wrócisz,  
A mnie biedną tylko smucisz.

Mas kosulkę uznujoną,  
A sablicku zakrwawioną.  
Janku, Janku, kędyś ty był,  
Coś se sablicku zakrwawił?

Wyrubałem tu jedlicku,  
Co stoją w okiencu,  
We dnie, w nocy hurkotała,  
Mnie smutnemu spać nie dała.

Psyniósł-ci jej chusty prac,  
A nie dał ich rozwijać.  
Ona prała, rozwijała,  
Prawu rucku nadybała.

W tej rucece pięć palusków,  
A na małym złoty pierścień,  
W tym pierścionku troje wrótki,  
— „Dyc to mego brata rucka”.

Niedługo się obawiała,  
Do matusi odsyłała:

— „Matko moja psemilena,  
Cy mam bratów syćkich doma?” —

— „Córaś moja! Nic z jednego,  
Z tych to siedmiu najmłodszego”. —  
Skoro wysedł rok, półtora,  
Nagodził jej Pan Bóg syna.

— „Lulaj, buba, synu mój!  
Nie bądź tak, jak ojciec twój.  
Na kąski bym cię siekała,  
Orłom, krukcom rozsypała”. —

A on za smerckiem słysy,  
I od złości cały dysy;  
— „Śpiewaj, Hanciu, jak śpiewała,  
Kiedyś syna powijała”. —

— „Lulaj, buba, synu mój!  
Być był tak, jak ojciec twój.  
We winie — bym cię kąpała,  
A w jedwabie powijała”.

— „Oblec, Hanciu, drogą satkę,  
A pójdziemy na psechadzkę”.  
— „Dwa rocekim z tobą zyła,  
Na psechadzki nie chodziła”.

A wziął ci ją za rucycku  
I zawiódł ją ku gaicku,  
Ocka carne jej wydłubał,  
Rącki białe jej odrubał.

Rozplakał się syn jej młody,  
Nie mógł ojcu on dać rady.  
— „Wstańże, Hanciu psemilena,  
Pódź, utul twój syna”.

A sam posedł w skały, w lasy,  
I nie ma go po te casy.

Jest to, moim zdaniem, jedna z najpiękniejszych pieśni pomiędzy pieśniami ludu. Niewoląca prostotą, rozdzierająca głębokim uczuciem, okropna w całej osnowie — nie przedstawia mi żadnego braku, żadnej skazy. Jest wykończona w każdym szczególe równie jak w całości, z tą sztuką, której tajemnicę tylko lud posiada w swoim czuciu otwartym, w swoim umyśle prostym, dlatego jasnym, do której zdolny jest tylko język ludu — pokorny, niestrojny, ale zwięzły, mianujący wszystko właściwym imieniem. Jest to jedna z tych pieśni, które za wzór brać powinniśmy i dobrze się ich uczyć, kiedy chcemy wprowadzić prawdę i w duchu, i w formie do naszej poezji.

Ponieważ pieśń ta opiewa zdarzenie prawdziwe i znane w okolicy, dołączano mi opowiadanie, które ją czyni jeszcze prawdziwszą, zwłaszcza na początku. Oto ono:

Pewien zamożny Góral miał oprócz siedmiu synów córkę jedynaczkę niepospolitej urody. Wielu zalotników starało się o nią. Między tymi znalazł się i zbój. Góral ojciec, równie jak nikt w okolicy, nie wiedział o tym. Przeciwnie, widział w nim bardzo porządnego gazdę, dał mu pierwszeństwo przed innymi i przyjął go za zięcia. Żona nie domyśla

Lud, Sztuka, Poezja,  
Prawda, Piękno

się także prawdy. Wszakże ją niepokoi i odludne jego mieszkanie w dzikich górach, i częste oddalanie się z powodów i dla celu, które jej są niewiadome. Pyta go czasem o to, równie jak o przyczynę, dlaczego nigdy nie chce otworzyć jej skrzyni ze swoimi rzeczami ani nie daje bielizny do prania, ale nie otrzymuje odpowiedzi, która by ją zadowalała. Jednego wieczora powraca znużony, spocony więcej niż zwyczajnie, broń jego zakrwawiona. Przelękniona żona bada go i tym razem — i znowu na próżno. Obsiada ją podejrzenie, czeka więc, aż swoim zwyczajem oddali się na dni kilka. Korzysta z tej nieobecności, otwiera jego skrzynię i znajduje pomiędzy szatami uciętą rękę. Na małym palcu był jeszcze pierścionek, dla którego ta ręka została odcięta i skryta; po tym pierścionku poznaje, że to ręka jej brata najmłodszego. Odkrycie to przekonało ją prawie, że jej mąż jest zbójcą. Po pewnym czasie „nagodził jej Pan Bóg syna”, jak pieśń powiada; temu śpiewając raz do snu, dawała nauki, ażeby się nie wdał w ojca. Przypadek zrządził, że mąż ją podsłuchał i poznał, że został odkryty. Ale w tej chwili zamyka się w gniewie, tylko wszedłszy do chaty, każe kończyć śpiewanie. Biedna żona daje pieśni inny obrót, pochlebny mężowi. Zbójcy to nie ulagadza, każe jej ubrać się w świąteczne suknie, wyprowadza siłą w las odludny i tam odcina jej ręce za to, że otwarły jego skrzynię, a oczy wydziera za to, że przepatrywały jego bieliznę. Po czym odprowadził ją do domu, a sam poszedł w Tatry i odtąd nie wiadomo, co się z nim stało.

Zamkniemy pieśnią, w której jest całe życie zbójcy:

Hej! chłopiec, ja chłopiec z końca Rogoźnicka<sup>406</sup>,  
Miałem matkę dobrą, a ojca zbójnicka.  
Jescem nie zbojował, dopierom probował,  
Z bucka na jedlickę w lesie pseskakował.  
Jescem nie zbojował, dopiero ten rocyk,  
Juz mię chcą powiesić na zelazny hacyk.  
Panowie, panowie, nie dajcie mię zgubić,  
Ja wam będę za to siedem rocków służyć.  
Panowie, panowie, wyróbcie mi prawo,  
Co bym ja nie siedział na Wiśnicu<sup>407</sup> darmo.  
Oj! Jakzeby było zal memu kochaniu,  
Kiejby mię powiedli z wirsku ku Muraniu,  
— „Powiadała ja ci: daj pozór na siebie,  
Hamerscy hajducy biorą się po ciebie.  
Obwiesą cię, Janku, za pośrednie ziobro,  
Juz ci będzie potem zbijać niepodobno”.  
A kiej mnie powiesą, moja dusa wstanie.  
Budzie ona hladzić frairki na sianie.  
Kiej mnie obwiesicie, obwieścisz mnie w mieście,  
Barylkę z palenką nade mną powiesicie.  
Tam budę se wisiał, budę se spoczywał,  
Tam budę co chwila palenkę popiwał.  
Obróćże mnie mistsu ockami ku drodze,  
Niech się ja napatsę tej zbójcekiej chodze.  
Zbójnicka frairka syćko popłakuje;  
Zbójnickiem na haku wiater porusuje.  
Mikułos, Mikułos, mikułoskie mosty,  
Tam się potyrają swarnych chłopów kosty.

Tyle o zbójnictwie w górach, które większą swoją częścią jest bardziej w przeszłości jak w terażniejszości.

<sup>406</sup>Rogoźnik — wieś Rogoźnik w pobliżu Ludźmierza. [przypis edytorski]

<sup>407</sup>Wiśnicz Mały — wieś w województwie małopolskim, w powiecie bocheńskim, gdzie znajdowało się słynne więzienie. [przypis edytorski]

## DOLINA ZAKOPANE. ŹRÓDŁO BIAŁEGO DUNAJCA. MAGURA. RUDY ŻELAZNE. STAWY GĄSIENICOWE<sup>408</sup>

Zakopane jest to miano wsi i doliny w Tatrach, idącej w tymże kierunku co Dolina Kościeliska. Przedziela je Giewont i pasmo wzgórz, o których mówiłem wyżej. Dolina ta nie jest tak wdzięczną jak Kościeliska, obejmuje jednak przedmioty godne widzenia. Z niej wypływa Biały Dunajec<sup>409</sup>, jak Czarny z Kościeliskiej. W jej obrębie znajdują się najobfitsze w tej okolicy rudy żelazne.

Chociaż pora roku spóźniona obsypała już śniegiem góry, skorzystałem jednak z pewnej sposobności i pojechałem do Zakopanego, aby raz jeszcze zbliżyć się do głębi Tatrów.

Jasny był poranek, w którym wyszliśmy na zwiedzenie doliny. Mróz nocny, kilkunastostopniowy, gwałtownie małał z podnoszącym się słońcem. Ziemia przyprószone była płytkim śniegiem. Biały Dunajec obficie tu płynie i okazał się niższy niż Czarny przy swoim źródle, z kamienia o kamień się rozbija. Cała dolina, szczególnie przy brzegach Dunajca, zawałona głazami, które woda ogładza i wyrzuca, nim je zabierze w następnej powodzi i dalej poniesie. Głazy te słyną szczególnie z mchu czerwonego, amarantowego. Jest on prawie niewidzialny gołym okiem, głaz pod nim wydaje się jak powleczonej czerwoną barwą; potarty bielizną złoty ślad na niej zostawia. Pachnie jak fiołek, a zwłaszcza podczas pięknych letnich poranków. Mówiono mi, że kamień tak omszały trzymany w izbie wydaje z siebie ten zapach bardzo długo.

Szliśmy ku źródłu Dunajca jego brzegiem. Przy drodze mieliśmy piękną polanę Kalatówkę<sup>410</sup>, otoczoną wysokimi górami, dalej bijący w oczy ogrom różnokształtnych opok, który jak wieniec otacza wzniosłą górę i zowie się: Zakopiański Zamek<sup>411</sup>. Z podnóża jego posady wypływa Biały Dunajec wodospadem czterosążniowej wysokości. W lecie uroczy ma przedstawiać widok ta woda, bijąca po omszałych kamieniach i biała od wiecznej piany, w zimie wybucha cokolwiek niżej i mniej gwałtownie.

Pierwszym i głównym stanowiskiem w dolinie jest hamernia, czyli kuźnia żelaza, przy której leżą domy mieszkalne, a między nimi dom samegoż właściciela tej okolicy. Z tego punktu rozpoczęliśmy naszą wycieczkę, której ostatecznym kresem miała być ruda żelazna, skąd biorą materiał surowy do hamerni. Ta ruda, czyli kopalnia albo jeszcze inaczej w tutejszym języku „bania”, leży o dwie godziny drogi od hamerni, w grzbiecie góry zwanej Magura<sup>412</sup>.

Droga do bań przestronna, dobrze utrzymana, ale tak stromo zawinięta wokoło góry (bo rudy leżą pod samymi szczytami), że wozom przewożącym rudę żelazną do hamerni zdejmują zadnie koła, a i to jeszcze nie może przeszkodzić, aby konie nie zlatywały w całym pędzie aż na miejsce mniej spadziste.

Wewnętrzny widok bań ma w sobie coś smutnie zajmującego. Ci ludzie z dziką, wybladłą twarzą, albo snujący się po licznie rozgałęzionych podziemiach, to z żelaznymi w rękach kagańcami, to z taczkami skrzypiącymi, albo z ciężkimi młotami pastwiący się jak złośliwe istoty nad łonem ziemi-matki. Te mdłe gwiazdki kagańców płonące tu wprost, tam w górze o kilkadziesiąt sążni, tam w dole w takiejże głębokości, albo biegnące z taczkami jak błędne ognie cementarza. Zresztą ta ciemność, ta cisza, ta sfera całkiem grobowa przenoszą myśl w jakąś dziedzinę fantazji dzikiej, czarnej, nieludzkiej, a nie anielskiej.

Szesnaście ludzi pracuje w tej bani od niedzieli do piątku. Sobota jest dniem odpoczynku. Jest nawet wiara między górnikami, że tego, kto by odważył się pracować tego dnia w bani, duch opiekujący się nimi skarałby jakimś wielkim nieszczęściem, a nawet zawaleniem całej bani.

Praca, Duch, Zabobony

<sup>408</sup>*Gąsienicowe Stawy* — grupa jezior w Dolinie Gąsienicowej, położonej w w polskich Tatrach. [przypis edytorski]

<sup>409</sup>*Z niej wypływa Biały Dunajec* — w rzeczywistości tworzą go potoki Cicha Woda, Strążyski, Bystra, Olcza, Poroniec i Sucha Woda wypływające z innych miejsc. [przypis edytorski]

<sup>410</sup>*Kalatówka* — właśc. Kalatówki, polana regłowa leżąca w Dolinie Bystrej w Tatrach Zachodnich. [przypis edytorski]

<sup>411</sup>*Zakopiański Zamek* — obecna nazwa to Kalacka Turnia. [przypis edytorski]

<sup>412</sup>*Magura* — tu: Kopa Magury nad Doliną Jaworzynką, szczyt należący do grani Kasprowego Wierchu. [przypis edytorski]

Zresztą banie te obfitują w źródła bardzo dobre. Górnicy wychodzą na noc z bani i mają szałas, gdzie odpoczywają. Stoi on pod nawisłą górą i wytrzymuje częste szturmy to lawin, to kamieni pękających od mrozu i toczących się na dół. Mają swojego naczelnika spomiędzy siebie, który surowo karze wszelkie przestępstwa łopatką umyślnie po to sporządzoną. Uderzeniem tej łopatki poświęcają także pierwszy raz zwiedzających te banie.

Nie mieliśmy dosyć czasu, by wejść na okazały skalisty szczyt Magury, musieliśmy poprzestać na niższym jej grzbiecie. Śnieg, spadły tam przed kilkoma już tygodniami, grubo leżał i w lód prawie stwardniał. Otaczał nas widok niezmiernie rozległy i piękny — na północ, wschód i południe.

Stąd mi pokazano i widziałem, ale w wielkiej odległości, Gąsienicowe Stawy. Leżą one cokolwiek niżej jak Pięciostawy, ale jeden z nich jest tak wielki<sup>413</sup> jak Morskie Oko i na środku ma wyspę. Z tego jeziora wypływa potok, który wpada do Dunajca pod Poroninem. Miejsce to, bliskie na pozór, leżało od nas, jak mi mówiono, o półtorej mili najmniej, pomiędzy górami<sup>414</sup> tak nagimi, jak są góry wokoło Pięciostawów.

O Magurze, na której byliśmy, to mi jeszcze powiadano, że w lecie przylatują tu ptaszki do kanarków bardzo podobne i ze śpiewem podobnym. My widzieliśmy dzisiaj tylko mech i kamyki, które pękały pod mrozem na wyższych szczytach i staczały się pod nogi nasze.

Zwiedzanie bań zakopiańskich naprowadziło mnie na myśl, której sobie rozjaśnić nie umiem, dlatego zapisuję ją tutaj. Zdaje mi się godne uwagi, że we Francji zowią się podobnie (*bagnes*<sup>415</sup>) miejsca surowej kary, po naszymu galery, i że niektóre obyczaje naszych bań są te same co między francuskimi galernikami. I tam, jak tutaj, sobota jest dniem świątecznym. Wiadomo także, że przybywający do galer musi uznać władzę, którą galernicy mianują wśród siebie, a czemu odpowiada w tutejszych baniach zwyczaj uderzenia łopatką zwiedzających je po raz pierwszy. Skąd te podobieństwa? Warto by się nad tym zastanowić.

## NA KLUCZKACH. POŻEGNANIE SIĘ Z GÓRAMI

Zima powraca, opanowała już Tatry, zasiadła znowu na nich, jak na odwiecznej swojej stolicy, i rozszerza dokoła swój podbój, z którego na chwilę ustąpić musiała. Lato cofa się, a z nim wdzięk życia i życie samo tych okolic. Mnie także los mój pędzi w inne strony. Wkrótce znajdę się w innym świecie, sferze innego życia. Będzie ono zapewne silniejsze na zewnątrz, gwarniejsze, więcej mnie zaprzątne, bardziej czas mi zajmie — ale czy znajdę w nim tę swobodę, tę błogość, tę pełnię uczuć, tę jasność myśli, to zadowolenie wewnętrzne, co tak szybko posuwa łódkę naszej żeglugi ziemskiej, dmąc tak łagodnie w żagle życia? Czy znajdę tam, co tu tracę, czy mi się wróci kiedy, co tu tracę? Czy wrócę jeszcze kiedy w te strony, gdzie znalazł tyle miłości w tych drzewach, głazach, dolinach, górach, wodach, ruinach, a nawet ludziach, w blasku słonecznym tych dni, w gwiazdkach tych nocy, w bełkocie tych potoków, w szumie tych wiatrów i w uroczyściej ciszy tych cieni łagodzonych gwiazdami na niebie, a na ziemi świecącymi robaczkami, gdzie i ja rozlał tyle miłości, włożył w każdy przedmiot tyle uczuć serdecznych, powierzył tyle rzewnych myśli tym wiatrom w różne strony do serc różnych? Znajdę się tu jeszcze kiedy jak przyjaciel wśród przyjaciół? Będę tu z dzisiejszą wzajemną miłością poznany, powitany, przyjęty? Uśmiechnie mi się jeszcze przyjazne oblicze tej okolicy? Obejmie mnie choć raz jeszcze w życiu to powietrze swoją miłością macierzyńską?

Dokoła widok niezmierny — zachwyciałem się nim niedawno — ale jak inny dzisiaj! Tatry wyglądają spod chmur zimowych dziko i groźnie. Lasy żółcieją i czernieją barwą późnej jesieni. Powietrze przeszywa podmuchami przykrego chłodu. Obok mnie szałas pusty, niemy, nie tak, jak było kilka tygodni temu. Spozieram dokoła — ogrom nieogarniony wzrokiem, a ja wśród tego ogromu — sam! „Świat wielki, a nie ma się gdzie pomieścić!” powiada nasze przysłowie. O, jak ta prawda przypada do obecnego mojego stanu! „Ptak ma swoje gniazdo, liszka swoją jamę, a syn człowieczy nie ma, gdzie

Przemiana, Przemijanie,  
Góry, Tęsknota, Rozstanie

Kondycja ludzka, Obraz  
świata, Przestrzeń,  
Samotność

<sup>413</sup>jeden z nich jest tak wielki — zapewne chodzi o Czarny Staw Gąsienicowy. [przypis edytorski]

<sup>414</sup>góry — m.in. Świnica, Kościelec, Kozi Wierch i Granaty. [przypis edytorski]

<sup>415</sup>bagne (fr.) — ciężkie więzienie, galery, kolonia karna. [przypis edytorski]

by głowę swoją mógł przyklonić!<sup>416</sup> — wyrzekł Chrystus. Nigdy mocniej nie poczułem tych słów rozdzierającej boleści, najgłębszej skargi, najstraszniejszego wyrzutu, jaki temu światu kiedykolwiek zrobiono. Tak jest! Nie ma gdzie głowy swojej skłonić syn człowieczy, skoro nie znajdzie piersi z prawdziwą, czystą, wyższą miłością, jaką znalazł Chrystus u jednego swojego ucznia<sup>417</sup>. Ale jakże ją mam znaleźć?

Szukam jej w przeszłości, szukam w teraźniejszości, szukam w przyszłości... Podnosi się w duszy poranek mojego życia. Zawiewa mnie jego powietrze. Widzę wioskę wołyńską, ustronną, skrytą w lasach, mój domek rodzinny, niedaleko pod lasem mogiłki wiejskie. Stała tam kiedyś cerkiew. Splamiło ją jakieś świętokradztwo, gniew boży dotknął to miejsce i cerkiew zapadła się pod ziemię z całym ludem, który ją napelniał, w sam dzień Wielkiej Nocy, podczas nabożeństwa. Nie zginęła jednak bez śladu i nadziei. Przyłożył w tym miejscu ucho do ziemi, w ten sam dzień, o tej samej porze, a usłyszysz dzwony podziemne. Tak lud twierdził i wierzył. Wierzyłem z ludem i wierzę. Biegłem po kryjomu na cmentarz, przykładając ucho do mogił, badając, czy nie usłyszę dzwonów zmartwychwstania.

Dzisiaj to samo robię — tylko jestem starszy o lat dwadzieścia i głuchszy wewnętrznym słuchem; tylko że tą mogiłą jest ogrom góry, na której stoję, a tym cmentarzem świat, co mnie otacza.

Zimny wiatr powiał, dreszcz przebiegł po ciele. To przyszłość, to życie w czynności po życiu w modlitwie, to atmosfera nizin ludzkości. Cóż robić! Schodźmy na dół, trzymając statecznie, cośmy wzięli na górze.

---

<sup>416</sup>Ptak ma swoje gniazdo, liszka swoją jamę, a syn człowieczy nie ma, gdzie by głowę swoją mógł przyklonić! — cytata z Biblii (Łk 9,58 i Mt 8,20). [przypis edytorski]

<sup>417</sup>znalezł Chrystus u jednego swojego ucznia — chodzi o św. Jana Ewangelistę, jednego z dwunastu apostołów Jezusa. [przypis edytorski]



# DODATEK

## *Wyjątki z rzeczy o Góralach tatrzańskich*<sup>418</sup>

Książka, Literat

Kiedyś, w innym położeniu, w innych okolicznościach, w czasie zupełnie dla mnie innym, niż jest dzisiejszy, zajmowała mnie szczerze myśl, żeby jeśli nie samemu stworzyć, to przynajmniej przyprowadzić innych, i to koniecznie, do stworzenia dzieła, które by przedstawiało obraz naszego kraju wykończony wszechstronnie — tak pod względem fizycznym, jak moralnym, równie w jego przeszłości, jak w stanie obecnym. Tytuł *Polska i lud polski* zdawał mi się odpowiedni dla podobnego dzieła. Pod wpływem tej myśli, wśród okoliczności przyjaźniejszych niemało rzuciłem na papier i zachowałem sobie pomysłów albo dla usprawiedliwienia głównej myśli, albo dla ułatwienia roboty współpracownikom, albo dla rozwinięcia całego planu budowy. Co więcej, zacząłem się już krzątać około gromadzenia materiałów do niej, a przede wszystkim zamierzałem ogłosić jej próbę, niejako model całej budowli, budowlę w rysach zmniejszonych, ale dokładnie wyobrażających to, co kiedyś miało się przedstawić na skalę bez porównania ogromniejszą. Tą próbką miała być rozprawa pod tytułem *Rzecz o Góralach tatrzańskich*, która nie byłaby niczym innym, jak pierwszym szkicem, ale pełnym, okolicy znanej pod nazwą Tatrów. Było to bowiem miejsce, które przypadek dał mi najlepiej poznać, o którym dostarczył mi najwięcej szczegółów, stosujących się właśnie do mojego zamiaru, i które przy tym najsilniej pociągało mnie ku sobie. Przeszkody niepodobne do zwalczania zatrzymały mnie w tej pracy, a dzisiaj ta praca, ten zamiar całkiem już nie dla mnie. Ale nie wszyscy są w moim położeniu; takim to udziałem, co się ocaliło z owoców niezupełnie bezpłodnych. Mogę to śmiało powiedzieć, bo włożyłem tam niejedną chwilę czystego natchnienia i szczerzej miłości dla prawdy. Może znajdzie się ktoś, co to poczuje, i posłuży się tym jak szczeblem do prac ważniejszych. Ta ofiara, licha bez wątpienia, byłaby jeszcze lichsza, przyniosłaby jeszcze więcej szkody niż korzyści temu, kto by chciał z niej skorzystać, gdybym zachował u siebie, jak się dzisiaj zapatruję na podobną pracę, która jest niczym innym, tylko doskonałym poznaniem się z naszym krajem. Otóż zupełność tej ofiary, prawa szczerości i sumiennosci wymagają, abym jeszcze słów kilka o tej rzeczy powiedział.

Uczucie, że doskonała znajomość swojego kraju jest bardzo pożyteczna, a nawet konieczna, pozostało niewzruszone, ale dojrzało przez czas i dlatego dziś dalej sięga niż w chwili, kiedy się zrodziło. I z tej przyczyny spodziewam się po głównej myśli mojej pracy innego skutku, niż sobie dawniej zamierzałem. Nie idzie tu już o pobudzenie do stworzenia dzieła, nie idzie o to, ażeby koniecznie pisać i ogłaszać drukiem, co się zebralo, czego się nauczyło między ludem. Czyż człowiek nie ma innych dróg objawienia swojej nauki, swojej mądrości, jak tylko przez książkę? Czy owoc drzewa wiedzy nie może już być inny — tylko książka? Jak najprościej postawiłem zapytanie i odpowiem na nie jak najprościej. Owoc wszelkiej nauki może być inny jak książka i głównie powinien być inny — to jest żywy jak człowiek. Dlatego potrzeba przede wszystkim żyć według nabytej mądrości, a takie życie może daleko więcej nauczyć i przynieść pożytku drugim niż najbardziej uczona książka. Przymierzając ten ogólnik do przedmiotu, który nas tu zajmuje, do poznania ludu, można by go tak wyrazić: poznajesz jakąś okolicę i lud tej okolicy dlatego jedynie, abyś wyciągnął wszelkie dobro, które się tam znajduje. Otóż wciel w swoją osobę to dobro, zamień je w żywotną część twojej istoty, a wtedy w jednym człowieku, w sobie samym, będziesz nosił całą okolicę i wyuczenie się jej będzie dla innych prędsze, skuteczniejsze, z mniejszym mozolem, niż gdyby przyszło wertować liczne książki albo i przechodzić dla ich sprawdzenia koleje, jakie ty przechodziłeś. Znajdą oni wszystko w zetknięciu się z tobą, będą mieli przed sobą w jednym człowieku całą bibliotekę, a co najważniejsze — bibliotekę żyjącą i czynną.

Nie rzuca się przez to klątwy bezwarunkowej na książki, na pisanie. Są zapewne rzeczy, które dosyć przechować i udzielić innym w książce. Są czasy, okoliczności, gdzie można być pożytecznym i dzięki książce, ale trzeba być bardzo przekonany, że jesteśmy w tym prawie. Dlatego dobrze jest przed zabraniem się do pisania rozważyć sumiennie:

<sup>418</sup> *Wyjątki z rzeczy o Góralach tatrzańskich* — rozprawa opublikowana w czasopiśmie „Rok 1844 pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych”, Poznań 1844, z. IX, s. 1-25. [przypis edytorski]

czyśmy koniecznie do tego przywieźdzeni? Czy nie mamy w naszej mocy skuteczniejszego środka usłużenia ogólnemu dobru? Czy czasem nie dlatego obieramy tę pracę, ażeby jej pozorem pokryć lenistwo, wstręt do pracy właściwej nam? Czy nie wkładamy w nią sił gdzie indziej przeznaczonych, na co innego nam danych? Czy w popędzie do pisarstwa jest sumienny, wewnętrzny rozkaz, czy może tylko tchórzostwo albo i rachuba poziomych zysków? Czy wielkich, krwawych dla nas ofiar ze strony innych nie chcemy spłacić atramentem i mozołem — niekiedy zapewne i długim, i ciężkim, ale który nigdy nie wytrzyma porównania z cierpieniami, z boleściami, z poświęceniem tego, co jest w człowieku żyjące — który nawet może z czasem zamienić się w taką rozkosz jak pijaństwo i tym podobne najszkodliwsze nałogi? Kiedy to wszystko rozważymy w obliczu najświętszych obowiązków człowieka i otrzymamy zupełne przyzwolenie sumienia, wtedy siadajmy i piszmy. Ale dopiero wtedy.

W takim tylko duchu pozwoliłem sobie wrócić do pracy dawno zawieszanej. Dziś jestem w stanie tylko część jej udzielić, część tyczącą się poezji Górali tatrzańskich. Kilka myśli ogólnych, które stanowią wyjątek pierwszy, nie są bez pewnej wagi i związku z wyjątkiem później nastąpić mającym.

Te kilka słów przedwstępnych uważałem za konieczne i one tylko są napisane w chwili, kiedym zobaczył, że moja praca, zaniedbana od lat kilku, może być jeszcze ogłoszona i przydatna, chociaż nie w wykończeniu zamierzonym pierwotnie. Co potem następuje, wszystko to jest dawniejsze. Z obecnej chwili pozwoliłem sobie tyle tylko użyć, ile było potrzeba do pracy przyszykowania, związania i dopełnienia gdzieś tej rozprawki.

#### WYJĄTEK I. Myśli ogólne tyczące się poznania ludu

##### § I

Nie ma, moim zdaniem, nic miłszego, nic pożyteczniejszego, a nawet nic bardziej koniecznego, jak znajomość swojego kraju. Ta znajomość nie może być bez znajomości ludu. Jest to jedna z tych prawd, które nie potrzebują dowodzenia. Dostyc je wspomnieć, aby ich oczywistością uderzyć wszystkie umysły. I w rzeczy samej, z którejkolwiek strony weźmiemy ten przedmiot, z każdej zobaczymy jego wielką ważność. Gdy chcemy wzbogacić ogólną wiedzę nauką o przeszłości, praca nasza nie będzie zupełna, jeżeli w głąb ludu nie zajrzemy — tam tylko znajdziemy dla naszych badań filozoficznych kopalnię dawnych religii, moralności, obyczajności, prawodawstwa, urządzeń społecznych i administracyjnych. Gdy jako ludzie czynu chcemy pracować dla przyszłości, tam tylko znajdziemy ten w przeszłości punkt wyjścia, z którego śmiało iść dalej możemy, ten jedyny kierunek, w którym możemy przeciągnąć pożytecznie kres<sup>419</sup> dalszego bytu. Gdy siebie chcemy podnieść, musimy tam wziąć siłę pędu, lud do wyższego stopnia oświaty podnosić będziemy, tam tylko szukać musimy miejsca, gdzie byśmy dźwignię naszych sił zastosowali. Gdybyśmy wreszcie nie zamierzali sobie nic więcej, tylko zostać artystami narodowymi, to i w takim razie główne ukształtowanie nasze w ludzie, najważniejsza strona celu naszego w ludzie. Bez znajomości ludu nie będziemy nigdy prawdziwymi artystami narodowymi — nie pojawiwszy mody, zostaniemy niepojętymi przez nią. Można więc twierdzić, że znajomość ludu jest to jeden z rozdziałów niskiej księgi, której każdy wyuczyć się powinien, aby został pożyteczny dla swojego kraju. Jest to jedna z głosek narodowego abecadła, a kto się jej nie nauczy, nie będzie mógł nigdy czytać w księdze życia narodowego i o tyle tylko postąpi w mądrości narodowej, o ile wyuczy się tej głoski, tego rozdziału. Tymczasem to pole, tak niewyczerpane w plonach dobroczynnych, w plonach nieobrachowanej, wszechstronnej korzyści, leżało dotąd — a nawet można powiedzieć, że i dziś jeszcze leży — odłogiem. Liczba pracowników tak mała, skutki ich usiłowań tak drobne, że są prawie niczym w porównaniu z tym, co jeszcze do zrobienia pozostaje. Nie możemy bowiem tać przed sobą, że praca ta jest ogromna, olbrzymia. Weźmy na przykład kraj nasz. Ileż to miejscowości go składa, miejscowości tak różnych od siebie. Dojdziemyż do doskonałej znajomości kraju bez poznania szczegółowego jego okolic? Przecież są to szczegóły jednego obrazu, rysy jednej fizjonomii. Wszystkie wiążą się między sobą, wpływają na siebie. Jeden opuszczony odejmuje podobieństwo fizjonomii, a tymczasem jedna okolica może wymagać poświęcenia lat kilku, a takich okolic krocie. Praca więc olbrzymia, to prawda, ale w pewnej mierze możliwa do wykonania.

<sup>419</sup>kresa (daw.) — tu: koniec, granica. [przypis edytorski]

Nie idzie tu o zrobienie wszystkiego na raz przez jedną osobę, bynajmniej. Niech każdy poprzestanie na tym tylko, co może zrobić, sumiennie zbadawszy swoje siły i ciężar z całego ogromu, jaki może na nie włożyć, niech zrobi, jak może najwięcej, zresztą niech zrobi cokolwiek, aby tylko zrobił. A powoli, powoli, prędzej może, niż się nam, pojedynczym ludziom, wydaje, przysporzy się taki zapas materiałów, że znajdą godnego siebie badacza, który je ułoży w całość odpowiadającą wymaganiom społecznego pokolenia, a przynajmniej położy węgielny kamień, na którym wiek po wieku będzie rozszerzał budowę ducha ludowego według pierwotnego planu. Gdyby czyje położenie nie pozwalało mu żadną miarą mieć czynnego udziału w tej pracy, niech przynajmniej weźmie sobie za obowiązek przekonywać innych o jej konieczności i choć tym sposobem niech się do niej przyłoży.

Tym uczuciem mocno przejęty, składam przed moimi ziomkami dla ich użytku, na co zdobyć się mogłem. Jest to bardzo mało, nie może być mniej w porównaniu z całym przedmiotem. Czuję to mocniej, niż ktokolwiek uczuć zdoła, bo bliżej może, niż ktokolwiek, przypatrzyłem się mojemu przedmiotowi. Ale śmiem sobie pochlebiać, że dar mój nie jest żaden. Zresztą publiczność niech go sądzi. Ja z mojej strony powinienem tylko i mogę śmiało zapewnić, że jest wykonany z najściślejszą sumiennością główny warunek, aby przyniósł jakąkolwiek korzyść — i jeżeli niewielką, to rzeczywistą. Co tu ogłaszam jako własność ludu, jest nią niewątpliwie. Albo sam to widziałem i słyszałem w źródle samym, albo mam od osób, którym znajomość rzeczy dawała prawo mówić o niej, a zarazem dawała rękojmię wiarygodności tego, czego mi udzielali. Nie pozwoliłem sobie na żadną dowolność. Mogę powiedzieć, że wystawiam na widok dobyte przeze mnie kruszec w całym jego rodzimym nieokrzesaniu. Moim własnym uwagom, przypuszczeniom i domysłem starałem się dać taką postać, aby w niczym nie zaciemniały głównego przedmiotu, nie zmieniały jego istoty, nie podchodziły sądu czytelnika. Wyznanie to robię dlatego, że równą sumiennoscą powinien mieć każdy, imający się podobnej pracy.

Wszystko to jednak jest jeszcze mniej ważne w stosunku do tego, co w tym wstępie powiedzieć zamierzyłem. Nie przedstawienie mojej pracy w korzystnym świetle skłoniło mnie do niego, ale zamiar rozleglejszy, ogólniejszy. W głębokim i długim zastanawianiu się nad owym poznawaniem ludu, nad wykończonym obrazem jego, przyszło mi wiele myśli ogólnych, sięgających do dna przedmiotu, a sam główny pomysł ułożył się w pewien systemat, który mi się wydał dosyć dokładny. Otóż te kilka myśli i ogólny rys systematu czy metody w poznaniu ludu uważałem przede wszystkim za konieczne postawić na czele mojej pracy. Będzie to najprostsze i najogólniejsze, jak tylko być może, rozwiązanie zapytania: z jakich stron mamy wziąć szczególnie życie naszego ludu, aby przyjść do wszechstronnej wiedzy o jego masie.

## § II

Jeżeli która nauka, to nauka ludu powinna mieć cel godniejszy człowieka, niż zaspokojenie jałowej ciekawości albo rozrywka. Zaspokojenie ciekawości, rozrywka przez naukę, jest jedną z największych win próżniactwa, rodzajem świętokradztwa. Człowiek-mąż szuka tam czegoś więcej, szuka wzmocnienia, podniesienia do wyższej potęgi wszelkich sił swoich; szuka kierunku, w którym by najwłaściwiej te siły zwrócił do czynności pożytecznej bezpośrednio. Człowiek chwytający naukę jedynie dla zaspokojenia próżnej ciekawości jest moralnym żarłokiem, który wszystko puszcza w podrzędną część swojej moralnej strony, jak zwyczajny żarłok obraca wszystko na utuczenie swojego brzucha. Człowiek szukający w nauce tylko rozrywki jest umysłowym rozpustnikiem, który wszystko obraca na lechtanie umysłu, jak rozpustnik zmysłowy obraca wszystko na lechtanie zmysłów, nerwów, serca. Człowiek-mędrzec co się zowie jest jak człowiek skromny, wstrzemięźliwy w życiu fizycznym, który sumiennie bada swoje potrzeby i sumiennie je zaspakaja; jeżeli co spożyje, to dlatego tylko, aby powiększył masę krwi zdrowej, lekkiej, potrzebnej do utrzymania ciała w sile i energii, jakich wymaga spełnienie czynności we właściwej mu sferze.

Chybiamy w braniu nauki nie samym tylko celem nieprawym, ale stanem nieodpowiednim do tej czynności, usposobieniem wewnętrznym i sposobami, jakimi ją bierzemy. Bez wątpienia łatwo każdemu poczuć, że wszelka nauka, aby wyszła na korzyść, wymaga pewnych warunków, jak są pewne pokarmy, które dają zdrowie lub słabość, według

Nauka

stanu, w jakim je spożywamy, i według ich przyrodzenia. Nauka ludu ma także swoje warunki — dotkniemy niektórych ogólnie.

Nie odniesiemy najmniejszej korzyści z nauki ludu, jeżeli nie zaczniemy przede wszystkim od zawiązania stosunków między nim a nami przez to, co jest najgłębsze w nas i w nim, przez nasze, że się tak wyrażę, moralne wnętrzości. Można to widzieć dotykalnie na codziennym przykładzie dwóch osób, które się związały czystą przyjaźnią, czystą miłością. Nie ma ani prawdziwej miłości, ani prawdziwej przyjaźni, gdy związek dwóch osób opiera się tylko na pociągu zmysłowym albo na rachubach interesu poziomego — gdzie nie dwie dusze przystały do siebie, ale tylko dwa ciała albo dwa interesy chwilowe. Taki związek nie wyda zdrowych owoców związku czystego. Podobnie nauka ludu nie wyda zdrowego owocu, dopóki dusza nasza nie przystanie do duszy ludu. Żeby zaś przystała, musi przyjść do pewnego z nią podobieństwa, do pewnej tożsamości z tym, co stanowi istotę ludu. A naprzód musimy obudzić w sobie pociąg, który by wyzwiał pociąg ludu ku nam i pozwolił mu spotkać się z naszym. Ten pociąg nie jest to nic innego, tylko to, co nazywamy miłością. O ile ta miłość jest z jednej strony czystsza, silniejsza, o tyle pewniej i prędzej wyzywa miłość podobną drugiej strony, o tyle zetknięcie się ich jest bardziej niezawodne. Jest to otwarcie się duszy na przyjęcie w swój uścisk drugiej duszy — wyzwana przez taki ruch odpowiada natychmiast ruchem podobnym, bo miłość szuka wiecznie miłości. I łączą się z sobą, jak tylko się znajdują.

Tu jest konieczne szczere uchylenie czoła przed tym, co w ludzie jest dobre i święte; szczere uczczenie, a zatem szczere uznanie tego. Nawet między ludźmi pojedynczymi wzajemna cześć, wzajemny szacunek są podstawą trwałych związków. To zespolenie się w cześć i szacunek jest konieczne dla stosunków na skalę rozleglejszą. Gdzie tego nie ma, tam jedna strona przychodzi z uczuciem wyższości, z dumą, z jarzmem dla strony drugiej. Człowiek ludu nie otworzy się przed nakazem dumy, nie ma ludzkiej potęgi, która by aż do tego stopnia oświadczyła człowiekiem. A gdyby się i otworzył, oko z bielmem duszy nie zobaczyłoby go we właściwej mu czystości, nie zobaczyłoby w nim prawdy. Dodam jeszcze, że uczczenie to musi być szczere, a nie udane. I tak jest — człowiek ludu instynktem swojej czystości natychmiast odgadnie obłudę i zmyli jej zamiary. Ktokolwiek tedy zabiera się do uczenia się ludu, niech odłoży na bok dumę rozumu i uczucie swojej wyższości nad ludem. Niech przy całym swoim wykształceniu ma to przekonanie, że idzie dowiedzieć się rzeczy, których nie wie, których nie dowie się nigdzie indziej, że wyższy może nad człowieka ludu pod niektórymi względami, pod najważniejszymi jest niższy od niego, że nie idzie z nauką, ale po naukę. Takie uczucie postawi go w stanie prostoty chłopka, na równi z nim, i będzie niejako tym, czym są szkła astronomiczne dla badającego bieg i istotę planet. Gdyby ktoś chciał poznać astronomicznie jakąś planetę, a odrzucił szkła ku temu służące, z zarozumiałstwa, że mu wystarczy wrodzona bystrość jego wzroku, czy mógłby zobaczyć coś więcej nad to, co widzi zwyczajnie gołym okiem? W podobnym przypadku byłby ten, kto by chciał lud poznać, nie wzięwszy u siebie owej czystości, owej prostoty, które są jego sferą i jedynymi promieniami zdolnymi nas z nim połączyć. A o ile więcej tych promieni potrafimy skupić w naszej duszy, o tyle wzmocnimy jej oko, o tyle przybliżymy i powiększymy dla niego świat ludu.

Ważne to dla człowieka zagadnienie — owa prostota — i dlatego zatrzymam się jeszcze cokolwiek przy niej.

Naród jest to myśl boska. Ludem nazywamy część narodu, gdzie ta myśl najwyraźniej się przebija, czyli w największej swej prostocie, to jest prawdziwości. Prostota zatem w znaczeniu, w jakim utworzono ten wyraz, jest to najściślejsze, najswobodniejsze, najczystsze objawienie tego, co w człowieku jest dobre, piękne, wzniosłe, święte, jednym słowem — boskie. Nasz cudowny język, w głębokości swojego ducha dotąd niezmiernie, wyrazi „prawdziwość” i „prostota” poświęcił niemal jak jednoznaczne. Roztrząśnijmy tysiączne sposoby ich użycia, a wszędzie dostrzeżemy, że prostota brana jest jako stan prawdy w swej nagości jak może być największej, w swej niewinności dziecięcej. Cywilizacja dzisiejsza — usiłująca głównie odziać wszystko formami dla oka, pozorami pięknymi, choćby najbardziej niezgodnymi z istotą rzeczy, co by się matematycznie dało dowieść, gdyby tu było miejsce po temu — poniża prostotę, okrywa ją śmiesznością, pogardą, a nawet nienawidzi jej w głębi. I nie ma w tym nic dziwnego, są to albowiem dwie rzeczy całkiem sobie przeciwne, jak być muszą przeciwne cywilizacja fałszywa i prawdzi-

Nauka, Lud

Obraz świata, Kondycja  
ludzka

wa, czyli krzywa i prosta, czyli jeszcze wyraźniej — cywilizacja form i cywilizacja ducha rzeczy. Weźmy np. ten przedmiot z jego strony najważniejszej. Cywilizacja prawdziwa to jest żyć uczciwie, a kto żyje pocziwie, nie ma potrzeby żyć inaczej jak po prostu; i głównym piętnem jej charakteru jest działanie, bo działanie dopiero jest prawdziwym życiem. Cywilizacja dzisiejsza, przeciwnie, zasadza się na tym, do tego przede wszystkim dąży i tym się odznacza, aby wiele umieć, a nie umiejąc, dobrze udać, że się umie. We wszystkim pozory miłe, piękne, nietroszczące się o głąb rzeczy choćby najobrzydliwszej, we wszystkim sztuka — na co polski język nie ma nawet własnego wyrazu. Żeby to zobaczyć jeszcze wyraźniej, rzućmy okiem na występki wspólne klasom tak zwanym wyższej i niższej, porównajmy, jak się przedstawiają w jednej i drugiej sferze. Będzie to najlepszą wskazówką, gdzie jest prawdziwa cywilizacja, i pokaże nam wartość prostoty. Lud ma występki, ale ich nie krasi. Oszust we wsi, jeżeli się znajdzie, nie ma zapewne tego szacunku co człowiek prawy. Chłop może niekiedy, równie jak panicz, zbałamucić kobietę, ale tego nikt nie usprawiedliwia jako zalety. Pijaństwo jest między wieśniakami, nawet bardzo powszechne, ale nie przestało być nigdy uważane za zło. Tymczasem podobny oszust w klasie cywilizowanej jest często bardzo szanowanym przez innych kupcem, bankierem, dyplomata i nieraz przewodzi ludziom najbardziej prawym. Podobny uwodziciel jest pieśczętą salonów i wzorem dla niejednego. Pijak, hulaka nie straci nic na tym, byle się upijał winem z kryształów i utracił majątek na rozpustę kosztowną. Dodajmyż występki, których lud nawet nie zna, jak np. szulerstwo, a które dają wstęp do najlepszych towarzystw i zamieniły się w konieczny warunek porządnej zabawy. Jak próżniacy, którymi roją się nasze domy, a z których każdy we wsi byłby uważany za nic więcej jak za ladaco, tym gorsze, im więcej widziano by w nim sił i zdolności do pracowania. Skądże ta różnica tak uderzająca w zapatrywaniu się na rzeczy? Oto stąd, że obie cywilizacje wyszły z punktów całkiem innych i przeciwnych sobie i zmierzają do innych także celów innymi drogami. Powiedzmy otwarcie: chodzi tu o więcej, niż się zdaje. Zagadnienie cywilizacji jest to najważniejsze dla człowieka zagadnienie, odwieczne, tylko postawione dzisiaj w nowoczesnym, filozoficznym języku. Zobaczmy je w całej jego prostocie. Narodzenie się obu cywilizacji jest odwieczne, ich niezgodność jest odwieczna. Cywilizacja prawdziwa, poczęta z ducha, ma za cel jego podniesienie, rozwija się na drodze ducha i do tego celu przykrawa materię. Jest chrześcijaństwem — idzie otwarcie, śmiało, bo w czystości, a jej hasłem jest prostota. Cywilizacja fałszywa wyszła z materii, działa i rozwija się na polu materii, z wieczną myślą wylamania się spod prawa ducha, czasem przez bunt otwarty, częściej przez oszustwo, przez przedstawianie się ludziom pod formami skradzionymi duchowi — i nie jest niczym innym, jak tylko pogaństwem. Takim pogaństwem jest nasza cywilizacja pomimo wszystkich form chrześcijańskich, pomimo wszystkich pozorów duchowości; zobaczymy ją całą w hasle, pod jakim prowadzi swoje czynności w pewnej sferze, którą jest przyzwoitość<sup>420</sup>. Co ten wyraz mówi? Prawda, że ta i ta, dajmy, czynność jest szkaradna w głębi, ale ponieważ ma formę przyjemną, weźmy ją jak dobrą, a będziemy mieli spokój, zgodę. Przyzwoitość zatem jest to koncesja dla zła od dobra — od chrześcijaństwa dla pogaństwa — w sferze drobniejszych spraw człowieka. Okropnie myli się ten, kto, żyjąc w jarzmie przyzwoitości, ma się za dobrego chrześcijanina dlatego, że się modli i innych form chrześcijańskich przestrzega. On tylko ludzi siebie i drugich. Dlatego to prostota i przyzwoitość nigdy się nie pogodzą. I ktokolwiek chce poczuć życie ludu, nie przyjdzie do tego, dopóki nie wyrzuci z siebie cywilizacji przyzwoitości, a nie przyjmie cywilizacji prostoty. Dopiero wtedy otworzą mu się moralne skarby ludu i zostaną do jego rozporządzenia jako wspólna własność.

### § III

Kraj składa się z drobniejszych miejscowości, z okolic. Każda okolica ma zwykle coś, co ją wyszczególnia w całości. Zbiór tych rysów stanowi ogólną fizjonomię kraju, ich znajomość daje znajomość kraju. To samo i jeszcze ściślej stosuje się do ludu — ażeby dokładnie poznać ogół ludu, potrzeba go poznać w różnych jego okolicach.

W następstwie powyższej myśli lud, czy go weźmiemy w ogóle, czy pewną jego część, to jest pewną okolicę, ma podwójne oblicze: moralne i fizyczne, wewnętrzne

<sup>420</sup>przyzwoitość — tutaj rozumiana jest jako powierzchowne przestrzeganie zewnętrznych reguł (np. grzesnościowych), zachowywanie pozorów, konwencja towarzyska. [przypis edytorski]

i zewnętrzne, czyli ma duszę i ciało jak człowiek pojedynczy, i ażeby wszechstronnie był zbadany, trzeba go widzieć w obu tych obliczach. Wiązą się w nich i skupiają się wszystkie członki jego ciała, wszystkie rysy jego fizjonomii, wszystkie promienie jego życia zwierzęcego i duchowego. Badanie powinno iść jak życie, z wewnątrz człowieka, od źródła życia — dlatego zacząć od strony moralnej ludu.

a. Powiedzieliśmy wyżej, że lud jest myślą boską, i tak jest w samej rzeczy. Lud to myśl boska, widoma w pewnej liczbie ludzi związanych przez nią tajemniczo dla pewnego celu wyższego, moralnego, dla spełnienia pewnego powołania w ogólnym powołaniu stworzenia, dla zadośćuczynienia pewnym obowiązkom, które są gałązkami prawa jedyne, najwyższego, boskiego, a co wszystko owa myśl w sobie zamyka, tak że jest i wiekiustym celem narodu, i jedyną prostą drogą do tego celu, i jedynym żywiołem trwania narodu na ziemi, i jedynym warunkiem jego szczęścia wszelkiego. Mówiąc krótko, jest jego prawdą i żywotem — ideą narodową.

Stan tej myśli objawia się najwyraźniej w sferze czysto religijnej jako najbardziej duchowej, a zatem najwłaściwszej temu, co z istoty swojej, w swoim pierwiastku nie może być czym innym, tylko duchem, jakim jest wszelka myśl żyjąca i dająca życie, wszelka myśl Boga. Wyobrażenia, uczucia religijne, praktyka religii, jednym słowem, religijność ludu to jest jego idea wcielona już w ziemskie formy, mniej i więcej mocna lub słaba, pokazująca wyższy lub niższy stopień życia narodowego. Tą wskazówką nie może być ani dobry byt materialny, ani kwitnący stan przemysłu, ani obfitość arcydzieł sztuki, ani szerząca się głębsza umiejętność, ani nawet urządzenia społeczne i polityczne odpowiadające mniej więcej panującym wyobrażeniom postępu i duchowi czasu, bo wszystko to może ożywiać i obracać na swoją korzyść duch przeciwny całkiem duchowi życia narodowego. Wszystko to może być jedynie parciem życia obcego, zewnętrznego ku zdławieniu życia wewnętrznego, rodzimego. W takim razie myśl boska, wypierana zewsząd, skupia się i broni się, jak w twierdzy, w sferze czysto religijnej i dopóki stamtąd nie ustąpi, lud żyje. Może się zdarzyć, że i tam zostanie zdradzona przez swoich obrońców, wtedy opuszcza to ostatnie stanowisko narodowe, a naród pada trupem, rozwiązuje się w swojej organizacji ziemskiej i jako ciało rozprasza się w żywioły ciał obcych, zostaje pochłonięty w swojej części materialnej przez materię, która go pokonała. Nie lęka się on tego losu, dopóki lud pielęgnuje swoją religijność. Jego życie całe, choć może bardzo ściśnione, jest w nim, bo Bóg jest z nim — przez ducha swojej myśli. Nikt tego mocniej nie czuje jak lud, choć go nie słyszymy, aby rozprawiał o swoim powołaniu, choć nie potrafi okazać rozumowo swojego celu i swojej drogi. On więcej i lepiej robi, bo to objawia — i nie przez to jedynie, że uczęszcza na odpusty, że się modli, że dopełnia aktów czysto religijnych, ale że całe swoje życie stara się stosować do tej myśli, że w każdej chwili oddycha nią i bierze ją w siebie nawet mimo swej wiedzy, jak bierzemy i wydychamy powietrze. I to jest przede wszystkim, w czym badacz ludu ocenić go i co wziąć od niego powinien. Kto by to jedno wziął tylko, może się uważać, jak gdyby wziął wszystko, bo ma świętą iskrę życia ludu. Kto tego nie weźmie, wszystko inne nabyte i zebrane pomiędzy ludem na nic mu się nie przyda. Byłby on jak chory pielgrzymujący do cudownego miejsca dla odzyskania zdrowia, ale tam — miast starania się o zdrowie — zbierał pieśni nabożne, skupował medaliki, relikwie i z nimi wracał do domu. Na cóż mu to wszystko, kiedy zdrowia nie odzyskał i lada chwila skonał?

b. Niezliczone mogą być formy objawienia się myśli żywotnej ludu. Im więcej takich form, im wyraźniej promieniuje z nich owa myśl, tym silniejsze jest życie ludu. I tylko w tym duchu badanie, tylko wyszukiwanie dowodów życia może mieć jakąś wartość. Z tego powodu nie powinno być nic obojętne i pominięte, co się napotka między ludem. Jednym z najważniejszych rozdziałów jego księgi jest to, co niektórzy zowią wiarą gminu. Są to pewne wyobrażenia, pewne wierzenia, pewne obrzędy, z których jedne noszą piętno chrześcijaństwa, a inne zdają się mu sprzeciwiać. Są one znajome nam pod nazwą zabobonów, przesądów, wróżb, czarów i tym podobnie. Mają one większą wagę, niż się zdaje na pozór. Artyści poczuli to, ale nie wykazali całej ich wartości. Najgorzej robią ci, którzy z pogardą odrzucają ten przedmiot jako niegodny jakiegokolwiek zgłębienia. Przypuśćmy, że nie są konieczne do obecnego życia, ale czy możemy sumiennie twierdzić, że się w nich nie zamykają wielkie tajemnice ducha przeszłości? Te zabobony, przesady, może to zabytki dawnych religii, może to religia niegdyś tak święta, potężna, jak są panujące

Lud, Bóg, Naród, Religia

Zabobony, Wierzenia,  
Religia

dzisiaj religie. Obróciła się w zabobon, w przesąd, bo światło żywotnej myśli wypaliło się w kolei wieków, a gdy w ostatnim płomyku uniosło ze sobą ostatnią iskrę życia, nowa religia potraciła próżną formę starej, strzaskala ją i z całej budowy pozostała kupa gruzów. Lud-czciiciel uratował, co mógł, i przeniósł do swoich ognisk. Niektóre z tych świętości uległy czasowi, inne przechowały się aż do dni naszych pod rodzajową nazwą zabobonów czy przesądów. Dlatego nie pogardzajmy nimi, nie ważmy ich lekce. Ważniejsze to zabytki dla moralnej strony dziejów człowieka niż szkielety mamutów. Szanujmy w nich dawną ich wielkość. Z niejednej może religii, jaśniejącej dziś jak południe, pozostanie sam zabobon. Niejedna filozofia, depcząca dziś dumnie mądrość ludu, przypomni się światu w niedalekim może czasie w postaci błędnego przesądu i potem zniknie bez śladu, kiedy niejedyn dzisiejszy zabobon czeka tylko może tej myśli, która w nim rozdmucha iskrę życia uspiętego dotąd, ale wiecznego, i postawi między najbardziej szanowanymi formami nowego życia ludzkiego. Nie przeczę, że są zabobony rażące niedorzecznością, obrzydliwe, ale po największej części jest w tym wina ich formy. Nam dziś nie wolno zatrzymywać się na formie, nie wolno zrażać się nią; należy iść w głąb i odczytywać to, co albo je kiedyś ożywiało, albo w przyszłości ożywić może. Gdyż, jak powiedziałem, są to formy wielkiej, odwiecznej prawdy właściwej swojemu czasowi, leżące dzisiaj w stanie martwoty, skażenia — albo przez moralny upadek ludu, albo przez jego postępek po drodze nowego światła, albo nawet przez niedojście jeszcze do pewnego punktu. Bądź co bądź, ja przynajmniej nie znam zabobonu, jakkolwiek niedorzecznego na pozór, abym po głębszym wejrzeniu nie dostrzegł na dnie jego wielkiej prawdy, związanej z największymi prawdami naszych czasów.

c. Przez wyuzdaną pychę rozumu przyszlismy do tego stanu niedołęstwa rozumowego, że tajemnicza strona stowarzyszenia albo się nam przedstawia Bóg wie po jakimu, albo wprost nie istnieje dla nas i pobudza nas tylko do szyderczego uśmiechu, jak gdybyśmy bez żadnej wątpliwości wszystko wiedzieli i wszystko mogli. Lud, przez mądrość swojej prostoty, przez religijną pokorę przed ogromem Boga i jego dzieła, wolny jest od tego głupstwa. Nie wstydzi się on, że nie wie tego, czego mu jeszcze wiedzieć nie dano, i nie ma bezczelności tłumaczyć wszystkiego na pierwsze zawołanie, jak się to nam nieraz przytrafia, ni w pięć, ni w dziewięć, a jednak z taką pewnością, jak gdybyśmy towarzyszyli początkom stworzenia i uszykowali je według naszego planu. Za to też (a co powiem, to śmiało twierdzą i w potrzebie mógłbym poprzeć najoczywistszymi dowodami), za to też w wiedzy o tej stronie tajemniczej stoi daleko wyżej od nas. Wyobrażenia nawet nie mamy, jak on mocno czuje, jak jasno pojmuje to życie, które go otacza, a które my za ledwie odgadujemy — i to w części niezmiernie małej i tylko ze zjawisk zmysłowych, z jego form, a i te jeszcze kładziemy powszechnie prawie pomiędzy złudzenia, pomiędzy gadki gminne. On nie tak o tym sądzi, on z tym życiem wiąże swoje i utrzymuje ciągle wzajemny ich stosunek. Pod tym względem wielką może przynieść naukę zbadanie ludu we wszystkich tajemnicach jego życia prywatnego, domowego, jego zwyczajów, zatrudnień, rządu wewnętrznego, a nawet zabaw. Możemy być pewni, że w życiu człowieka ludu nie ma żadnej chwili ważniejszej, żadnego czynu istotniejszego, żeby się nie udał do świata niewidzialnego po opiekę, pomoc lub radę, żeby nie czuł jego dobrego lub złego wpływu. Jest to jeden ze znaków, w jakiej czystości przechował swoje życie wewnętrzne, jak mocno je czuje i jak we właściwym kierunku puszcza główną jego siłę, bo tylko pod tymi warunkami można przeniknąć tajemnice ogółu życia, które jest na zewnątrz nas i zespoli się z nim z pewną władzą nad nim na przekór formom, które przeszkadzają temu zetknięciu się i współżyciu. My nie przykładamy do tego wagi i dlatego, wiele razy puszczamy się w podobnym kierunku — powracamy w zwyczajną sferę albo z większym niedowiarstwem, albo z szyderczym uśmiechem odepchniętej duszy. Można dotknąć zmysłami tego, co jest zmysłowe, można rozumem pojąć rozum, sercem serce, ale jak pojąć zmysłami, rozumem lub sercem to, co nie jest ani jednym, ani drugim, ani trzecim? Lud to wie i tę wiedzę obraca na swoją korzyść. I między ludem tylko można się tego prędkiej nauczyć niż gdziekolwiek indziej.

d. Zdolność wewnętrznego porozumienia się z przyrodą zbliżyła do niej lud bardziej i dała mu świadomość jej większą, niż się nam zdaje. Nie ogarnia może ona takiej przestrzeni jak nauka uczonych z dyscypliny, ale w sferze właściwej ludowi jest daleko większa i badaczowi naszej ziemi przedstawia niesłychanie obszerne i zajmujące pole. Oddzieleni

Lud, Natura

od ludu, jak jesteśmy, nie możemy się ani domyślać, trudno nam uwierzyć w bogactwo znajdujących się tam materiałów dla natchnień poety, dla rozważań mędrca. Nie napotkamy tam uczonych klasyfikacji na królestwa, rodzaje, rządy i tym podobnie, ale usłyszymy nazwy wielu przedmiotów zupełnie inne od naszych książkowych, dowiemy się o ich przymiotach, o własnościach, o tajemnicach — do czego przez naukę z książek nigdy byśmy nie doszli. Weźmy na próbę jeden świat roślinny. Wszystko tu prawie ma nazwy nam nieznanne, a odwieczne, nadane przez chrzest ludu. Każde drzewo, każdy kwiat, każde ziółko kryje w sobie jakąś własność ludowi tylko wiadomą. W tym świecie lud zna takie rzeczy, do których wiedzy albo musimy dojść dopiero to przez mozolne odkrycia uczonych, albo przez trafy szczęśliwe, albo może nigdy byśmy nie przyszli. Sztuka leczenia zaczyna oddawać ludowi sprawiedliwość, przyznając mu w tym względzie niejaką wyższość. Zresztą unikając sporu o to z uczonymi, nie będziemy posądzeni o przesadę, kiedy powiemy, że przynajmniej dla artystów ta nauka wśród ludu jest konieczna. Trudno jest bez niej, niepodobna wręcz pisarzowi przedstawić narodowy przedmiot w jego rodzimej barwie.

W tym miejscu uważam za właściwe powiedzieć kilka słów o świecie umysłowym ludu. Zarozumiali urojoną wysokością naszego stanowiska przywykliśmy z góry na ten świat patrzeć, nie przywiązywać żadnej wagi do jego zjawisk, wypadków, zaledwie wierzyć w bytność niektórych. A tymczasem ów świat, jeżeli nie jest dotąd, to przynajmniej był kiedyś takiej wartości dla ludu, jakiej dzisiejszy jest dla nas. Nie był on zapewne tak upiękuszony pozornie, ale odpowiadał doskonale potrzebom swojego czasu. Wprawdzie te potrzeby były bardziej ograniczone, prostsze, bardziej nieokrzesane wreszcie od dzisiejszych, stanowiły jednak życie zupełne, wymagały żywiołów zdolnych je zaspokoić i były zaspokojone. Obraz tego wszystkiego byłby równie ważny dla przyszłości i teraźniejszości, jak dla przeszłości. Nie wątpię, że pośród ludu znalazłoby się wszystko, co potrzeba do jego złożenia. Praca ta, nawet jako przedmiot czysto naukowy, powinna by zwrócić na siebie uwagę. Przenikamy świat materialny wzdłuż i w poprzek, wzwyż i w głąb. Świdrujemy ziemię we wszystkich kierunkach, dumamy nad jej warstwami, śledzimy najmniejszą skamieniałość, odgrzebujemy ją z największą troskliwością, zachowujemy ją z czcią świętą — i wszystko to dla poznania przeszłości ziemi, dla rozjaśnienia wiedzy materialnego świata. A świat umysłowy jestże mniej ważną rzeczą? Jestże niepodobny do wysledzenia w swojej przeszłości? Czyż i on także nie ma swoich skamieniałości, swoich warstw? Czy ten świat umysłowy naszego ludu nie jest jedną z warstw dzisiejszej cywilizacji? Jest nią bez wątpienia — i tym ciekawszą, tym droższą, że w jej utworzeniu wszystko jest samorodne. Takich warstw jest może niemało, a wszystkie są to cywilizacje-poprzedniczki dzisiejszej, która tylko położyła się na nich, jak dzisiejsza, zwierzchnia powłoka ziemi pokrywa niejedną dawniejszą. Te warstwy stopniowej wiedzy ludu zamykają się wszystkie w jego świecie umysłowym, w jego świadomości stworzenia materialnego i moralnego.

Wracając do przerwanej na chwilę rzeczy o świadomości przyrody, jaką lud nasz posiada, im głębiej w nią wchodzę, tym więcej się dziwię owemu wtajemniczeniu się ludu w życie przyrody, a następnie opanowaniu jej, bo i tutaj równie jak z człowiekiem: mamy jaką bądź z jego tajemnic, a już mamy wpływ na niego, już go przywiązujemy do siebie pewnym węzłem. Skądże ta wiedza samorodna? Pytam siebie i widzę, że inaczej nie można przyjść do siebie, tylko przez spółkę bardzo ścisłą z przyrodą, przez braterstwo. Skądże to braterstwo, czyli ta miłość wzajemna? Oto lud żyje pod tym samym prawem co całe stworzenie, z miłością ku niemu, z poddaniem się jemu zupełnym, z czcią dla niego. Takie prawo jest jedno tylko na świecie — prawo Boga, a objawia się i działa w prawdzie religijnej, w idei religijnej. Ono tylko może objąć człowieka i stworzenie, ono tylko może je związać wzajemną miłością, wzajemnymi obowiązkami, w jedną społeczność, w jedną rodzinę. Zastąpmyż je jakimikolwiek naszymi teoriami, spróbujmy skrępować naszym rozumem całe stworzenie, ująć je aż w jego głębi, w jego siłach żywotnych. Niech np. słońce świeci nam pogodnie, ile razy zechcemy, albo niech deszcz nie pada w czasie i miejscu, kiedy nam nie potrzeba. Prawda, że to być nie może? A tymczasem tak być powinno. Człowiek stworzony jest nie, żeby był niewolnikiem materii, ale żeby się nią posługiwał. Powtarzamy to wszyscy i próbujemy tej władzy, gdzie dosięgniemy. Cóż w końcu pozostaje? Oto przekonanie, że możemy powierzchownie panować nad stworzeniem, gnębić



je nawet w pewnej części, jak np. zwierzęta, ale siły jego żywotne nigdy się nam nie poddadzą, pozostaną w buncie przeciwko nam, dopóki jesteśmy w buncie przeciwko prawu najwyższemu, i w końcu wezmą górę nad nami, jak to widzimy w narodach zmaterializowanych. Bo cóż to jest naród podobny? Oto naród, który dla korzyści materialnych zszedł z drogi najwyższego prawa i za karę został niewolnikiem swojego interesu, niewolnikiem materii. Ta potężna prawda nie gaśnie nigdy w religijnej duszy ludu. Nieraz on uczy nas jej czynami, które nam nie wiedzieć jakie się wydają. Nie śmiejmy się, nie litujmy się nad jego łatwowiernością, kiedy np. w czasie nieurodzaju z powodu posuchy widzimy go w uroczystej procesji przez pola, błagającego niebo o zmiłowanie. On nie rozumuje jak ja, ale uczył, że wykroczył przeciwko wyższej potędze, a nawet siły niższe odmówiły mu posłuszeństwa; uczył to, wraca do dawnej uległości i błaga o przebaczenie. Jest to prawda, która, dobrze poczuła, rozwiązałaby nam wiele zagadek, co się tyczy naszych cierpień, niemiłych tych wypadków życia, i nieraz przyniosłaby ulgę, a może by nawet im zapobiegła. A między ludem najprędzej można ją znaleźć. Nie ma nigdzie silniejszego poczucia hierarchii stworzenia jak w jego piersiach, lubo by się zdawało, że nam łatwiej dojść do tego choćby przez najtępszą formę rozumową. Jeżeli porządny naród nie może się obejść bez pewnej hierarchii urzędów, to ją ma zapewne i społeczność stworzenia, która być musi przynajmniej tak porządna jak naród.

Nie uważam za zbyt cenne tego, co powyżej rozwinąłem. Jest moim zamiarem przeciągać przez całe to pismo nić głównej myśli, ażeby podobnie i badacz ludu nigdy jej z oczu nie tracił. Ona tylko poprowadzi go drogą miłą i korzystną.

e. Lud ma także, obok własnej umiejętności przyrodzenia, swoją literaturę poetyczną. Zamyka się ona w pieśniach, opowieściach, podaniach. Nie jest to najpoetyczniejsza jego strona, bo tej trzeba szukać w jego życiu, ale jest odbłaskiem tej strony najbardziej widocznym dla nas i dlatego od jakiegoś czasu zwróciła na siebie uwagę artystów i uczonych. Zaczęliśmy wyszukiwać pieśni ludu, podania, opowieści; gromadzić je, ogłaszać, ubarwiać nimi utwory poezji narodowej. W uczonych nawet badaniach uciekamy się do ich powagi, ale jesteśmy jeszcze bardzo dalecy, abyśmy całą korzyść z tego skarbu wyciągnęli. Dotąd nie robiliśmy nic więcej, tylko braliśmy z wielkiej, świętej budowli ułamki, kamyczki, jakie się komuś z nas najbardziej podobały, i układaliśmy z nich pomniki, obrazy, mozaiki — każdy według swojej myśli. Wszystko to, w pewnej sferze narodu, dla umysłów pewnego usposobienia, może mieć swoją wartość konwencjonalną (jaką ma np. pewna fraszka misternie wyrobiona, świecąca pozłotką), ale nie ma wartości powszechnej (jak np. zboże, powietrze, światło). A nam się zdaje, że ją ma ta poezja, która pod tysiącami postaciami krąży między ludem. Mogłyby bez tego warunku przetrwać pośród niego te pieśni, na które dziś natrafiamy, a które sięgają Bóg wie jakich czasów i przeżyły Bóg wie jakie koleje narodu? Byłbym ciekawy widzieć te poematy, napisane pod wpływem ducha nowej szkoły, okraszone, jak może być najstaranniej, barwą pieśni ludowych, które by lud zrozumiał, uczył, przyjął z miłością, jaką ma dla swoich piosenek, i złożył obok nich u siebie, jak rzecz niezbędną sobie. Wątpię, aby się znalazło podobne. Trzebaż o to obwiniać kaprys albo niezdolność ludu do czucia rzeczy pięknych, wzniosłych? Ależ przecież on czuje Boga, który jest i piękniejszy, i wznioslejszy od wszystkiego, co człowiek utworzyć może. Czy moralne jego władze są w takim odrętwieniu, że nie czują właściwych im potrzeb, i tak zamarłe głodem wyższych rzeczy, że im nawet nie dokuczają niezaspokojenie tego głodu? I to nic. Patrzmy tylko, jak on się modli, jak kocha prawdę, kraj, rodzinę i jak w danej chwili umie poświęcić się dla nich. To dowodzi, że i ma wyższe potrzeby, i zaspakaja je. Skądże ta nie-harmonia z nami? Bo on zaspakaja potrzeby swoje sumiennie, pokarmem właściwym, prostym, jak to robi w życiu fizycznym. Odrzuca przyprawy zbyt cenne, wyszukane, które tylko drażnią żołądek, przeladowują go i stają się w końcu powodem chorób nieznanym człowiekowi prostemu. On je odrzuca, bo mu chodzi tylko o treść życia w pokarmach zawartą. Podobnie z poezją: nie opuszcza on swoich pieśni, bo przy całej niezgrabności ich formy, rażącej nasze oko, znajduje w głębi prawdę, która go poczęła i utrzymuje przy zdrowiu i życiu. Odrzuca nasze poezje, bo widać, że albo w nich nie ma pożywnego ducha właściwego ludowi, albo jest mu wręcz przeciwny, szkodliwy, niebezpieczny dla jego życia. Poszedłem w tę myśl cokolwiek głębiej z tej przyczyny, że popracowanie nad nią uważam za konieczne nie tylko dla piszących dla ludu, ale i dla tych także, którzy przedsięwzięli badać go ze strony jego

Lud, Poezja

poezji dla korzyści bądź swojej, bądź innych. Jak w grubych, twardych potrawach ludu nie znaleźlibyśmy tego posiłku i smaku, które on w nich znajduje, ale raczej odrazę i chorobę, gdybyśmy nie przysposobili do ich przyjęcia naszego miejskiego żołądka przez stosowne życie fizyczne, tak równie musimy wzmocnić naszego ducha tym, co ducha ludu wzmacnia. Musimy zamieszkać i obyć się w jego sferze moralnej, abyśmy w jego pożywieniu umysłowym znaleźli ten sam smak i posiłek, jakie on w nim znajduje. Bez tego plony nasze na tym polu będą to zasuszone ziółka, kwiatki dobre do zielnika i nic więcej. A nam nie chodzi o zasuszanie roślin, ale o przeszczepienie ich, o przenoszenie z całą siłą życia i wzrostu, o rozmnażanie życia.

Podobnych główniejszych punktów na drodze badania ludu jest bardzo wiele i w każdym znalazłaby się ważna myśl do wytknięcia. Poprzestane jednak na tym, com powiedział, w przekonaniu, że przedstawivszy myśl główną i przystosowawszy ją do kilku przedmiotów badania, pokazałem najważniejszą stronę tej pracy, wytknąłem drogę na dostateczną długość, aby ją we właściwym kierunku do nieskończoności przeciągać. Dalsza, obszerniejsza praca będzie już udziałem tego, kto podaną tu myśl zechce urzeczywistnić. Mnie pozostaje tylko zamknąć tę rzecz ogólnym napomknieniem wspomnianych wyżej główniejszych punktów, a i w tym ogólnym napomknieniu dotknę jedynie albo zasadniczych, albo tych, które w tej chwili przedstawiają mi się same z siebie.

I tak — obok tego, co się wyżej powiedziało — uwagę badacza zwrócić głównie powinny ze strony moralnej ludu:

f. Muzyka ludu.

g. Tańce i związane z nimi zabawy ludu publiczne i domowe — także obrzędy, których jest bardzo wiele i różnego rodzaju, a jedne wypływają z ducha chrześcijańskiego, inne sięgają czasów dawniejszych.

h. Prawodawstwo ludu — zwyczaje, urzędnienia, wyobrażenia prawodawcze właściwe pewnym okolicom, ale noszące na sobie piętno stanu, który istniał przed dzisiejszym prawem pisany.

i. Życie rodzinne różniące się często od życia ogólnego według okolic. Tu należą cnoty rodzinne, cnoty i wady prywatne. Sposób życia.

k. Charakter mieszkańców — mężczyzn i kobiet.

l. Zatrudnienia. Rolnictwo, pasterstwo, przemysł itd. ze strony moralnej.

ł. Język. Przedmiot jeden z najważniejszych. Moralne życie narodu w języku.

m. Religia i wyznania obce.

n. Dziejowa przeszłość okolicy.

#### § IV

Strona materialna człowieka to jest nie tylko jego ciało, ale także okolica, z którą przez swoje zamieszkanie i pożycie jest związany. Okolicę można uważać za rozszerzenie ciała, dalsze cokolwiek, mniej przyswajane przez człowieka, ale spojone z nim stosunkami często bardzo niewyraźnymi. Jest to coś na kształt koła na trąconej wodzie, które staje się mniej widoczne w miarę tego, jak się oddala obwodem swoim od punktu, gdzie się zrodziło. Życie, siła wewnętrzna człowieka jest tym punktem, a wodą jest życiem, które go otacza widocznie w przedmiotach okolicy i niewidocznie — w głębi każdego przedmiotu. Strona materialna okolicy, u ludu szczególnie, jest większej wagi, niżby się na pozór zdawało. Mówiliśmy już o ścisłym jego związku z okoliczną przyrodą. Ten związek sprawia, że okolicę można właściwie uważać za dom ludu, który ją zamieszkuje.

Jeżeli w zastosowaniu do pojedynczego człowieka poznanie zagrody, domu rzuca mało światła na wewnętrzną nawet stronę mieszkańca-właściciela, jeżeli w mieszkaniu pojedynczego człowieka znajdujemy piętno jego w każdym szczególe, w każdym zakątku, wskutek objawienia się jego siły wewnętrznej, i dostrzegamy wzajemny wpływ mieszkania na osobę mieszkańca, ten stosunek między okolicą i ludem okolicy, jeżeli nie więcej, to równie jest mocny i wyraźny, a przeto powinien być zbadany jak najstaranniej. Praca ta jest zapewne łatwiejsza niż poznanie strony moralnej, ale niemniej wymaga od badacza tegoż samego usposobienia wewnętrznego. Potrzebuje dla swojej dokładności czegoś więcej jak rzutu zwyczajnego oka albo sądu zwyczajnego rozumu. Nie poznamy okolicy, jak potrzeba, nie zespolivszy się z ludem w jego życiu wśród niej, w życiu wiekowym, nie zapatrując się na nią okiem jego uczuć dla niej. Potrzeba przede wszystkim dojść

Ciało, Przestrzeń

do miłości syna dla domu rodzicielskiego — dopiero ta miłość otworzy nam przeszłość i teraźniejszość we wszystkich tajemnicach rodzinnych.

Główne punkty w aspekcie materialnym są prawie te same, które wytknęliśmy, mówiąc o stronie moralnej, i mają również oblicze moralne. Przypominając więc to, cośmy już wymienili, tu dodamy jeszcze następujące:

- a. Posada ludu w ogólności, to jest zamieszкана przezeń okolica.
- b. Opisanie geograficzne i topograficzne w ogólności.
- c. Ogólny widok jej fizjonomii.
- d. Nazwy miast, wsi, gór, rzek, lasów, gajów, pagórków, dolin, uroczysk itp.
- e. Zabytki przeszłości — mogiły, zamczyska.
- f. Miejsca główne w dziejach — pobożowiska lub podania.
- g. Plody ziemi wewnętrzne i zewnętrzne.
- h. Mieszkańcy. Ich budowa zewnętrzna, ubiór, mieszkania.
- i. Rolnictwo, handel, przemysł — itd. Stan ich.
- k. Punkty centralne okolicy pod względem religii, rządu, handlu itd.

Nie jest to plan wykończony, zupełny, ale zarys, który łatwo jest każdemu, po krótkim zastanowieniu się, dopełnić i rozwinąć w bardzo drobnych szczegółach. Rzuciłem na papier, co mi się zdawało konieczne i najgłówniejsze. Nie mam dzisiaj sposobności i nie czuję potrzeby obrócić na tę pracę więcej czasu i trudu. Nie życzę jednak sobie być posądzonym o lekceważenie tego, co daję. Gdyby to uczucie na chwilę we mnie weszło, całą pracę wrzuciłbym w ogień. Pisarz, który swoje roboty miota czytelnikom w podobnym usposobieniu, zasługuje, aby go uważać za równego trucielowi ludzi, a przynajmniej za oszusta. Ja zawsze uważałem i uważam pisarstwo za kapłaństwo prawdy i w tym uczuciu spełniłem tę pracę. Może się ona nie przydać na nic, może nawet z mojej winy, przez brak sił odpowiednich podobnej pracy. To rzecz insza. Ale przykrość, jaką bym z tego powodu odczuł, osłodzi mi przekonanie, że w nią włożyłem tyle miłości dla prawdy i ludzi, ile tylko mogłem jej włożyć w słowo martwe.

Literat, Praca, Prawda,  
Miłość

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. 99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/goszczyński-dziennik-podrozy-dotatrow/>

Tekst opracowany na podstawie: Seweryn Goszczyński, *Dziennik Podróży do Tatrów*, oprac. Stanisław Sierotwiński, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2005.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Wolne Lektury z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Danuta Pustówka, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-7341-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).